

SIECI

**POWRÓT ROZUMU.
TRIUMF TRUMPA
URUCHAMIA
CYWILIZACYJNY
ZWROT**

**RZĄD POLEGA NA POWODZI.
A CO, JEŚLI WYBUCHNIE WOJNA?**

**BYLIŚMY
W UKRAIŃSKIEJ
FABRYCE
DRONÓW
BOJOWYCH**

**INTERWENCJA ZSRR W POLSCE
WIELKI BŁEF JARUZELSKIEGO**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

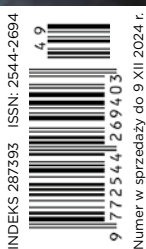
49 (627) 2024
2-8 grudnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

**TAK SYSTEM TUSKA CHCE
DOPAŚĆ
NAWROCKIEGO**

**JUŻ WIEDZĄ, ŻE POJAWIŁ SIĘ GROŹNY KONKURENT
TRZASKOWSKIEGO. DLATEGO URUCHOMILI
MEDIALNE ATAKI I ZAKULISOWE SPISKI**

KRA



„Człowiek rodzi się
nie sobie, lecz
dla swojej ojczyzny”

Wesprzyj
patriotyczne
media



Dane do wpłat:
Fratia Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Andrzej Frycz Modrzewski

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

Gospodarka na zaciągniętym hamulcu

Tych wyników nie da się już wyjaśnić „winą PiS”. I choć oczywiście Donald Tusk może odwołać kolejnego szefa Głównego Urzędu Statystycznego, ściąć mu głowę niczym posłańcowi przynoszącemu złe wieści, nie zmieni to dramatycznej sytuacji, w jakiej znajdzie się polska gospodarka na początku przyszłego roku. Dane za III kwartał wyraźnie pokazują – zaciskamy pasa, a marzenia o konkurencyjnej gospodarce zdolnej podjąć wyzwanie największych i najbogatszych pozostają na razie jedynie wizją poprzednich rządów. Rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Raportując wstępne dane za III kwartał, GUS podał, że Produkt Krajowy Brutto wzrósł o 2,7 proc. rok do roku wobec 3,2 proc. w II kwartale 2024 r. Niewielki, hamujący wzrost gospodarczy opierał się, jak diagnozują analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego, na budowaniu zapasów w magazynach, a wzrost konsumpcji publicznej raptem o 0,8 pkt. i gospodarstw domowych o 0,2 pkt. wyraźnie spowolnił. Optymizmu trudno szukać w eksporcie, bo problemy naszych sąsiadów obniżyły bilans handlowy Polski. Konsumpcja? Po wrześniowym, zaskakującym wszystkich i wręcz tragicznym odczycie wskazującym, że przestaliśmy tak chętnie jak dotychczas wydawać pieniądze w sklepach i usługach, odbicie jest niewielkie. Więcej, dane wskazują, że możemy spodziewać się konsumpcyjnego hamowania w IV kwartale, i to mimo świąt, które co roku są przecież okazją do zakupów.

Ostatnim szańcem bitwy o wzrost gospodarczy po eksporcie i konsumpcji mogły być inwestycje. Mogły, bo już wiemy, iż z twardych danych GUS wynika, że inwestycje w III kwartale wzrosły raptem o 0,1 proc. rok do roku. Mityczny już Krajowy Plan Odbudowy, który po zwycięstwie „sił prodemokratycznych” w wyborach parlamentarnych miał sprawić, że Polska spłynie miodem i mlekiem, już czeka na rewizję w przyszłym roku. Minister funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz triumfalnie oznajmiła, że „na 99 proc. otrzyma do końca roku 40 mld zł” z KPO. Pytanie brzmi, dlaczego tych środków nie widać w inwestycjach publicznych? Pytanie, które zadają sobie przedsiębiorcy – gdzie jest ten front przetargów, do których mogliby stanąć, by realizować inwestycje planowane w KPO?

Przez lata to inwestycje publiczne i – co wydaje się znacznie ważniejsze – inwestycje oraz konsekwentny rozwój spółek pod kontrolą Skarbu Państwa, które kooperowały z polskimi firmami, napędzały gospodarkę. Jeśli jednak przez ostatni rok spółki Skarbu Państwa pogrążyły się w niekończących się audytach, śledztwach i dochodzeniach, zamiast szukać prorozwojowych projektów, budować, kupować i zwyczajnie się rozwijać... hamujemy. Wszyscy.

Z danych za III kwartał wynika, że sumaryczny zysk netto spółek Skarbu Państwa notowanych na GPW jest o ok. 30 proc. niższy niż w analogicznym okresie ub.r. Stop. ORLEN, który nie bez przyczyny był przecież nazywany perłą w koronie, raportuje, że zysk netto Grupy za 9 miesięcy 2024 r. osiągnął wartość 3,012 mld zł i był niższy o 17,034 mld zł rok do roku. Kilka dni wcześniej spółka poinformowała, że rozpoczęła przez poprzedni zarząd inwestycja w kompleks Olefiny III „nie ma biznesowego uzasadnienia”. Stop.

Kolejna kluczowa dla polskiej gospodarki spółka – KGHM Polska Miedź – w trzech kwartałach br. zanotowała zysk netto w ujęciu jednostkowym o 500 mln mniejszy niż rok wcześniej. Stop. Można by wymieniać dalej – Poczta Polska, PKP Cargo, a ostatnio Polskie Linie Lotnicze LOT... Stop. Centralny Port Komunikacyjny i polskie inwestycje w polskich portach są najbardziej widocznymi przykładami kapitulacji państwa. Stop. Brak uzasadnienia biznesowego? Tylko czekać, aż pojawi się inwestor z bogatego Zachodu i... skąd my to znamy.

Kłopot w tym, że po całym roku od przejścia rządów w Polsce coraz trudniej opowiadać historie o megalomanii PiS, tworzyć atmosferę podejrzeń i stawiać niepoparte dowodami zarzuty „zorganizowanej grupie przestępczej”. Tymczasem na horyzoncie staje wymagany przez Brukselę plan wyjścia z procedury nadmiernego deficytu. Wobec powyższego chyba nikogo nie dziwi, że jedynym pomysłem tego rządu są cięcia w programach wsparcia i ograniczanie wydatków socjalnych państwa. Bo nominaci koalicji 13 grudnia z pewnością nie potrafią zarabiać.

Maciej Wośko, „Gazeta Bankowa”




30

Czy Tusk pójdzie na wojnę z Niemcami w obronie polskiego rolnictwa?
Piotr Gursztyn



Fot. Pini Mistry/Shutterstock.com

38

Człowiek, który może zmienić Amerykę
Z Rodem Dreherem rozmawia Goran Andrijanić


46

Rosyjska teoria zwycięstwa
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

- 5** DLACZEGO JESTEM W KOMITECIE KAROLA NAWROCKIEGO?
Bronisław Wildstein
- 6** SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** ŁUPANIE W KRZYŻU
Krzysztof Feusette
- 9** LAJFY, SŁUŻBY I KONSTYTUCJA
Dorota Łosiewicz
- 10** ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12** NOWA KOMISJA – NOWE OTWARCIE?
Daniel Obajtek
- 13** UNIJNA DEMOKRACJA KROCZĄCA
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14** WALIZKA MICHAŁA KANARKIEWICZA
Michał Korsun
- 16** WARTOŚCI KONTRA POWIERZCHOWNOŚĆ
Arkadiusz Mularczyk
- 16** „ZABEZPIECZONE WOLNE MEDIA”
Samuel Pereira
- 17** SEDNO POLSKOŚCI
Jan Pietrzak
- 18** CHŁOPAKI, SCHODZĘ DO PODZIEMIA!
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 19** NAGONKA RUSZYŁA
Marek Pyza
- 23** JAK POKONAĆ TRZASKOWSKIEGO?
Stanisław Janecki
- 26** AFLABET RAFAŁA
Konrad Kołodziejcki

KRAJ

- 30** CZY TUSK PÓJDZIE NA WOJNĘ Z NIEMCAMI W OBRONIE POLSKIEGO ROLNICTWA?
Piotr Gursztyn
- 33** Z HANNĄ DOBROWOLSKĄ
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36** TO TYLKO POWÓDZ.
A JEŚLI WYBUCHNIE WOJNA?
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

- 38** CZŁOWIEK, KTÓRY MOŻE ZMIENIĆ AMERYKĘ
Z Rodem Dreherem rozmawia Goran Andrijanić

- 41** TRIUMF PRAGMATYCZNEGO KONSERWATYZMU
Grzegorz Górny
- 44** MEDIALNA KONTREWOLUCJA
Dariusz Matuszak
- 46** ROSYJSKA TEORIA ZWYCIĘSTWA
Marek Budzisz
- 49** SZORSTKI PRETENDENT
Aleksandra Rybińska
- 52** W MAJSTERNI DRONÓW
Andrzej Skwarczyński
- 54** NOWOJORSKI KOMIKS Z POLAKAMI ANTYSEMITAMI
Jakub Augustyn Maciejewski

HISTORIA

- 56** INTERWENCJA ZSRR W POLSCĘ – WIELKI BLEF JARUZELSKIEGO
Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

- 59** ZDARZYŁO SIĘ W KRAINIE OZ
Jolanta Gajda-Zadworna
- 61** ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba
- 62** EGZORCYSTA W HOLLYWOOD
Grzegorz Górny
- 66** ZGINIE CZY ZGNIJE?
Robert Tekieli
- 67** WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli
- 68** KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

KUCHNIA

- 70** MOJE SMAKI: KYLE NEWMAN, JON PETERSON I MICHAEL WITWER
Jolanta Gajda-Zadworna
- 71** SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72** OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 73** DIEGO MARADONA I JAN FURTOK
Ryszard Czarnecki
- 74** WIE, ŻE COŚ SIĘ DZIEJE
Katarzyna Zybortowicz

Dlaczego jestem w Komitecie Karola Nawrockiego?

Dochodzą mnie głosy, że jako publicysta analizujący życie polityczne nie powinienem wejść do Obywatelskiego Komitetu Poparcia Kandydata na Urząd Prezydenta RP dr Karola Nawrockiego. Uczestnicząc w nim, podejmuję przecież zobowiązanie, które utrudnia mi bezstronną ocenę popieranego kandydata oraz jego konkurentów, a tego należy oczekiwać od publicystów.

Dziś w Polsce stanęliśmy jednak wobec fundamentalnego zagrożenia państwa prawa, demokracji, a nawet narodowej suwerenności. To ich obrona powinna być priorytetem wszystkich świadomych tego obywateli. Gdyż jeśli rządzące ugrupowania przejmą także urząd prezydencki, to jak powiedział ważny ich przedstawiciel Grzegorz Schetyna, „system zostanie domknięty”. Parlamentaryzm będzie pozorem, prawo narzędziem oligarchii, a wolność słowa oraz pluralizm medialny, i tak podważane dziś przez ogromną przewagę lewicowo-liberalnego frontu, staną się wspomnieniem. Biorąc pod uwagę podporządkowanie koalicji 13 grudnia establishmentowi uniijnemu, zakwestionowana zostanie także polska niepodległość.

Krytyczne głosy dobiegają mnie z dominującej, lewicowo-liberalnej strony polityczno-medialnej sceny. Od ludzi i środowisk, które nie reagują na blokowanie prawicowych mediów i groźby pod ich adresem. O pryncypia zaczynają troskać się ci, którzy są zaprzeczeniem dziennikarskiej rzetelności nie dlatego, że popierają określone orientacje oraz reprezentujących je polityków, ale dlatego, że robią to bezwarunkowo, łamiąc wszelkie zasady przyzwoitości. Przemilczają to, co mogłoby im zaszkodzić i nie tyle krytykują ich rywali, ile usiłują ich zniszczyć. Szukają jakiegokolwiek pretekstu do ich potępienia, deformując rzeczywistość, odwołując się do pomówień i insynuacji.

Możemy obserwować to już na starcie kampanii prezydenckiej. Czy media lewicowo-liberalnego nurtu analizują znaczące elementy polityki Rafała Trzaskowskiego jako prezydenta Warszawy, choćby kampanię usuwania krzyży z urzędów miejskich? Czy przypominają jego niepokojące wypowiedzi, np. twierdzenie, że Nord Stream to wyłącznie biznesowy projekt, a Polsce niepotrzebne jest duże lotnisko, bo takie znajduje się już w Berlinie?

Działania te i deklaracje nie są lapsusami, ale wskazują istotne cechy postawy kandydata i dlatego powinny być prześwietlone. Nie podejmuje tego przeważający segment mediów, natomiast zajmuje się oszczerczym zarzutem „hajlowania” Nawrockiego i lustracją jego przeciwników na ringu w okresie, kiedy uprawiał on wyczynowo boks. Szukanie na niego haków prowadzi do skandalicznych, acz typowych dla współczesnego medialnego światka pomówień pod adresem kandydata prawej strony. Za-

wsze przecież znajdą się anonimowi świadkowie, a z czasem może i tacy, którzy pod własnym nazwiskiem są w stanie powiedzieć wszystko. Tak odbiera się dobre imię niewygodnym politykom, a publiczną debatę zastępuje nagonką.

To dziś problem całego Zachodu, który jaskrawo obserwować mogliśmy przy okazji kampanii prezydenckiej w USA. Mechanizmy demokracji niszczone są poprzez dezawuowanie opozycji, czyli przeciwników obecnego *status quo*; kolejnym krokiem jest próba eliminacji ich z życia publicznego za pomocą sądowych wyroków. Uderza to w fundament parlamentarnego ładu.

Tę samą strategię obserwujemy w USA, co w III RP. Bo to Polska Tuska i Trzaskowskiego ma być laboratorium, w którym przetestowane zostaną metody zwalczania opozycji wobec oligarchii UE. Widzimy już podobne próby kryminalizowania przeciwników politycznych we Francji i Niemczech. Dominujący nurt medialny temu sekunduje. W takim stanie rzeczy absurdem byłoby udawać, że funkcjonujemy w układzie tradycyjnych norm.

Amerykańscy dziennikarze mówili wprost, że ich powołaniem jest niedopuszczenie Trumpa do władzy, ich francuscy odpowiednicy za wszelką cenę walczą z Marine Le Pen, Niemiec z AfD, a polscy z PiS. I przyznają, że w tej wojnie wszystkie chwytły są dozwolone.

Jeśli teraz z mediów, które przekształcone zostały w ośrodki propagandy politycznej, słyszę, że naruszyłem standardy, angażując się do komitetu poparcia Nawrockiego, to nie o normy przecież chodzi, ale o to, kogo poparłem. Gdyby był to kandydat establishmentu, wszystko pozostawałoby w najlepszym porządku.

Zaangażowałem się formalnie, bo wprawdzie to, komu sprzyjam, wynika jednoznacznie z moich publicznych wystąpień, ale położenie, w którym znalazł się mój kraj, wymaga działań szczególnych. Dlatego po raz pierwszy w III RP oficjalnie włączyłem się w działanie politycznej instytucji.

Zwycięstwo Nawrockiego stwarza nadzieję na zablokowanie procesu destrukcji polskiej demokracji i praworządności, na odbudowę naszej podmiotowości, tożsamości i parlamentaryzmu. W efekcie liczyć można także na odtworzenie kultury politycznej i przywrócenie standardów, które winny w niej obowiązywać. 



Sygnalista nadaaje

 **Donald Tusk** napisał tweeta! Wiemy, że to żadna sensacja, ale tym razem stało się coś zaskakującego. Po raz pierwszy w tej kadencji Sejmu premier zamieścił wpis, który jest całkowicie sensowny, spokojny i zgodny z logiką. Brzmi on: „Każdy z rywali jest poważnym wyzwaniem, kto zlekceważy konkurentów – przegra wybory. W takich wyścigach nie ma pewniaków. Coś o tym wiemy”. To wpis na temat startu Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Jeśli ktoś nie wierzy, że to wpis Donalda Tuska, może sam sprawdzić w internecie. My też byliśmy zaskoczeni, przecieraliśmy oczy wiele razy, a nawet sprawdzaliśmy, czy ktoś się nie podszywa.

 Jak powszechnie wiadomo, wpisy premiera są nie tylko najwyższym aktem prawa uśmiechniętej Polski, lecz także cennym źródłem wiedzy dla tuskoznawców. Czym dla egiptologów są papiirusy, tym dla współczesnej tuskologii konto Donalda Tuska na platformie X. Ciekawym i mało jeszcze zbadanym aspektem jest to, kogo obserwuje pan premier na tej platformie, czyli kogo zazwyczaj swoją sympatią i kogo uważa za tak ciekawego, że warto śledzić jego wpisy. W tym elitarnym gronie znaleźli się m.in.: Tygodnik „Nie”, Pablo Morales (profesjonalny troll PO, prawdziwe nazwisko Bartosz Kopania), Wit Radomir (personel TVN), Ruch Ośmiu Gwiazd, Wieliński Bartosch T. (personel „Wyborczej”, ostatnio przeżył gorzkie rozczarowanie, bo hajlujący typek na zdjęciu okazał się nie być Nawrockim), Fan Tomasz Szary (kolejny troll, w cywilu Tomasz Stanisławski, dyrektor w firmie produkującej suplementy dla sportowców, przez jego hejtowanie firma straciła kontrakt z Legią), Roman Giertych, To-

masz Lis, Wojciech Sadurski, Adam Bodnar i garść innych funkcjonariuszy systemu. Czyli kwiat uśmiechniętej Polski. A nas tam nie ma! Smuteczek!

 Wróćmy do wpisu premiera o Nawrockim, czyli kandydacie, którego nikt nie zna, ma zerową rozpoznawalność i w ogóle żadnych szans na wygraną z takim kandydatem, jak Rafał Trzaskowski. Dlaczego nie ma szans? Dziwne, że trzeba tłumaczyć, ale skoro ktoś pyta... Najlepsze wyjaśnienie dał artysta scen warszawskich i prowincjonalnych **Michał Żebrowski**, który z kandydatem wszech czasów siedział w jednej szkolnej ławie. W najbardziej obiektywnym i bezstronnym programie odzyskanej przez demokratów TVP (w likwidacji) wyjawiał prawdę: „Rafał już od pierwszej klasy udzielał korepetycji kolegom. Był przewodniczącym klasy, prawdziwym przywódcą. On jest takim naszym liderem, przywódcą! Był ulubieńcem zarówno uczniów, jak i rady pedagogicznej!”. Pięknie powiedziane. Radziecki pisarz Zoszczenko może się schować swoimi „Opowiadaniem o Leninie”. Co on wie o prawdziwym przywódcy?

 Te wszystkie pouczenia są potrzebne, bo prawactwo nie słucha takich mądrych ludzi jak artysta Żebrowski i myśli, że Nawrocki wygra wybory. Prawactwo ogarnęła euforia. Kompletne szaleństwo, wpłacają pieniądze na kampanię, zgłaszają się do sztabu, że chcą pomagać, a nawet wypisują w internecie różne niemile rzeczy o Rafale. Ohydne świństwa – że jest niski, nosi buty na koturnach i że ma nadwagę. Robią nawet o tym memy, co pokazuje, jak słuszny był postulat pani Applebaum-Sikorskiej, aby

zamknąć media społecznościowe, bo przez nie ludzie przestali czytać „Gazetę Wyborczą” i oglądać TVN. Ale niech prawactwo się nie cieszy. Nie ważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy. A nawet gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście, to sprawę załatwi jedna uchwała Sejmu o unieważnieniu wyników wyborów z powodu niewłaściwej obsady Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. Makao i po makale, prawacy!

🔊 Ale co tam, prawacy i tak zagłosują na Rafała. On bowiem wykona zwrot w prawo i ich zmyli – informuje „Gazeta Wyborcza”. Rafał zacznie znów mówić o ulicy Lecha Kaczyńskiego. Mówić, mówić i mówić, a oni w to uwierzą. To będzie jeszcze lepsze od 100 konkretów na 100 dni. Wpadnie też na ingres nowego metropolity warszawskiego abp. Adriana Galbasa. Kilka fotek z nowym arcybiskupem i prawacy zapomną o zdejmowaniu krzyży. Mają łeb ci sztabowcy od Rafała!

🔊 Kilka tygodni temu w tygodniku „Newsweek” ukazał się tekst z pewnym bardzo ciekawym fragmentem. Musimy do niego wrócić, bo potem zdarzył się intrygujący ciąg dalszy. Pelen zagadek i tajemnic. Otóż autor tekstu, dziennikarz uśmiechniętopolski Andrzej Stankiewicz, pisał wtedy, że laskawie nam panujący premier Tusk podjął decyzję, aby nie zabierać więcej pieniędzy PiS. Jedną część była już zabrana, ale wisiała jeszcze sprawa subwencji. Tusk chciał wszystko buchnąć, ale w owym czasie zmienił zdanie. „Ale teraz premier już nie jest taki zdecydowany. Chce uniknąć wrażenia, że wschodnim zwyczajem chce zagłodzić opozycję, a tak to będzie wyglądać z perspektywy Brukseli, a nade wszystko Waszyngtonu” – pisał Stankiewicz.

🔊 Jak wiemy, sprawy potoczyły się jednak inaczej. Najpierw Andrzej Domański świsał ostatnią transzę tegorocznej dotacji, a potem PKW głosami przedstawicieli uśmiechniętej Polski całkiem zablokowała pieniądze. Co się stało, że Donald kolejny raz zmienił zdanie? Wśród dziennikarzy prawdziwie pluralistycznych i demokratycznych krąży wersja zgodna z newsami Stankiewicza. Otóż był czas, że Tusk rzeczywiście bał się konsekwencji tego, co się stanie, jeśli on i jego ferajna pójdą na wyrwę. Stwierdził, że i tak ma więcej kasy od PiS, więc może sobie odpuścić ryzykowną zabawę w zabieranie pieniędzy prawicy. Ale potem ktoś do niego przyszedł i powiedział: „Tusku, musisz!”.

🔊 Kto to był? Tego niestety nie wiemy. Ale przy okazji zastanawiamy się, jak to możliwe, że ciało tak niezależne i praworządne jak odzyskana Państwowa Komisja Wyborcza może być ukazy-

wana w takim kontekście. Przecież każde dziecko wie, że premier Tusk nie ośmieliłby się sugerować jej czegokolwiek, ani tym bardziej naciskać. A członkowie PKW – konkretnie tak niezłomni jak apolityczny mecenas Kalisz czy pan Kliś z zarządu banku BGK – są całkowicie odporni na takie naciški. I jedyne, czym się kierują, to litera prawa i troska o dobro demokracji.

🔊 Pozostańmy przy twórczości tygodnika „Newsweeka”, bardzo ważnego organu uśmiechniętej Polski. Niestety ujawniły się pewne niesnaski w obozie demokratycznym. Wspomniany periodyk napisał, że marszałek rotacyjny Sejmu **Szymon Hołownia** również jest studentem słynnej i cenionej uczelni, czyli Collegium Humanum. Niestety wydział tekstu nie był taki, jakiego byśmy się spodziewali po odpowiedzialnych dziennikarzach. Nie został przedstawiony jako prymus, ulubieniec uczniów i rady pedagogicznej, student głodny wiedzy, który chce zdobyć upragnione wyższe wykształcenie. Przeciwnie, został obsmarowany jako leser, który nie uczestniczył w żadnych zajęciach. Rozumiemy rozgoryczenie marszałka, który jakże słusznie zauważył, że dojdzie do „bardzo poważnego kryzysu zaufania w naszej koalicji”: „Bo jeśli stoją za tym służby albo służby lub prokuratura miały w tym jakikolwiek udział, bo skądś te informacje musiały wyciec, będzie to znaczyło, że nie jest to coś, na co się umawialiśmy, przychodząc i zmieniając państwo”.

🔊 O Lewicy znów nie piszemy, bo jak zwykle nie ma o czym pisać. Chyba że to, iż zaczyna być jak **Yeti**. Każdy o niej słyszał, ale nikt nie widział.

🔊 Na koniec jak zwykle kącik z dobrym humorem. Tym razem dostarcza go nam **Adam Michnik**. „Naprawdę obraziłem się na świat. Czarne chmury, czarne chmury nad światem” – mówi Adam słowami, które na pewno staną się refrenem jakiejś popularnej piosenki. To wypowiedź z wywiadu. Nieważne, dla kogo ten wywiad. Ważne, że z Adamem.

🔊 Najlepszy fragment zostawiamy dla Kamali Harris. Adam ocenił tam autorytatywnie, że Kamala miała bardzo dobrą kampanię wyborczą, strasznie mu się spodobała i on do tej pory nie wie, dlaczego wygrał Trump. No cóż, w 2015 r. Adam też nie wiedział, dlaczego Bronek przegrał z Andrzejem. To może teraz, panie Adamie, jakiegoś prognozy na temat wyborów w Polsce? Prognozę pana Adama o zwycięstwie pana Rafała byśmy chcieli najbardziej usłyszeć. Bo wtedy będziemy wiedzieli, kto naprawdę wygra. 





KRZYSZTOF FEUSETTE

Łupanie w krzyżu

Donald: I jak tam twoja kampania?
Rafał: Super. Jeżdżę, z ludźmi gadam. W piekarni nawet byłem.
Donald: Tylko z tymi tramwajami nie przesadzaj.
Rafał: Nie, no co ty. Z książką to poczekam do końca kampanii. Będzie totalne zaskoczenie.
Donald: Że umiesz czytać?
Rafał: Nie. Że wstanę, jak kobiety wejdą.
Donald: W kuchni?
Rafał: W tramwaju. Taki, wiesz, zwyczajny warszawiak w zwyczajnym transporcie miejskim.
Donald: Tylko uważaj, żebyś znowu nie musiał krawężników przy przystankach skuwać, jak wtedy, gdy kupiłeś za szerokie tramwaje.
Rafał: Dawne dzieje, człowiek uczy się na błędach.
Donald: A jak z krzyżem?
Rafał: No trochę boli od tego jeżdżenia.
Donald: O krzyże w urzędach pytam.
Rafał: Żadnego nie ściągnąłem.
Donald: To po co było rozporządzenie?
Rafał: No, żeby inni ściągali.
Donald: Aha. A wiesz, że ci to teraz wyciągną?
Rafał: Kłamią. Joński powiedział, że ich pozwie.
Donald: Kierownik basenu? Gratuluję.
Rafał: To co mam zrobić? Bronisław mówi, żebym się wycofał, a jak się mam wycofać, jak już powiedziałem, że nie ściągałem?
Donald: Widzisz, a moja mama kreśliła znak krzyża na chlebie.
Rafał: Dlatego Nowacka wycina lekcje religii?
Donald: Mamy wolność sumienia. Można mieć i można nie mieć. A ja nie mam sumienia jej wyrzucić. Ledwie skończyła studia na uczelni tatusia, a teraz dostała taki resort.
Rafał: Biedne dzieci.
Donald: Biedni to byli ludzie na granicy, a teraz tam są bandyci. Wszystko się zmienia
Rafał: No wiem. Radek w prekampanii mówił.
Donald: I ty też musisz się zmienić, bo na tym tęczowym ładzie daleko nie zajdziesz.
Rafał: To co mam zrobić?
Donald: Krzyż w domu powieś.
Rafał: Nie mogę, żona nie pozwoli. Niepo to dziecka do pierwszej komunii nie puściła.

Donald: A czemu?
Rafał: Bo się obraziła.
Donald: Za „dupiarza”?
Rafał: Nie, na Kościół.
Donald: Za co?
Rafał: Że nie poparł Lempartowej i aborcji na życzenie. Faktem jest, że na marszach kobiet nie widziałem ani jednego księdza.
Donald: Aha. Czyli pierwszą damę będziemy mieć po apostazji?
Rafał: Nie, po ekonomii.
Donald: Ty się musisz dokształcić z tych terminów. Apostazja to wyparcie się wiary.
Rafał: W zwycięstwo?
Donald: W Boga! Bój się Boga, Rafale, jakie ty masz braki z historii chrześcijaństwa. Wiesz, że Polak był papieżem?
Rafał: Wiem. W TVN widziałem reportaż. Ale nie na faktach.
Donald: Na papieża to my już więcej ręki podnieść nie możemy, zwłaszcza w kampanii. Ty nie wiesz, co to jest za społeczeństwo? Musisz być bardziej konserwatywny. Nie wiem, może ulicę Kaczyńskiego zrobić w Warszawie?
Rafał: Jarosława?
Donald: Lecha!
Rafał: Już była, ale zdjęliśmy.
Donald: To powiesz jeszcze raz. A po wyborach zdejmiesz. Na Marszu Niepodległości byłś?
Rafał: No jak? Przecież by mnie zadeptali.

Donald: A na paradzie cię nie zadeptali?
Rafał: Tam jest inaczej, nie ma rodzin z dziećmi.
Donald: Też prawda. Szymon dzwonił?
Rafał: A po co?
Donald: Żeby przeprosić za to, co powiedział.
Rafał: A co znowu wywnął?
Donald: Walnął na lajfie, że się nie nadajesz.
Rafał: On się nadaje...
Donald: No teraz to już też nie.
Rafał: A co?
Donald: A jajco, nie interesuj się. Coś tam mu wyciągnęli.
Rafał: No powiedz, co?
Donald: Chciał studiować w Collegium Humanum. Napisali, że się zapisał, miał nie chodzić, nie płacić, a dyplom wziąć.
Rafał: A on co na to?
Donald: Że się zapisał, nie chodził, nie płacił i dyplomu nie wziął. Mówi, że nie wiedział nawet, gdzie znajduje się uczelnia.
Rafał: To jak się zapisał?
Donald: Online.
Rafał: A tam zajęcia też nie były online przypadkiem?
Donald: Twierdzi, że rektora nawet na oczy nie widział.
Rafał: Może kto inny widział?
Donald: Kobosko przyznaje, że on ze dwa, trzy razy. I że zapisał się tak jak Szymon, ale nie chodził i nie płacił. A dyplomu też nie ma.
Rafał: To czemu się nie wypisali? Nikt ich nie ścigał za czesne?
Donald: Widzisz? Jak ciebie trochę rozruszać, od razu szybciej myślisz. Dobrze ci robią te wyjazdy.
Rafał: Ja tylko po godzinach.
Donald: Wiem, wiem. Teraz będziesz mieć trochę łatwiej, bo Szymek będzie zajęty czym innym.
Rafał: Jak sobie przypominę, jaki on program kiedyś w TVN prowadził, to aż mi się chce płakać ze śmiechu.
Donald: Widzisz, a on już nie płacze, nawet nad konstytucją. Pokazywał ostatnio na lajfie. Trzyma konstytucję i nic – suche oczy. O jakim programie mówisz? „Mam talent”? Dawno i nieprawda.
Rafał: Nie. Był jeszcze drugi. Wkręcali gościa, a na końcu ekipa wyskakiwała z okrzykiem...
Donald: ...mamy cię! Pamiętam. On już teraz też zapamięta.

Miniony tydzień nie był szczególnie dobry dla marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Po pierwsze wróciły jego słynne lajfy. Któż nie pamięta znikających selfie-sticków, awarii Facebooka czy złośliwej śmieciarki, która zablokowała mu drogę, wzbudzając nerwowość ówczesnego lidera Polski 2050. Teraz już marszałek nie „lajfuje” z samochodu, tylko z gabinetu marszałkowskiego. Ale ma trochę pod górkę, bo pojawia się coraz więcej niechętnych mu widzów, których ostatni rok urzędowania byłego showmana z TVN musiał nieco rozczarować.

I tak jakiś złośliwiec zapytał, dlaczego marszałek już nie płacze nad konstytucją (a przecież teraz byłby dobry powód, bo już nawet sam marszałek nie uznaje opisanych przez nią takich organów, jak Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy). W odpowiedzi na pytanie Hołownia pokazał, jaki jest twardy. Wziął do ręki ustawę zasadniczą i powiedział: „Ja, konstytucja, ja konstytucja” i się nie rozplakał, co miało być dowodem jego twardości.

Inny obserwujący chciał wiedzieć, jak to jest być podnóżkiem Donalda Tuska, na co Hołownia stwierdził, że nie wie, bo nigdy nie był. Pytającemu obiecał zaś coś na kształt grupy wsparcia, by ten sam nie czuł się niczym podnóżkiem. Podobną odpowiedź usłyszał ktoś, kto na czacie nazwał marszałka „dupkiem”. Hołownia współczuł owej osobie niskiej samooceny, sugerując, że „dupkiem” jest ów uczestnik czata. Ot, takie słowne zabawy w stylu Szymona Hołowni, które najbardziej bawią jego samego.

Na pewno Hołowni nie rozbawiła jednak publikacja tygodnika „Newsweek” i to będzie moje po drugie, składające się na słaby tydzień marszałka. Z owej publikacji miało wynikać, że marszałek Sejmu miał być na liście studentów uczelni Collegium Humanum (czyli uczelni, która handlowała dyplomami), ale nie przychodził na zajęcia – miało chodzić jedynie o zdobycie dyplomu. Sam Hołownia zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek rozpoczął studia na tej uczelni. Podkreślił tylko, że kiedyś złożył wniosek

Lajfy, służby i konstytucja

Albo marszałek kręci w sprawie swoich niedoszłych studiów, albo służby lub prokuratura grają drugą osobą w państwie. Możliwe też, że oba warianty są prawdziwe

Hołownia umawiał się z Donaldem Tuskiem, ale być może na to, że służby będą wyciągać kwity tylko przeciwko opozycji, a nie politykom koalicji 13 grudnia. No ale przecież ta umowa może być nieaktualna od chwili, gdy marszałek Sejmu ogłosił, że wystartuje w wyborach jako kandydat na prezydenta. Być może uwierzył on we wpis premiera na platformie X: „W Koalicji 15 Października w trakcie wyborów obowiązuje zasada przyjaźni konkurencji, bez wrogości i bez lekceważenia. Decyzję Szymona Hołowni o kandydowaniu przyjąć należy z pełnym szacunkiem i uznaniem dla odwagi i determinacji Pana Marszałka”. Mógł uwierzyć, bo przecież Hołownia zawsze był człowiekiem wielkiej wiary, przynajmniej deklaracyjnie.

Dzień po cytowanej przeze mnie konferencji miał kolejną, na której stwierdził, że minister Siemoniak i premier Tusk zapewnili go, że służby nie miały z tym nic wspólnego i też im uwierzył. Ale to już należałoby określić mianem naiwności. Ogólnie sprawa wygląda tak, że albo marszałek kręci w sprawie swoich niedoszłych studiów, albo służby lub prokuratura grają drugą osobą w państwie. Możliwy jest też scenariusz, w którym oba warianty są prawdziwe. Tak czy inaczej źle się dzieje w państwie polskim, a przecież oficjalnie kampania jeszcze nie wystartowała. Parafrazując Szymona Hołownię: drodzy państwo, solidnie zaopatrzyć się w popcorn na najbliższe miesiące. Będzie się działo i będzie dużo emocji.

Dorota Łosiewicz



Polityczne trzęsienie ziemi

Rumunia



Pierwsza tura wyborów prezydenckich w Rumunii zakończyła się sensacją. Wygrał je niezależny kandydat Călin Georgescu, który zdobył niemal 30 proc. głosów, podczas gdy sondaże nie dawały mu więcej niż 5 proc. Polityk prowadził kampanię z pozycji outsidera, głównie w sieciach społecznościowych, nie mając nawet własnego sztabu wyborczego. Drugie miejsce zajęła Elena Lasconi, która też jest w rumuńskiej polityce od niedawna – do 2020 r. pracowała jako dziennikarka.

Georgescu odwołuje się do tradycyjnych wartości i uchodzi za bardzo religijnego polityka. Jego rywalka, określająca się mianem konserwatystki, jest bardziej proeuropejska, choć również opowiada się za korektą dotychczasowej linii Bukaresztu. Takie wyniki są odczytywane jako zapowiedź politycznego trzęsienia ziemi w zaplanowanych na początek grudnia wyborach parlamentarnych.

Wcześniej Georgescu był związany z nacjonalistyczną formacją AUR i zasłynął ciepłymi wypowiedziami o rumuńskim dyktatorze z okresu II wojny światowej marsz. Ionie Antonescu oraz twórcy Legionu Michała Archaniola Corneliu Codreanu. Jednak to nie deklaracje na tematy historyczne powodują, iż liberalne media są zaniepokojone zwycięstwem Georgescu. Prowadził on kampanię, wzorując się na Donaldzie Trumpie i składał deklaracje świadczące o jego sceptycyzmie wobec Unii Europejskiej. Zapowiedział ochronę rodzimych producentów rolnych, ograniczenie pomocy wojskowej dla Ukrainy i odwrócenie dotychczasowych trendów rozwojowych Rumunii, która jego zdaniem została przekształcona w państwo kontrolowane przez międzynarodowy kapitał kosztem dobrobytu własnych obywateli. Ciekawym zjawiskiem w tym kontekście było poparcie wyborcze, które otrzymał od 800 tys. Rumunów pracujących w państwach Europy Zachodniej.

Wybory są klęską rządzącej krajem socjaldemokracji, której kandydat, premier Marcel Ciolacu, zajął trzecie miejsce i nie dostał się do drugiej rundy. Rosną więc szanse na dobry rezultat partii AUR, której lider zapowiedział, że w drugiej turze poprze Georgescu. Może to prowadzić do dramatycznych zmian na rumuńskiej scenie politycznej, co ma o tyle istotne znaczenie, że licząca niemal 20 mln mieszkańców Rumunia jest obok Polski najważniejszym państwem wschodniej flanki NATO.

Marek Budzisz



Chiny

Partia żąda dzieci

Kobiety w Chinach skarżą się w mediach społecznościowych, że lokalni urzędnicy partyjni dzwonią do nich i próbują je nakłonić do posiadania większej liczby dzieci. Pewna Chinka, która jest matką jedynaka, powiedziała, że dzwoniący do niej urzędnik bez ogródek pytał o to, czy jest w ciąży, prosił o szczegóły dotyczące jej cyklu menstruacyjnego i zaproponował, że odezwie się ponownie, gdy prawdopodobnie będzie miała owulację.

Niechciane rozmowy telefoniczne wydają się częścią szerszego programu nakłaniania kobiet do macierzyństwa, wprowadzonego przez władze w Pekinie. Nikt nie wspomina bowiem o podobnych telefonach do mężczyzn, których celem byłoby nakłonienie ich do zawarcia małżeństwa i posiadania dzieci.

Chiny od lat odnotowują drastyczny spadek liczby urodzeń, w 2023 r. ich wskaźnik spadł do rekordowo niskiego poziomu. Dzieci urodziło się o 5,7 proc. mniej w porównaniu z poprzednim rokiem, czego efektem był spadek populacji o 2,08 mln i znaczny wzrost liczby osób starszych. Główną przyczyną tego stanu było narzucenie społeczeństwu brutalnej polityki jednego dziecka (uchylonej w 2015 r.), co w połączeniu z pragnieniem posiadania męskich potomków doprowadziło nie tylko do zatrzymania wzrostu demograficznego, lecz także ogromnej nierównowagi płci. Uważa się, że obecnie w Chinach mieszka prawie 35 mln więcej mężczyzn niż kobiet, a polityka jednego dziecka sprawiła, że w latach 1980–2016 zabito ok. 400 mln ludzi.

Do tego dochodzi brak perspektyw zawodowych wielu młodych Chińczyków oraz odpowiedzialność związana z opieką nad starszymi rodzicami. Również nowy, konsumpcyjny styl życia przyczynił się do tego, że wielu chińskich millenialsów porzuca dziś myśl o założeniu rodziny. Władze uznały jednak, że kwestia posiadania dzieci nie jest sprawą prywatną i ma wymiar państwowy. Plan mający zwiększyć przyrost naturalny obejmuje więc nie tylko prowadzenie kampanii społecznych, lecz także wydłużenie urlopu macierzyńskiego oraz zwiększenie dostępu do opieki zdrowotnej i leczenia niepłodności. Na razie efekty tych starań są jednak mizerne.

Maciej Walaszczyk

**Dania**

Były pola, będzie las

Dania to jedna z rolniczych potęg w Europie. Intensywne uprawy zajmują prawie dwie trzecie terytorium tego skandynawskiego kraju. Wkrótce jednak będzie ich mniej. Tamtejszy rząd podjął bowiem decyzję o zalesieniu 15 proc. gruntów rolnych i przekształceniu ich w siedliska przyrodnicze.

Oficjalnym powodem ograniczenia upraw jest zbyt duże zużycie nawozów, co ma prowadzić do poważnego zanieczyszczenia wód i mieć katastrofalny wpływ na życie w otaczających Danię morzach. Rząd przeznaczy więc 43 mld koron duńskich (6,1 mld dol.) na przejęcie ziemi od rolników i ich zamianę w lasy w ciągu najbliższych dwóch dekad.

Rząd nazwał umowę „największą zmianą w duńskim krajobrazie od ponad 100 lat”. „Duńska przyroda zmieni się w sposób, jakiego nie widzieliśmy od czasu osuszenia terenów podmokłych w 1864 roku” – zachwycił się minister Jeppe Bruus Christensen. Stoi on na czele specjalnego resortu, który ma wdrożyć zielone porozumienie osiągnięte w czerwcu między rolnikami, przemysłem, związkami zawodowymi i grupami ekologicznymi.

Oprócz zalesiania gruntów rolnych jednym z elementów tego porozumienia jest wprowadzenie w Danii podatku ekologicznego od emisji gazów emitowanych przez zwierzęta hodowlane. Według danych statystycznych dwa lata temu w Danii było prawie 1,5 mln krów. Nowy podatek ma sprawić, że ta liczba się zmniejszy. Od 2030 r. duńscy hodowcy będą opodatkowani kwotą 300 koron (173 zł) za 1 t dwutlenku węgla wyemitowanego przez ich trzodę. Do 2035 r. podatek ma wzrosnąć do 750 koron (433 zł) i będzie nim objęte bydło oraz trzoda chlewna.

Dania, która jest ważnym producentem mleka i nabiału oraz wieprzowiny, zmierza do ograniczenia roli rolnictwa w gospodarce. Zmiany obejmą też sektor spożywczy i przetwórczy. Rząd w Kopenhadze dąży bowiem do ograniczenia emisji CO₂ w 2030 r. o 70 proc. w stosunku do 1990 r. Warto się przyglądać duńskiej polityce rolnej, bo podobne kroki mogą zostać wprowadzone także w innych krajach Unii. Ich konsekwencją będzie jednak konieczność importu produktów rolnych i utrata bezpieczeństwa żywnościowego Europy.

Konrad Kołodziejski



Bitcoin wysysa energię

Rosja

Nie tylko wojna jest obciążeniem dla rosyjskiej gospodarki. Okazuje się bowiem, że Rosja cierpi na poważne niedobory prądu z powodu górnictwa kryptowalut. Według oficjalnych danych zaangażowane w ten proceder komputery pożerają ok. 16 mld kW rocznie, czyli prawie 1,5 proc. całkowitego zużycia energii elektrycznej w Rosji.

Kopanie kryptowalut (czyli w uproszczeniu generowanie przez komputery cyfrowej waluty) stało się w Rosji popularne po rozpoczęciu wojny na Ukrainie. Nałożone wówczas na Moskwę sankcje utrudniły tradycyjne płatności bankowe do i z Rosji, co skłoniło Kreml do zalegalizowania górnictwa kryptowalut i stworzenia ram do testowania cyfrowych tokenów w transakcjach transgranicznych. Rosnąca cena bitcoina sprawiła, że kryptowaluty zaczęło kopać coraz więcej ludzi i stało się to bardzo opłacalne, zwłaszcza w tych regionach, gdzie cena energii elektrycznej była stosunkowo niska – głównie na Kaukazie i Syberii.

Problemy pojawiły się, gdy rosyjska gospodarka przeszła w tryb wojenny. Sektor wojskowy i przemysłowy znacząco zwiększyły pobór energii elektrycznej, co doprowadziło do przeciążeń sieci oraz przerw w dostawach prądu. Według oficjalnych danych zużycie energii elektrycznej w Rosji w ub.r. wzrosło o 1,4 proc., a w najbliższych dwóch latach zwiększy się o 2,4 proc. rocznie. Na te niedobory nakładają się zmiany pogodowe. Sieć energetyczna nie wytrzymała np. tegorocznej fali upałów, która nawiedziła Kaukaz i południową Rosję. W rezultacie 2,5 mln ludzi zostało czasowo pozbawionych prądu. Zdaniem analityków w ciągu najbliższych 10 lat Rosja coraz częściej będzie się zmagać z deficytem energii elektrycznej.

Dwa tygodnie temu szef władz Dagestanu Siergiej Mieliłow poprosił Moskwę o wydanie zakazu wydobywania kryptowalut w tym regionie. Okazało się bowiem, że w ciągu ostatnich trzech lat kopanie bitcoina zwiększyło zużycie energii w Dagestanie aż o 26 proc. i powoduje regularne przerwy w dostawach prądu.

W odpowiedzi rząd rosyjski wydał całkowity zakaz wydobywania kryptowalut do 2031 r. dla sześciu regionów na Kaukazie, a także na niektórych terytoriach okupowanych na Ukrainie. Rozciągnięto go na trzy obszary południowo-wschodniej Syberii w pobliżu jeziora Bajkał, jednak w tym przypadku ma on obowiązywać wyłącznie w godzinach zwiększonego poboru energii.

Nałożone na Moskwę sankcje bankowe okazały się zatem całkiem skuteczne, ale w zupełnie inny sposób, niż przewidywano. Nikt się przecież nie spodziewał, że bitcoin może położyć rosyjską sieć energetyczną.

Konrad Kołodziejski

Nowa Komisja – nowe otwarcie?

Pracę rozpoczyna właśnie nowy skład Komisji Europejskiej kadencji 2024–2029. Nowi unijni komisarze zostali oficjalnie przegłosowani przez europarlament w minioną środę, uzyskując przy tym niechlubnie rekordowo niskie poparcie (aż 41 proc. parlamentarzystów głosowało przeciw) – najniższe w całej historii głosowań tego unijnego ciała. To pokazuje, jak kontrowersyjna będzie to KE



Czas wyborów europejskich ostatecznie za nami, skończyły się ciche negocjacje, wielogodzinne wysłuchania, polityczne targi i dramatyczne przepychanki za zamkniętymi drzwiami. Przed nami (oby) czas ciężkiej i intensywnej pracy KE nad konkretnym planem ratunkowym dla europejskiej gospodarki. Zapowiedziała go wszak na pierwsze 100 dni urzędowania przewodnicząca von der Leyen podczas lipcowego inauguracyjnego wystąpienia. Zegar właśnie ruszył.

Europa desperacko potrzebuje głębokich zmian w polityce gospodarczej – rolnej i przemysłowej. Potwierdzają to kolejne publikowane raporty i deklaracje – raport Draghiego, raport Letty, deklaracja antwerpska, deklaracja budapeszteńska – słowa, słowa, słowa. Konkreatów na razie jak na lekarstwo.

Po pierwszych 100 dniach urzędowania nowej Komisji, a więc na początku marca 2025 r., ma zostać przedstawiony Nowy Plan dla Przemysłu – zestaw działań koniecznych do utrzymania w Europie firm, a zatem także miejsc pracy. W tym samym czasie mamy poznać cudowną receptę na zwiększenie konkurencyjności Starego Kontynentu wobec USA czy Chin, plan na zatrzymanie niekontrolowanej, nielegalnej

migracji, plany obronne, program zwiększania inwestycji i innowacji, uzdrowienia rolnictwa, a wszystko okraszone programem ulżenia portfelom Europejczyków. Zadanie karkołomne bez radykalnych zmian polityki klimatycznej, a na tę na razie się nie zanosz.

Europa potrzebuje hamulca bezpieczeństwa w Zielonym Ładzie. Potrzebuje go natychmiast. Ten marksistowski zbiór pobożnych życzeń i oderwanych od realiów założeń przez ostatnie pięć lat zdemolował Europę i nie przyniósł niczego prócz ekstremalnie wysokich cen energii oraz w konsekwencji zapaści przemysłu. Nie oznacza to, że transformacja nie jest potrzebna, wręcz przeciwnie – rozsądnie zaprojektowana i wprowadzana zgodnie ze zmianami technologicznymi i prawidłami rynku jest naturalną drogą rozwoju cywilizacyjnego. Jednak to zupełnie coś innego niż serwowana nam ostatnio ideologiczna hucpa.

Podczas rozmów, które odbyłem w ciągu ostatnich miesięcy z (wtedy jeszcze) kandydatami na komisarzy z gospodarczym portfolio, u wielu z nich widziałem otwartość na zmiany oraz nowe, konkretne i racjonalne, poprzemysłowe rozwiązania. Przekierowanie środków, które firmy muszą wydawać na uprawnienia do emisji CO₂ na nowe, niskoemisyjne inwestycje to jedno z przedstawionych przeze mnie rozwiązań, które wzbudziło duże zainteresowanie. Konkretna zmiana, która da się szybko wprowadzić i da przemysłowi finansowy oddech oraz środki niezbędne na energetyczną transformację. Początek obiecujący, zobaczymy, czy teraz, po głosowaniu, szybko wrócimy do rozmów.

Najwyższy czas na pracę nowych komisarzy nad radykalną zmianą kierunku, w którym gospodarczo zmierza Europa. Nie mamy już czasu na kolejne deklaracje i raporty. Nie mamy go również na ideologiczne dywagacje. I mimo że zaczął się grudzień, nie mamy go za wiele na świętowanie, inaczej przyszloroczne Boże Narodzenie może się okazać świętem bez prezentów, bez makowca, bez choinki, bez pracy i bez prądu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Unijna demokracja krocząca

Partie służą samoorganizowaniu się obywateli w celu wzięcia odpowiedzialności za państwo rozumiane jako dobro wspólne wszystkich obywateli. W świetle konstytucji RP partie polityczne służą obywatelom polskim do wykonywania swoich suwerennych praw i obowiązków względem ojczyzny. Uprawnienie obywateli do samostanowienia o państwie jest jednym z podstawowych gwarancji jego autonomii.

W ostatnim czasie bez większego echa w mediach przemknęły dwa orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczące prawa do członkostwa w partiach politycznych przysługującego wyłącznie obywatelom Czech i Polski. Zdaniem Komisji Europejskiej obywatele Unii, którzy mieszkają w wymienionych państwach członkowskich, ale nie są oni ich obywatelami, „przemieszczając się”, nie mogą korzystać ze swojego prawa kandydowania w wyborach lokalnych i europejskich na takich samych warunkach jak obywatele czescy i polscy. KE uznała, że ograniczenie prawa członkostwa w partiach politycznych wyłącznie do osób posiadających czeskie lub polskie obywatelstwo stanowi przejaw dyskryminacji i skierowała do TSUE skargi przeciwko Republice Czeskiej i Polsce.

19 listopada br. TSUE wydał wyrok, w którym stwierdził, że odmówienie obywatelom Unii mieszkających w państwie członkowskim, którego nie są obywatelami, prawa do uzyskania członkostwa w partii politycznej narusza prawo UE. Według Trybunału wymóg obywatelstwa jako przesłanka przystąpienia do partii nie zapewnia traktowania obywateli innych państw na równi z własnymi obywatelami w zakresie skutecznego wykonywania prawa kandydowania w wyborach lokalnych i europejskich. UE przyznaje prawo głosowania oraz kandydowania w wyborach lokalnych i europejskich obywatelom Unii mieszkającym w państwie członkowskim, którego nie są obywatelami. Zdaniem Trybunału przyjmując, że członkostwo w partii w istotny sposób przyczynia się do wykonywania praw wyborczych przyznanych na mocy prawa Unii, Czechy i Polska naruszyły to prawo.

Reasumując, zgodnie z orzeczeniami TSUE przemieszczający się obywatele Unii muszą mieć prawo do przystąpienia do partii krajowej, ponieważ w systemie demokracji przedstawicielskiej „przynależność do partii politycznej lub ruchu politycznego znacząco przyczynia się do skutecznego wykonywania prawa do kandydowania w wyborach, przyznanego w art. 22 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”. Wyrok TSUE opierał się na art. 22 TFUE, ale dokonał również przełomowej interpretacji art. 10 TUE. Trybunał przyjął bowiem podejście funkcjonalne i usiłuje narzucić wprowadzenie prawa do przystępowania do partii politycznych dla przemieszczających się obywateli UE ze względu na rolę, jaką organizacje te odgrywają w zapewnianiu funkcjonowania Unii, powołując się na konieczność zapewnienia przestrzegania demokracji w UE.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Unia Europejska jest organizacją międzynarodową zrzeszającą państwa. Traktat z Lizbony stanowi, że „Unia szanuje równość państw członkowskich wobec traktatów, jak również ich tożsamość narodową, nierozzerwalnie związaną z ich podstawowymi strukturami politycznymi i konstytucyjnymi”. Każde państwo ma prawo kształtować zasady funkcjonowania ustroju wedle woli zwierzchnika, którym jest ogół obywateli danego państwa. Przywołane orzeczenia TSUE pozostają zaś w sprzeczności z zapisami konstytucji RP, która jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej. W świetle przepisów konstytucji partie stanowią organizacje bezpośrednio współkształtujące ustrój polityczny państwa i stanowiące wyraz zwierzchniej roli obywateli (suwerena) poprzez zagwarantowanie zrzeszania się w partiach co do zasady wszystkim pełnoletnim obywatelom Polski. Wymaganie obywatelstwa polskiego nawiązuje do pojmowania państwa jako dobra wspólnego wszystkich obywateli rządzonego przez naród rozumianego jako wspólnota równoprawnych obywateli. Obywatelstwo polskie jako przesłanka przystąpienia do partii politycznej jest zatem jedną z gwarancji suwerenności Polski.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

30/124/F



Walizka Michała Kanarkiewicza

szachisty, autora siedmiu książek, przedsiębiorcy,
konsultanta biznesowego i mówcy

Szachy poznałem, gdy miałem 10 lat, dzięki mojemu przyjacielowi Ksaweremu, który zareklamował je jako grę dla inteligentnych. Chciałem być inteligentny, a tym, co mi się spodobało, była rywalizacja umysłów. Na moim pierwszym turnieju zająłem ostatnie, ale honorowe miejsce. Z tej porażki wyciągnąłem wnioski, więcej trenowałem, czytałem książki o strategiach. Zacząłem też odnosić sukcesy, ale ponieważ pochodziłem z trudnego, niektórzy by powiedzieli, wręcz patologicznego domu z ojcem alkoholikiem, nie stać mnie było na udział w turniejach na które trzeba było dojechać. Dlatego gdy miałem 16 lat, musiałem zacząć pracować. Uczyłem gry w szachy dzieci znajomych, potem dorosłych, prowadziłem też lekcje w przedszkolach. Zarobione pieniądze przeznaczałem na wyjazdy turniejowe, a także wspierałem moją Mamę. Miałem również szczęście poznać po drodze dobrych ludzi, którzy trochę pomogli mi finansowo. Po ukończeniu szkoły średniej zanim poszedłem na studia, założyłem firmę, którą rozwijam do dziś. Cały czas grałem i uczyłem gry w szachy, które stały się sposobem na życie. Dlatego popularyzuję królewską grę (prowadziłem program w TVP 3, potem na Kanale Sportowym), żeby dotrzeć do jak największego grona ludzi, bo wierzę, że gdzieś w Polsce jest dzieciak, który żyje w trudnej sytuacji materialnej jak ja w 2005 r. i nie ma pieniędzy nawet na ubrania z lumpeksu. Uważam, że umiejętność gry w szachy to zdolność radzenia sobie z trudnościami. Mój remis w 2020 r. w symultanie z szachowym mistrzem świata Anatolijem Karpowem bardzo wzmocnił moją samoocenę i pokazał, że wiele jest możliwe.



„JAK ŻYCIE NAŚLADUJE SZACHY”

Ta książka autorstwa Garriego Kasparowa zainspirowała mnie, by łączyć szachy i strategię oraz poszukiwać własnych biznesowych ścieżek. To wtedy zdałem sobie sprawę, że nie chcę być odtwórca, ale pragnę tworzyć. Takie właśnie strategie zgłębiałem poprzez kolejną lekturę – „Strategia błękitnego oceanu”.





KLOC, CZYLI BUGHOUSE

Zawsze zabieram ze sobą dwa zestawy, ponieważ chcę być gotowy do gry w szachy drużynowe w cztery osoby. Są tu specjalne zasady zbijania figur i szybkie tempo gry, co gwarantuje dużo emocji.

TURNIEJ W BADALONIE

W 2011 r. jako 16-letni szachowy junior wyjechałem z kumplem do Badalony (okolice Barcelony) na międzynarodowy turniej. Niestety podczas rozgrywek straciliśmy miejsce na nocleg pod dachem u znajomych kolegi (korzystaliśmy z couchsurfingu) i byliśmy zmuszeni nocować na plaży. Nie zmieniło to faktu, że wygrałem turniej.



„STRATEGIE SZACHOWYCH MISTRZÓW W BIZNESIE”

Na wyjazdy zabieram ze sobą książkę mojego autorstwa. Traktuję ją jako swoją wizytówkę, a zarazem prezent, który mogę wręczyć komuś wyjątkowemu. Naprawdę nie trzeba grać w szachy, żeby ją przeczytać ze zrozumieniem i móc zastosować strategiczne myślenie najlepszych szachistów w życiu i biznesie.

CLICKER

Do slajdów. Jeżeli pojawi się niespodziewana potrzeba wygłoszenia prezentacji (na temat szachów w biznesie czy sprzedaży), z naładowanym laptopem ze slajdami i clickerem w dłoni mogę to zrobić z marszu. W ciągu roku mam ponad 50 takich prezentacji.



PARTIA Z KARPOWEM

Jej zapis mam w biurze, ale regularnie do niego zaglądam, a tym samym stale jest w mojej pamięci.

To dla mnie niezmiernie ważne, ponieważ zremisowałem wtedy w symultanie z rosyjskim arcymistrzem szachowym i legendą szachów, byłem mistrzem świata.

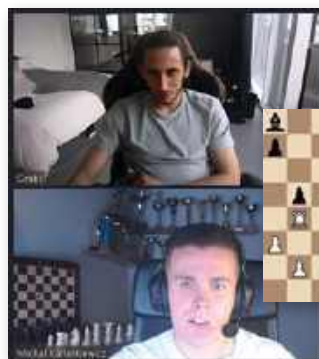
„GAMBIT KRÓLOWEJ”

Bardzo dobry serial, poprawny szachowo (poza przewracaniem króla) i wciągający kulturowo. Mamy nawet coś takiego jak efekt „Gambitu królowej”, tzn. wzrost partycypacji z 22 do 27 proc. wśród kobiet grających na największej platformie szachowej chess.com. Ciekawostką jest to, że przed emisją serialu w 2019 r. było 25 mln grających osób na świecie, a teraz jest w sumie 200 mln. Oczywiście to nie tylko wpływ filmu, lecz także globalizacja szachów online, dostępność internetu w komórkach, a w Polsce sukcesy Jana Krzysztofa Dudy.



MENTALNE SPA

Podczas biegania lubię analizować w myślach całą rozgrywkę, szukając możliwych alternatywnych rozwiązań. O ile szachiści nie kojarzą się z wysiłkiem



fizycznym, o tyle może zaskoczyć odwrotny trend – sportowcy grający w szachy. Przykładem jest Kamil Grabara, obecnie bramkarz VfL Wolfsburg, którego miałem przyjemność uczyć strategii szachowych. W zeszłym sezonie grał w Lidze Mistrzów i w meczu FC Kopenhaga z Manchesterem City obronił m.in. karnego Ryada Mahreza.

LAPTOP

O ile laptop nikogo nie powinien zdziwić, o tyle mój zwyczaj ładowania go (zresztą telefonu też) zawsze na full może się wydać przejawem perfekcjonizmu. Zalet takiego przygotowania się nie muszę chyba tłumaczyć.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Wartości kontra powierzchowność

Wszystko już wiemy. Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki powalczą o prezydenturę. Pierwszy – władarz stolicy z narcystyczną manierą, który za swoje polityczne osiągnięcia uważa kampus finansowany przez niemieckie fundacje. Drugi – skromny, pracowity, z determinacją budujący pomost pamięci narodowej i wizji Polski przyszłości – ambitnej, która nie ogląda się na aprobatę Berlina. Czyż można sobie wyobrazić bardziej symboliczne zestawienie?

Polityczna kariera Trzaskowskiego przypomina ładny budynek z eleganckim logo, ale bez solidnych fundamentów. Nie waha się on ściągać krzyży z przestrzeni publicznej, aby pasowały do jego „nowoczesnej” wizji miasta, a budżet Warszawy traktuje jak skarbonkę dla ordynarnych projektów. Trzaskowski zdaje się być wypłukany z wartości. Wizerunek jest najważniejszy. Oczywiście teraz usłyszymy absolutnie wszystko. Jak bardzo dba o pamięć historyczną, jak walczy o godność pomordowanych,

warszawiacy pewnie znów spotkają go zaczytanego w miejskim autobusie, w pierwszej ławce na roratach i na wiecu poparcia dla CPK, mimo że ma już przeciwieństwo lotnisko w Berlinie. Trzaskowski prowadzi politykę appeasementu, próbując przypodobać się silniejszym międzynarodowym graczom nawet kosztem polskich interesów.

I teraz zderzenie światów: spójrzmy na dr. Karola Nawrockiego, kandydata obywatelskiego, który od lat konsekwentnie walczy o to, co naprawdę ważne. Od pierwszych dni kampanii pokazuje, na czym polega różnica i o czym będą te wybory. Jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej pokazał, że historia nie jest dla niego tylko dekoracją. Burząc sowieckie pomniki, przywraca Polsce przestrzeń wolną od sowieckich symboli. Wspiera polskie żądania reparacyjne wobec Niemiec, to strażnik narodowych interesów. Walka o pamięć o pomordowanych na Wołyniu? Dla Karola Nawrockiego to obowiązek, a nie kwestia PR. Jego skromność i de-

terminacja kontra stoją z blichtrzem Trzaskowskiego – warszawskiego leniuszka, któremu prezydentura się należy.

W tym starciu Trzaskowski przypomina aktora – sprawiającego wrażenie błyskotliwego, ale powierzchownego. Karol Nawrocki zaś jest prawdziwy, zdeterminowany, by budować fundamenty silnej Polski. Jeden z zachwytem patrzy w lustro, drugi szanując historię, bez kompleksów patrzy w ambitną przyszłość narodu. Wybór między nimi to nie tylko wybór osoby, lecz także wartości, które mają kształtować Polskę na przyszłość. Warto o tym pamiętać, gdy medialny mainstream rozbudzając polityczne emocje, będzie się starał, by wybór Polaków był determinowany tym, co powierzchowne. **Arkadiusz Mularczyk**



„Zabezpieczone wolne media”

Czasem można odnieść wrażenie, że im częściej ktoś mówi o wolności, tym chętniej ją odbiera, a im częściej o demokracji, tym raźniej po niej depta. Jeśli spojrzymy na współczesną demokrację, to jej coraz istotniejszym elementem staje się informacja. Przynajmniej formalnie, bo faktycznie wiadomo, że jest ona spychana przez emocje. Czy jednak jest możliwy rzetelny wybór obywatela, gdy nie jest on odpowiednio poinformowany? Czy wyborca, który opiera swoją decyzję na niepełnej lub nawet zdeformowanej informacji, jest w stanie podjąć wybór zgodny ze swoim rzeczywistym przekonaniem? To są oczywiście pytania retoryczne, ale niestety aktualne.

Przed nami wybory prezydenckie i jak co pięć lat będziemy chcieli postawić krzyżyk przy jednym nazwisku. Idealna demokracja byłaby wtedy, gdybyśmy mieli pełną informację o każdym z kandydatów, ale czy tak będzie? Nie w 2025 r. Przykłady mamy każdego dnia, ostatnio, gdy w telewizji rządowej przerwano transmisję z konferencji Karola Nawrockiego, żeby powiedzieć, że nie odpowiada na pytania, podczas gdy właśnie

w tym czasie kandydat obywatelski to robił. Symptomatyczne, że jego główny kontrkandydat, czyli Rafał Trzaskowski, w tym samym czasie utyskuje na „brutalną kampanię”, a zrobił to kilka dni po tym, jak prorządowi dziennikarze rzucili insynuacjami o „hajlowaniu” w Nawrockiego. W seansie nienawiści wzięła udział Kamila Biedrzycka z telewizji rządowej, która nie przeprosiła, a jej przełożeni nie wyciągnęli żadnych konsekwencji.

A może właśnie o to chodzi? Przecież nie po to przemocą i bezprawiem przejmowano media publiczne już tydzień po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska, żeby z tego nie skorzystać do wzmocnienia swojej władzy sprawowanej siłą. „Nie muszę państwu mówić, że mamy zabezpieczone wolne media” – przyznał w Jawczycach kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta i trudno mu odmówić racji, choć działania rządu wobec mediów mają tyle wspólnego z bezpieczeństwem, co służba bezpieczeństwa. **Samuel Pereira**



Samuel Pereira

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sedno polskości

Ukazała się trafiająca w sedno polskości książka prof. Andrzeja Nowaka, która nosi tytuł „Naród niepokonany” (Wydawnictwo Biały Kruk). Zdarzało się, że jako historyk amator rzucałem z estrady jakieś opinie w ramach tzw. konferansjerki dotyczące spraw *stricte* historycznych. Trudno śpiewać np. o powstaniu warszawskim bez takiego odniesienia. Trudno, przywołując przedwojenną tradycję branżową, nie wspomnieć Franca Fiszerę z jego znaną diagnozą: „Nie będzie w Polsce dobrze, dopóki się nie rozstrzela 30 tys. łajdaków! – Franc, a jak się tyłu nie znajdzie? – Nie szkodzi. To się dobierze z uczciwych!”. W słynnym 1980 r., mówiąc o głupotach peerelu, pointowałem: historia uczy tylko jednego, że nigdy nikogo niczego nie nauczyła. Oczywiście nie miałem racji. Byłem dużo młodszy niż obecnie i z nonszalancją kabareciarza rzucałem kontrowersyjne paradoksy pour la hec. Poza tym w 1980 r. prof. Andrzej Nowak był jeszcze studentem i nie było kogo spytać. Zwłaszcza o sprawy tak nieoczywiste, jak wspólnotowa duchowość, zwana też charakterem narodowym.

Właśnie od tego szczególnego stanu ducha zależy, czy godzimy się żyć jak poddani, niewolnicy, czy też musimy się buntować niezależnie od groźnych okoliczności. „I choć się spēka świat i zadrży słońce, chociaż się chmury i morza naszroją, choćby na smokach wojska latające, nas nie zatrwożą”

śpiewali konfederaci barscy 2,5 wieku temu. Pamiętam wymarsz drużyny powstańców z warszawskiego podwórka w 1944 r. na zbiórkę parę ulic dalej. Chłopcy i dziewczęta niewiele ode mnie starsi. Jacy oni byli dumni, jacy przejęci, bo „na tygrysy mają visy”. Jak my, dzieciaki, im zazdrościliśmy...

Agenturalne pismaki pruskie i ruskie od lat wypisujące o bezsensownej walce nie biorą pod uwagę, że przez lata okupacji ta młodzież o niczym tak nie marzyła, jak o walce. Bo otaczał nas koszmar miasta upodłonego przez Niemców, uliczne egzekucje, łapanki, wywózki „na roboty”, szubienice, na których szukało się swoich bliskich, głód i beznadzieja...

Walka o ludzką wolność, o niepodległość narodową z pewnością nie jest głupia, nie jest bezsensowna. Jest niezbędna... ale wymaga odwagi, desperacji i last but not least wybitnego przywództwa! Czy bez takich cech Pierwsza Kadrowa ruszyłaby z Oleandrów na I wojnę światową w celu odzyskania niepodległości? Wielomilionowe armie wielkich mocarstw kontra jedna kompania!? To szaleństwo – mówiły zdroworozsądkowe figury, a jednak się powiodło. Polska odniosła zwycięstwo, po 123 latach wróciła na europejskie mapy...

Czytajcie „Naród niepokonany” Andrzeja Nowaka o przełomowych momentach polskiej historii. To nie prośba, to polecenie Tajnego Rządu Narodowego, którego pieczęć pulsuje w polskich sercach.



Jan
Pietrzak

Odkryłam, że mamy wspólną miłość

Z śpiewaczką **Małgorzatą Walewską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Czy jako gwiazda od początku zasiadająca w jurorskim składzie muzycznego show „Twoja twarz brzmi znajomo” ma pani jakieś niespełnione marzenie – utwór lub wykonawcę, którego chciałaby pani przywołać w tym programie?

Małgorzata Walewska: Trudno mi powiedzieć, natomiast podczas nagrań benefisu Bohdana Łazuki [emisja 21 grudnia w TVP – przyp. red.], kiedy słuchałam wspomnień jubilata, odkryłam, że mamy jedną wspólną miłość: Orkiestrę z Chmielnej i piosenki starej Warszawy. Ostatnio wzięłam udział w bardzo ciekawym przedsięwzięciu. Efektem jest teledysk zrealizowany z Pezetem...

Do utworu „Wszyscy to my”. To spotkanie diametralnie różnych muzycznych światów: hip-hopu i opery. Jak się w tym pani odnalazła?

Kiedy zastanawiałam się, co może mnie łączyć z dzisiejszymi raperami, uzmysłowiłam sobie, że to jest współczesna Orkiestra z Chmielnej: chłopcy z blokowisk śpiewają o sytuacji na ulicy. „Stachu, jam cię przecież kochała / Jam ci życie oddała...” czy „Bał na Gnojnej”. To są raperskie teksty tylko z tamtych czasów.

Przed nami mikołajki, za chwilę święta i Nowy Rok. Czego by pani sobie życzyła w związku z tymi okolicznościami?

Powiem szczerze: wszystko mam, więc chciałabym, aby nie było gorzej. Dodałabym jeszcze, jak większość kandydatek na miss świata: „Żeby był pokój na świecie”. I żeby nie było głodu. Wiem, że brzmi to trochę banalnie, ale to są naprawdę dobre i potrzebne życzenia. Cały czas nie jesteśmy w stanie ich spełnić.



Chłopaki, schodzę do podziemia!

23

listopada
br. zmarł
Tadeusz

Buraczewski. Inżynier, specjalista od turbin wodnych. Był budowniczym kluczowych zakładów przemysłowych w Polsce i NRD. Podczas studiów na Politechnice Gdańskiej aktywnie działał w Studenckiej Agencji Radiowej i współtworzył liczne kabarety (Ad Hoc, Jelita, Liliput, Karuzela, Uniq), zyskując dzięki temu kilka dodatkowych profesji: poety, scenarzysty (m.in. telenowela „Radio Romans”), redaktora radiowego (Radio Gdańsk, Trójka, Eska Nord), felietonisty („Gazeta Warszawska”).



Jego domeną stała się jednak satyra. Potyczki z PRL-owską cenzurą i piętnowanie głupoty transformacji ustrojowej wyostrzyły jego poczucie humoru. Buraczewski satyryk stał się zmorem uczestników wszelkich konkursów: gdziekolwiek się pojawiał, wszędzie wygrywał. Tę passę podstępnie przerwano..., zapraszając go do jury. Wkrótce Tadeusz sam inicjował organizację cyklicznych, ogólnopolskich konkursów satyrycznych: gdyńskiego O Grudę Bursztynu, gniewińskiego O Statuetkę Stolema i kilku pomniejszych.

Oddzielna sfera jego działalności to aktywna blogerka, w której tworzył zupełnie nowe słowa („pejsbuk”, „jandolenie”, „sejmici”, „niedorzecze Wisły” itp.). Jako twórca tekstów piosenek zdobył kilka znaczących nagród, m.in. Grand Prize australijskiego „Pulsu Polonii” za balladę „Bo my z ciebie, naczelniku”, dedykowaną innemu Tadeuszowi – Kościuszcze. „Bo my z ciebie, Tadeuszu, jak z rodzinnej pieśni/ Bo my z ciebie Tadeuszu jesteśmy...” Ten refren zyskał dziś nowe znaczenie.

PS Tadeuszu, piszę ten felieton w chwilę po Twym pogrzebie. Jako satyryk nie życzyłbyś sobie traktowania tego odejścia zbyt ławo. Zapewne zgodnie ze swą konfederacką naturą wyprawileś się właśnie na kolejne potyczki z komuną, postkomuną i złem wszelakim, wyśpiewując swój buntowniczy manifest: „Chłopaki! Wykopalem visa dziadka/ I na plamiaki dzinsy już zamieniam/ Cyrkiel, busola, dobra stara mapka.../ Chłopaki! Schodzę do podziemia!”

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PODZAS KONFERENCJI DOTYCZĄCEJ EKSHUMACJI POLAKÓW NA WOŁYNII, DZIENNIKARZ POPRAWNIE POLITYCZNEGO MEDIUM POSTANOWIŁ WZIĄĆ URLOP OD MYŚLENIA I ZAPYTAŁ PREZESA IPN... O JEGO PLANY URLOPOWE.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ (LESZEK DELUGOSZ), KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT.: LUDMILA KAZAKOVA, GRZEGORZ WALDAR, PIOTR JEDZIAK, REPORTER, IPN,
SHUTTERSTOCK/MICROGEN, EVAN EL-AMIN, OZUREK, IGOR LINK, DMYTRO SHEPETA

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Nagonka ruszyła



MAREK PYZA

Wystarczyło kilkadziesiąt godzin od przedstawienia Karola Nawrockiego jako kandydata na prezydenta, by obóz III RP i sprężnięty z nim medialny kartel odkrył środki, którymi prezes IPN będzie atakowany w tej kampanii

Rzucili się z wściekłością, szybko odkrywając intencje i metody. Obywatelski kandydat na prezydenta popierany przez Prawo i Sprawiedliwość będzie musiał mierzyć się z kłamstwami na swój temat, manipulacjami, będzie bezlitośnie ostrzeliwany przez medialnych funkcjonariuszy, nawet nie próbujących udawać, że liczą się dla nich jakiegokolwiek zawodowe standardy.

MEDIALNY JAZGOT

Ta scena będzie klasykiem. Oto dziennikarze walczący (zgodnie z wymogami Tuskowej demokracji walczącej) o pełnię władzy dla wodza z Sopotu przygotowali dla prezesa Instytutu Pamięci Narodowej istną „ścieżkę zdrowia”. W minioną środę Nawrocki zaprosił ich przed Sejm, by zaapelować do posłów o przyjęcie obywatelskiego projektu ustawy w sprawie Centralnego Portu Komunikacyjnego. Wzywał Koalicję Obywatelską do wycofania wniosku o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu (co kilka godzin później rzeczywiście się stało) i zapowiedział, że jeśli wygra wybory, walka o CPK będzie jednym z jego priorytetów.

Ale mało kogo interesowały polskie ambicje, rozwój gospodarczy i inwestycja absolutnie kluczowa dla przyszłości państwa. Ważniejsza była próba skompromitowania Nawrockiego. Tyle że to ekipa z mikrofonami się skompromitowała.

Zaczęła Justyna Dobrosz-Oracz, której bandyckie przejęcie mediów publicznych pozwoliło wrócić do służby w Telewizji Polskiej. Pytała Nawrockiego, czy zgadza się ze stwierdzeniem Jarosława Kaczyńskiego, że „mamy w Polsce władzę okupacyjną”. Szef IPN zdążył powiedzieć: „Pani redaktor, trochę powagi, jesteśmy na konferencji prasowej poświęconej polskiej przy-

szłości...”, na co diwa z mikrofonem syknęła: „Zaczyna pan od cenzury pytań?”.

Podtrzymując to pytanie, w sukurs poszedł jej Patryk Michalski z Wirtualnej Polski, niedawno współpracujący np. z Magdaleną Chodownik, szerzej znana jako kochanka ruskiego szpiega Pawła Rubcowa vel Pabla Gonzaleza. Nieusatsfakcjonowany odpowiedzią (Nawrocki nie znał słów Kaczyńskiego)

Pierwsza do ataku ruszyła „Gazeta Wyborcza”, która już w październiku opublikowała paszkwil na Nawrockiego. Do tego zadania oddelegowano Piotra Głuchowskiego, który miał przekonać opinię publiczną, że prezes IPN koleguje się z najgorszymi gangsterami

postanowił błysnąć swymi szerokimi horyzontami: „Jakie jest pana stanowisko w sprawie traktatu ottawskiego?”.

Gdy ze spokojem godnym bardziej szachisty niż pięściarza kandydat próbował odsunąć w czasie odpowiedzi na inne (również tak egzotyczne) pytania i ponowił apel o zainteresowanie dziennikarskiego towarzystwa tematem CPK, Dobrosz-Oracz puściły hamulce: „Ale pan wie, co to jest za traktat? Bo mamy wrażenie, że pan chyba nie wie, co to jest”.

Kolejne pytania (od TVN24, niemieckiego brukowca „Fakt” i znów neo-TVP) dotyczyły wypowiedzi innych polityków

na temat kandydatury Nawrockiego, składu jego ewentualnej kancelarii prezydenckiej, finansowania krakowskiej konwencji w hali Sokoła, a także aborcji. Na tym prezes IPN zakończył konferencję, skoro temat CPK nie przykuł uwagi literalnie nikogo ze zgromadzonych.

Chwilę później mieliśmy uliczną pogoń za kandydatem i kolejną przepychankę słowną z nieusatsfakcjonowanymi żurnalistami.

Nie minęły dwie godziny, a sytuacja powtórzyła się na konferencji w siedzibie Instytutu Pamięci Narodowej, gdzie Nawrocki odpowiadał na deklaracje władz ukraińskich rzekomo otwartych na ekshumację ofiar ludobójstwa na Wołyniu.

Tu w roli głównej wystąpił reporter TVN, którego prawda o zbrodni wołyńskiej jednak nie zaciekała – w przeciwieństwie do finansowania kampanii wyborczej czy niezależności kandydata.

Analogiczna sytuacja miała miejsce dzień wcześniej, gdy Nawrocki odwiedził podopiecznych Warsztatu Terapii Zajęciowej „Ja-Ty-My” w Sochaczewie. Zaprosił go tam szef placówki, by walczyć o prawa pracowników, którzy zostali pominięci i wyłączeni z korpusu pracowników społecznych otrzymujących dodatki do wynagrodzenia.

Powód pojawienia się Nawrockiego w Sochaczewie został zupełnie pominięty przez przybyłych dziennikarzy, których bardziej frapowała jego opinia o... przyczynach katastrofy smoleńskiej. Zdegustowana tą sytuacją podeszła do mikrofonu matka jednego z podopiecznych, mówiąc: „Czy państwo macie świadomość, gdzie jesteśmy i dlaczego tu jesteśmy? Nie interesuje państwa, jak funkcjonuje taka kapitalna, bardzo ważna w naszym życiu placówka? Państwo o to nie pytacie, a to jest całe nasze życie. Ci wszyscy pracownicy sprawiają,



Dziennikarze demokracji walczącej podczas konferencji prasowej w minioną środę podjęli próbę skompromitowania Nawrockiego. Tyle że to ekipa z mikrofonami się skompromitowała

że nam się żyje lepiej, że te nasze wszystkie dzieci, które mają dużo różnych umiejętności, mogą je wyrazić wyłącznie dzięki ludziom tutaj pracującym, którzy naprawdę są niedoceniani, a państwo się tym nie interesuje. Politykę można uprawiać, ale czy wszędzie?”

KŁAMSTWA, DRWINY I OLSNIENIA

Właściwie nie ma dnia bez faulu na Nawrockim ze strony systemu mediów III RP.

Kolejny dzień, czwartkowy poranek. Kandydat na prezydenta spotyka się z dziennikarzami po wizycie w śląskiej piekarni. Mówi kilka zdań, po czym poseł Michał Woś zachęca: „Szanowni państwo, jest możliwość zadania pytań”. Pokazuje to na żywo TVP Info, lecz Wosia wycisza w pół zdania, a prowadząca, uśmiechnięta niczym Polska Tuska, puentuje: „Tak jak wczoraj, tak i dziś nie było możliwości zadawania pytań kandydatowi obywatelskiemu Prawa i Sprawiedliwości, jakkolwiek to brzmi”.

Prezenterka przeprosiła (zresztą idiotycznie się tłumacząc), ale nie na antenie, lecz na swoim profilu w mediach społecznościowych. I choć ma podobną liczbę obserwujących co nielegalnie przejęte TVP Info, powinno się to odbyć w inny sposób. A przede wszystkim nie powinno mieć miejsca.

Przepraszać musiał również Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej”, który w studiu „Super Expressu” przypisał Na-

wrockiemu wznoszenie przed laty ręki w nazistowskim pozdrowieniu. Śmieszkował z tego wspólnie z Katarzyną Bąkowicz, przedstawiającą się jako... specjalistka od dezinformacji (może i słusznie, bo dezinformację uprawia znakomicie).

Przepraszać już musiał również Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej”, który w studiu „Super Expressu” przypisał Nawrockiemu wznoszenie przed laty ręki w nazistowskim pozdrowieniu

Za to samo przepraszał też Krzysztof Luft czy Jan Hartman. Każdy z ich wpisów świadczy o jednym – wielkiej obawie o przerznięty z kretelem proces. Tylko to – finansowe konsekwencje swoich kłamstw – zmusiło ich do publicznego posypania głowy popiołem.

Nie zdecydowały się na to jeszcze TVN24 czy TOK FM, na których antenach ludzie uważający się za dziennikarską elitę tytułowali Nawrockiego pogardliwym określeniem „doktor dres”.

Czym jeszcze próbują uderzyć? Np. nagłym olśnieniem, bo za takie trzeba chyba uznać wyznania Mariusza Wój-

towicza-Podhorskiego, byłego kierownika Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, czyli oddziału Muzeum II Wojny Światowej, w czasach, gdy gdańską placówką kierował Karol Nawrocki.

Po latach Podhorski przypomniał sobie, że był mobbingowany przez Nawrockiego, a lata ich współpracy stanowiły pasmo nieszczęść i sekowania jedyne sprawiedliwe w sprawie Westerplatte, na którego kreuje się bohater Wirtualnej Polski.

Rozmowę z 22 października redakcja zatytułowała „Jest zdolny do wszystkiego”. Ostrzega Polaków przed Karolem Nawrockim”. A padają w niej stwierdzenia: „intrygant przypisujący sobie zasługi innych”, „typ osiedlowego cwaniaczka”, „człowiek fałszywy, skupiony tylko na sobie” itd.

Tę dość długą publikację można by streścić w dwóch słowach: „żale frustrata”. Jak odniósł się do niej Nawrocki? „Przed wszystkim Mariusz Wójtowicz-Podhorski to człowiek wyłącznie ze swojej bajki. Jest skłócony z niemal wszystkimi, których poznał i z którymi choć przez chwilę współpracował. Nie chcę wiele mówić o Podhorskim, wydaje mi się, że szkoda czasu. To człowiek, który na podstawie trzech anonimowych relacji oskarżył Henryka Sucharskiego, narodowego bohatera. Zrobił z niego homoseksualistę i człowieka chorego na kiłę, który współżył ze swoim adiutantem. To człowiek, który prywatyzował rzeczy z Westerplatte, przetopił znalezione przedmioty w żółtą, który następnie chciał sprzedać pracownikom Muzeum II Wojny Światowej”.

Wirtualna Polska chyba nie zainwestowała najlepiej.

ZROBIĆ Z NIEGO GANGSTERA

Jednak pierwsza do ataku ruszyła „Gazeta Wyborcza”, która już w październiku opublikowała paszkwil na Nawrockiego. Do tego zadania oddelegowano Piotra Głuchowskiego, dawno skompromitowanego wyrobnika Agory, o którym nawet branżowy „Press” pisał: „Znany ze zmyśleń, plagiatów, kreowania anonimowych informatorów i podkreśniania tekstów”.

Plwociny Głuchowskiego miały przekonać opinię publiczną, że prezes IPN

koleguje się z najgorszymi gangsterami, a nadano im tytuł „Jeśli gość hotelowy potrzebował kobiety, starczyło dać znać Nawrockiemu – mówi dawny kolega prezesa IPN”. To wystarczyło, by uruchomić toczącą się do dziś lawinę najgorszych wyzisków pod adresem historyka. Politycy KO (np. Krzysztof Kwiatkowski) niby niewinnie i żartobliwie spekulowali, jakie to najczarniejsze kontakty Nawrockiego powychodzą jeszcze w trakcie kampanii, a ośmiogwiazdkowi troglodyci jeli na wyścigi wyzywać prezesa Instytutu Pamięci Narodowej od alfonsów.

Tak, Nawrocki jest zwykłym facetem z polskiego osiedla, a konkretnie z gdańskich Siedlec. Pochodzi z rodziny robotniczej, wychowywał się wśród społecznego przekroju – zarówno szkolnych prymusów, jak i chłopaków, którym raczej schodzono z drogi. Ale rodzina i sport ukształtowały go na silnego, rozumiejącego gen polskości (jakże Głuchowski nie znosi tego określenia) historyka z doktoratem, który poświęcił swoje życie zawodowe pielęgnowaniu pamięci o naszym dziedzictwie.

W jego życiu sport zawsze odgrywał ważną rolę. Lecz czy dlatego, że na boisku piłkarskim czy w hali bokserskiej spotykał również osoby dalekie od świętości, można wysnuwać wniosek, że sam taki jest? No nie.

Odnosząc się do absurdalnych zarzutów o rzekome bliskie relacje z przestępcami, w rozmowie z Wirtualną Polską w błyskotliwy sposób odparł: „Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że jestem na jakiejś fotografii w obecności osoby, która być może powinna siedzieć w więzieniu, a nie siedzi. Czy to z jednej strony będzie gwiazda mieszanych sztuk walki, czy z drugiej były marszałek Senatu Tomasz Grodzki”.

Czy w tej kampanii naprawdę ma chodzić o to, kto z kim występuje na zdjęciach? Czy mamy wyciągać daleko idące wnioski z faktu, że Rafał Trzaskowski fotografował się z pedofilem działającym w wiosce wikingów na warszawskim Bródnie? Czy mamy obarczać go grzechami Joanny Lange vel Gontarczyk, esbeckiej donosicielki, która inwigilowała ks. Blachnickiego i jest podejrzewana o udział w zabójstwie duchownego, a której stowarzyszenie Trzaskowski hojnie wspierał miejskimi

pieniędzmi i występował z nią na konferencjach? Czy mamy uważać, że jest takim samym dewiantem jak ci, z którymi pozował na Paradzie Równości?

W takim starciu prezydent Warszawy mógłby nie ustać do końca pierwszej rundy.

Trzaskowski chyba nie będzie miał ochoty na merytoryczną polemikę z Nawrockim, na licytację na wizję Polski. Dlatego sięga po projekcję i stawia kandydatowi obywatelskiemu zarzuty niesamodzielności i partyjności – zgodnie ze swoją strategią wykrzyczaną po ogłoszeniu wyniku prawyborów w Koalicji Obywatelskiej: „Mam bardzo mocny mandat i bardzo dużo energii, i determinacji, i odwagi do tego, żeby wygrać z PiS!”.

Po tych kilku dniach widać, że obóz rządowy będzie sięgał po wszelkie metody prowadzenia politycznej wojny i nie zawaha się posilkować również wsparciem z zagranicy, by uderzać w Nawrockiego

OGIEŃ Z ZAGRANICY

Po tych kilku dniach widać, że obóz rządowy będzie sięgał po wszelkie metody prowadzenia politycznej wojny i nie zawaha się posilkować również wsparciem z zagranicy, by uderzać w Nawrockiego.

Nie wiemy, jakich dźwigni użył Radosław Sikorski w Kijowie, czy znów pokusił się o szantaż wobec Ukraińców, ale nagły rzekomy zwrot w sprawie Wołynia trzeba czytać w tym kontekście.

Komunikat o odblokowaniu możliwości ekshumacji polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa to przecież nic innego niż przedwyborcza gra. Nawrocki powiedział: „Sprawdzam” i pokazał wnioski, które w ciągu kilku lat zostały w tej sprawie wysłane do Kijowa, ostatni na początku tego roku. Władze Ukrainy

zbywały je milczeniem. Gdyby więc rzeczywiście zmieniły zdanie i dały zielone światło na prace ekshumacyjne, po prostu do Warszawy nadeszłaby pozytywna odpowiedź na liczne pisma słane przez IPN.

Zamiast tego szef ukraińskiego odpowiednika Instytutu Anton Drowobycz oświadczył, że instytucja kierowana przez Nawrockiego nie przekazała listy miejsc, w których mają być poszukiwane szczątki ofiar zbrodni wołyńskiej. Szef ukraińskiego IPN pozwolił sobie na to, doskonale wiedząc, że miejsca niezbędnych ekshumacji były szczególnie wskazywane w kolejnych wnioskach słanych do Kijowa.

Cytując agencja Interfax-Ukraina napisała, iż szef ukraińskiego IPN „skarżył się, że teraz trudno będzie odróżnić wypowiedzi urzędnika IPN od kandydata na prezydenta”, co wskazuje na polityczne motywacje działań Ukraińców w brudnej grze wokół ludobójstwa, które obciąża ich sumienia.

Nie można wykluczyć, że atak na Nawrockiego przyjdzie również z drugiej strony – zachodniej. Prezes IPN jest wszak orędownikiem domagania się od naszych zachodnich sąsiadów odszkodowań za ich zbrodnie na Polsce i Polakach w czasie II wojny światowej. Jego główny konkurent jest zaś jednym z aktywów Niemiec na naszej scenie politycznej. Inwestują weni od lat, np. sowicie sponsorując olsztyński Campus Polska Przyszłości.

Łatwo przewidzieć, że niemieckie media będą kreślić wizję lepszych stosunków z Polską z Trzaskowskim jako głową państwa i przestrzegać przed zaognieniem stosunków, jeśli do pałacu prezydenckiego wprowadziłby się Nawrocki.

Prezes IPN to człowiek, który twierdził, że będzie bronił polskich interesów, nie przehandluje historycznej prawdy w zamian za paciorki. Nie ugnie się ani przed Berlinem, ani przed Moskwą. W tej ostatniej zresztą wystawiono za nim list gończy po tym, jak rozpoczął masową likwidację sowieckich pomników.

Skala ataków na niego świadczy o jednym: panicznym strachu. Wiedzą, że nie wolno go zlekceważyć, bo ma wielkie szanse na wygranie tych wyborów i zablokowanie domknięcia Tuskiego systemu.



Jak pokonać Trzaskowskiego?



STANISŁAW JANECKI

Gdyby znanych obecnie kandydatów na prezydenta Polski poddać takiemu testowi, że konfrontują się z aktem przemocy lub zagrożenia wobec kobiety bądź osoby słabszej, najmniej wątpliwości, że znajdzie skuteczne rozwiązanie, byłoby w przypadku Karola Nawrockiego (no, może jeszcze Marka Jakubiaka). I na końcu listy powodów, że tak się właśnie stanie, byłoby jego sportowe przygotowanie (trenowanie boks). Ważniejsze byłyby takie cechy, jak wychowanie, zdecydowanie, odwaga, męstwo, odpowiedzialność, poświęcenie, honor czy obowiązek rycerskości. A przede wszystkim naturalność i autentyczność.

Wbrew pozorom taki test wiele powiedziałby o tym, czy kandydaci są odpowiednimi osobami, aby znaleźć najlepsze, najskuteczniejsze rozwiązanie dla Polski, gdyby ta znalazła się w stanie zagrożenia. Karol Nawrocki dlatego wzbudza wręcz popłoch po stronie rządowej, a jednocześnie olbrzymią agresję, że dostrzegają w nim to, czego nie można się nauczyć, a ma ogromną wartość. Albo się to ma, albo nie. I sedno kampanii prezydenckiej powinno polegać na pokazaniu tego, co naturalne i autentyczne.

Na początkowym etapie kampanii rywale z Rafałem Trzaskowskim na czele są drugorzędni, bowiem ludzie sami dostrzegają różnice, wystarczy tylko stworzyć im taką możliwość. Nie trzeba robić żadnych rozbudowanych badań, żeby wiedzieć, iż w przypadku wspomnianego na początku testu nie da się kupić zaufania czy poczucia bezpieczeństwa. Nie mają istotnej wartości te sondaże, które konfrontują Karola Nawrockiego z Rafałem Trzaskowskim czy Szymonem Hołownią. Większość Polaków jeszcze przecież nie wie, że to nie są ludzie z tej samej bajki. Ale jest dość czasu, żeby się dowiedzieli. Mimo wściekłości establishmentu i medial-

Wygrana Nawrockiego z Trzaskowskim w 2025 r. jest tak samo niemożliwa jak pokonanie Komorowskiego przez Dudę w 2015 r.

nych funkcjonariuszy, co było bardzo wyraźnie widoczne choćby podczas konferencji Karola Nawrockiego 27 listopada 2024 r. Wściekłość jest ogromna nie dlatego, że Nawrocki jest z innej opcji, tylko z tego powodu, że wzbudza strach, iż może wygrać i uniemożliwić „domknięcie systemu” – jak to ujął Grzegorz Schetyna.

KTO TO JEST TRZASKOWSKI?

Dotychczasowe sondaże to banał i właściwie dezinformacja: są bardzo podobne do tych z 2015 r., gdy wyzwanie urzędującemu prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu rzucił Andrzej Duda, wtedy równie „nieznany” jak obecnie Karol Nawrocki. W 2015 r. żaden sondaż nie dawał zwycięstwa Andrzejowi Dudzie. W tym najbardziej „odjechanym” (dla „Faktów” TVN autorstwa Millward Brown) ze stycznia 2015 r. poparcie dla Bronisława Komorowskiego miało wynosić 65 proc., a Andrzeja Dudy – 21 proc. W sondażu CBOS z lutego 2015 r. poparcie dla urzędującego prezydenta miało wynosić 63 proc., zaś dla Andrzeja Dudy – 15 proc.

W listopadowym sondażu (2024 r.) UnitedSurveys dla Wirtualnej Polski Rafała Trzaskowskiego wskazało 55,9 proc., zaś Karola Nawrockiego – 33,7 proc. ankietowanych. Gdy 26 listopada 2024 r. opublikowano wyniki sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu”, w obozie władzy zapanowała podobna euforia jak w 2015 r. Wedle tego sondażu na Rafała Trzaskowskiego głosowałoby 58 proc. badanych, a na Karola Nawrockiego – 42 proc. Ale gdy tenże „Super Express” zrobił internetową sondę prezydencką na platformie X, zdecydowanie wygrał Karol Nawrocki – 54,1 proc., a na Rafała Trzaskowskiego wskazało 29,5 proc. W czasie trwania 24-godzinnej sondy, kiedy już było widać, że Karol Nawrocki zdecydowanie ją wygra, „Super Express” opublikował na X drugą, skonstruowaną nieco inaczej. Ale i tu

zdecydowanie wygrał Karol Nawrocki – 68,2 proc. głosów, wobec 19,1 proc. głosów na Rafała Trzaskowskiego. W tym samym czasie internetową sondę ogłosił dziennikarz Wirtualnej Polski Patrycjusz Wyźga: wygrał Karol Nawrocki – 61,7 proc. wobec 38,3 proc. Rafała Trzaskowskiego.

Z najnowszych sondaży oraz z tego, co działo się w 2015 r., wynika, że w pierwszej części kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski w ogóle nie powinien być punktem odniesienia dla Karola Nawrockiego. Nie ma najmniejszego powodu, żeby go wyróżniać. Punktem odniesienia powinna być przyszłość Polski i Polaków. Przyszłość zagrożona, gdyż praktycznie we wszystkich dziedzinach mamy pogorszenie w porównaniu z okresem 2015–2023.

Trzaskowski może się pojawić w kampanii Nawrockiego dopiero wtedy, gdy będzie mowa o ewentualnych debatach z nim. Ale zanim do tego dojdzie, Nawrocki powinien przez cały czas przedstawiać siebie i rodzinę jako reprezentantów Polski spoza salonów i grup uprzywilejowanych. Polacy powinni mieć szansę poznać syna tokarza i intrologatorki, którzy nie mieli żadnej renty (premii) z powodu pozycji społecznej (zapleczka materialnego, mieszkania, wpływów, koneksji). Nawrocki wszystko musiał zdobyć sam – tak jak zdecydowana większość Polaków. Łatwo zrozumieć narrację, że z powodu drogi życiowej nie ma lepszego niż Nawrocki reprezentanta tej Polski, która istnieje poza hierarchiami, przywilejami, układami, a jest udziałem większej części społeczeństwa. Nie ma kandydata, który lepiej przeczyłby zasadzie ustanowionej jeszcze w Magdalence, że muszą trwać hierarchie przeniesione z późnej PRL i później tylko nieznacznie modyfikowane wskutek kooptacji oraz korumpowania postsolidarnościowych elit (osobą w ten sposób dokooptowaną był np. Donald Tusk). Podczas kampanii Nawrocki powinien istnieć

w świadomości Polaków jako przedstawiciel zwykłej Polski, która za rządów lewicowo-liberalnych zawsze miała gorzej. Natomiast Trzaskowski to uprzywilejowany salon – zarówno w PRL, jak i w III RP.

SEPPUKU RZĄDZĄCEJ KOALICJI

Dr Michał Kuź, politolog, napisał na platformie X: „PiS stracił dotacje więc musi zastosować technikę aikido, sprokować przeciwnika i zrobić kampanię na jego negatywnej energii. [...] Może więc będziemy świadkami nie tyle miażdżącego zwycięstwa Karola Nawrockiego, ile widowiskowego seppuku KO”.

Wedle popularnych definicji podstawą aikido jest zasada ruchu i energii, by zmienić kierunek lub zneutralizować atak oraz kontrolować atakującego. Jej częścią jest przyjęcie i zneutralizowanie ataku bez pozostawiania możliwości jego ponowienia. Ale to w zaawansowanej fazie kampanii prezydenckiej, gdy Trzaskowski będzie już tak rozpędzony i ukierunkowany, że sam może się łatwo wykołować. Przede wszystkim z powodu zadufania i przekonania o własnym geniuszu. Zanim do tego dojdzie, najważniejsze jest uświadomienie, czym byłoby „domknięcie systemu”, gdyby prezydentem był Trzaskowski. Wtedy wszystkie władze byłyby podporządkowane tej wykonawczej. Prezydent z serca koalicji 13 grudnia to „domknięcie systemu” polegające na zamknięciu przestrzeni wolności. Co w połączeniu z zamachem (na razie w postaci drastycznego cięcia pieniędzy) na Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa oznacza, że Polska trwale przestałaby być demokracją i państwem prawa. Na poziomie ustrojowym nikt poza Nawrockim (jako popieranym przez największą partię opozycyjną) nie jest w stanie przeciwstawić się przekształceniu Polski w tyranie. Po wizycie w Polsce komisarza Didiera Reynersa nikt nie może mieć złudzeń, że przekształcaniu Polski w autokrację przeciwstawiają się jakiegokolwiek instytucje UE. Może to zrobić wyłącznie „niepodległościowy” prezydent.

Gdy chodzi o „domknięcie systemu” i brak reakcji z zewnątrz (instytucje UE czy Rada Europy), Nawrocki powinien przedstawiać Trzaskowskiego jako ważne ogniwo systemu przez lata działającego przeciwko interesom Polski (udział w tworzeniu antypolskich rezolucji, w decyzjach o karaniu i dyskryminowaniu naszego kraju, w „mrożeniu” środków dla niego).

Żeby wygrać z Trzaskowskim, Nawrocki powinien mówić językiem innym niż on – opartym na osobistym

W pierwszej części kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski w ogóle nie powinien być dla Karola Nawrockiego punktem odniesienia. Nie ma najmniejszego powodu, żeby go wyróżniać. Punktem odniesienia powinna być przyszłość Polski i Polaków

doświadczeniu. Trzeba zrezygnować z języka „obiektywistycznego”. Wszystko można opowiedzieć przez losy ludzi, w tym własne, a dopiero we wnioskach mogą się pojawiać ogólne tezy czy można formułować prawidłowości. Trzaskowski posługuje się językiem establishmentu, urzędu, instytucji. A to, że mówi w pierwszej osobie, wynika wyłącznie z narcyzmu. Żeby z nim wygrać, trzeba odnosić się do niego w kontekście wojny domowej, o której mówi on w mało zawołowany sposób (zamykanie w więzieniach, swego rodzaju pogrom PiS). Trzeba przedstawić rywala jako tego, którego prezydentura grozi wojną domową, bo on ją dopuszcza, nie mogąc się uwolnić od żądzy zemsty i odwetu. Jeśli prezydentem byłby reprezentant koalicji 13 grudnia, nie będzie żadnej instancji mogącej kontrolować rząd i Sejm oraz

Senat. Prezydent nie jest konstytucyjnie odpowiedzialny za gospodarkę i poziom życia Polaków, ale jako głowa państwa może blokować te ustawowe rozwiązania rządowe, które oznaczają spadki i pogorszenie: poczynając od wskaźnika wzrostu PKB przez inflację, bezrobocie, inwestycje, poziom płac i emerytur, poziom i zakres świadczeń społecznych. Nawrocki powinien być kojarzony z rozwojem, powrotem do wielkich planów inwestycyjnych – np. CPK (premier Tusk ze strachu przed nośnością tej kwestii ogłosił wsparcie projektu 3,5 mld zł w papierach skarbowych), wizją Polski ambitnej i wielkiej, a nie zwiąającej się. Wprawdzie prezydent nie decyduje o tym bezpośrednio, ale jego głos będzie trudny do zignorowania.

ŻUŻYTY JAK TRZASKOWSKI

Karol Nawrocki powinien się kojarzyć jako obrońca przeciętnej polskiej rodziny. Głośne słowa Donalda Tuska: „Skończy się PiS, skończy się drożyzna”, zamieniły się w kpinę. Inflacja, w ogromnej mierze tzw. inflacja Putina, zaczęła systematycznie spadać od szczytu w lutym 2023 r. (18,4 proc.), by w grudniu 2023 r. osiągnąć 6,2 proc. Wskaźniki z początku 2024 r. (3,7 proc. w styczniu, 2,8 proc. w lutym, 2 proc. w marcu, a nawet w kwietniu – 2,4 proc.) absolutnie nie są zasługą rządu Tuska, tylko kontynuacją wcześniejszych tendencji spadkowych (także dzięki polityce NBP, którego prezesa obecna władza chce zaciągnąć przed Trybunał Stanu). Zasługą rządu Tuska jest inflacja we wrześniu 2024 r. – 4,9 proc. i październiku – 5 proc. Trzaskowski byłby tylko utrwalaczem drożyzny. Także dlatego, że jest on już zużyty, politycznie przechodzony i nie daje nadziei na nowe otwarcie. Działa w polityce ok. 20 lat. A ubieganie się o prezydenturę dlatego, że ma kompleks przegranej w 2020 r., to za mało. Owszem, Trzaskowski wygrywał w Warszawie, ale to specyficzne miasto, gdzie wygrałaby szklanka z podpisem Tuska. Poza stolicą Trzaskowski jest przegranym, mimo że dostał 10 mln głosów. Ale „nic dwa razy się nie zdarza” – jak pisała noblistka Wisława Szymborska, a jako pierwsza śpiewała Łucja Prus.

Rafał Trzaskowski nie lubi Warszawy. To skupiony na sobie narcyz, który jest oderwany od świata i nie rozumie potrzeb zwykłych ludzi. Jego prezydentura nie byłaby służbą dla kraju, ale zwieńczeniem osobistej kariery

Alfabet Rafała



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W przeciwieństwie do Karola Nawrockiego Rafał Trzaskowski jest aktywny w polityce od 20 lat. Jednak pomimo tak długiego stażu próżno szukać jakichś wielkich dokonań, które mogłyby dawać mu przewagę nad konkurencją. Wiemy o nim na przykład, że mówi po francusku, że młodu był „dupiarzem” i że raz do roku wsiada do tramwaju.

Czy to wystarczające osiągnięcia, aby stanąć na czele państwa? Aby każdemu ułatwić odpowiedź na to pytanie, przygotowaliśmy krótką sylwetkę kandydata PO na prezydenta Polski i jego warszawskich rządów, porządkując całość w formie alfabetycznej.

A jak Alexander Soros

Alexander Soros, syn znanego spekulanta George’a Sorosa i jego następcy w Fundacji Społeczeństwa Otwartego (OSF), musi być chyba dobrym znajomym Rafała Trzaskowskiego, skoro panowie spotykają się ze sobą zarówno w Ameryce, jak i w Polsce. Co ciekawe, nigdy nie wiadomo, o czym ze sobą rozmawiają. Soros nie ukrywa jednak swojego zaangażowania w naszą część Europy, należy zatem przypuszczać, że widzi w Trzaskowskim swojego ideowego sojusznika.



Alexander Soros chce się teraz skupić na równości płci, prawach wyborczych i aborcji. Jego związki z Rafałem Trzaskowskim mogą więc nam wiele powiedzieć o priorytetach obecnego prezydenta Warszawy. Kogo będzie reprezentował i o co będzie walczył, jeśli zostanie wybrany na najwyższy urząd w państwie.

Bjak bonjour

Główną kwalifikacją Rafała Trzaskowskiego do pełnienia urzędu prezydenta Polski jest znajomość francuskiego. Pokaz swojej francuszczyzny dał podczas pamiętnej konferencji prasowej we wsi Sorkwity, gdzie na oczach tamtejszej ludności udzielał odpowiedzi na pytanie zadane mu przez zagranicznego korespondenta. Zobaczyliśmy wtedy Trzaskowskiego w swoim żywiole, popisującego się przed kamerami i napawającego się swoją wyższością nad otaczającym go plebsem. I choć jest to śmieszne oraz pretensjonalne, to dla elektoratu PO uchodzi za dowód wręcz kosmicznych kompetencji Trzaskowskiego oraz znak przynależności do światowej elity.

Cjak stacja metra Centrum

Platforma rządzi Warszawą od 18 lat. Czy wiedzą państwo, jak wygląda środek stolicy u zbiegu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich? Otóż ziele tutaj ogromny krater w ziemi, zwany szumnie stacją metra Centrum. Jest tam niczym w jakimś rosyjskim Muchosrańsku – brzydko i tandetnie. I od ponad ćwierćwiecza nikt z tym nic nie robi. Zresztą po co rządząca miastem Platforma ma coś z tym robić, skoro jej wyborcy najwyraźniej swojsko czują się w takim Muchosrańsku?

Djak dupiarz

Obecny kandydat PO opowiadał kiedyś o swojej burzliwej młodości i oburzył się, gdy został nazwany bawidamkiem. „Du-

piarz to tak, ale nie bawidamek” – protestował Trzaskowski. Bycie dupiarzem to jedno z jego najważniejszych osiągnięć. Niektórzy pamiętają jeszcze opowieści o „kopulodromie” w mieszkaniu aktora Michała Żebrowskiego, z którym Trzaskowski przyjaźni się od dzieciństwa. Całkiem niedawno Żebrowski wrócił do tych czasów, opowiadając, jak wraz z Trzaskowskim rywalizowali o dziewczynę o imieniu Julita. Konflikt miał zostać zakończony przez wspólne spotkanie w barze Poziomka. „Julita jest naszą bardzo dobrą koleżanką do dzisiaj. I też wspiera Rafała, to wiem na pewno” – zapewniał Żebrowski.

Ogólnie Żebrowski jest tak bardzo zachwycony swoim kolegą, że gdyby nie ich wieloletnia znajomość, można by go uznać za psychofana Trzaskowskiego. „Rafał zawsze bardzo dobrze się uczył i lubił się uczyć. Oprócz tego grał w piłkę, czasami imprezował, jeździł na wycieczki, był ulubieńcem zarówno dziewczyn, jak i kolegów”. Był liderem, bożyszczem i wszyscy go kochali. Tak było.

Ejak Edgar Morin

Edgar Morin to francuski filozof. Zresztą musi być francuski, skoro mowa o Trzaskowskim. Szersza publiczność poznała Morina dzięki wpisowi Trzaskowskiego na Facebooku, gdzie z egzaltacją opisywał swój egzamin przed prof. Geremkiem. „Bronisław Geremek uczył mnie cywilizacji europejskiej w Kolegium Europejskim w Natolinie, po francusku. Był poważny, zadumany i srogi. Dostałem najwyższą notę na roku, bo mój ówczesny francuski nie pozwolił na oratorskie popisy i zmusił do wypowiedzi chłodnej, precyzyjnej i oszczędnej. Profesor lubił konkret. Pamiętam, że referowałem credo Edgara Morina z »Penser l'Europe«. Czuliśmy się, jakbyśmy zdawali egzamin życia u biblijnego patriarchy z obrazów Rembrandta” – wspominał Trzaskowski. Spójrzcie teraz na siebie. Co wy wiecie o prawdziwym życiu?

Fjak fachowiec

Trzaskowski nie zawsze buja w obłokach. Jak trzeba, potrafi zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Tak było

podczas jego wizyty u „przypadkowej” mieszkanki Ursynowa, która miała uszkodzone drzwi. Trzaskowski wziął wtedy taśmę klejącą i w ciągu kilku sekund przykleił wypadającą szybę do ramek. Gospodyni – w rzeczywistym świecie działaczka KOD – była zachwycona sprawnością prezydenta Warszawy. Dzięki niemu szyba przetrwała w drzwiach przez cały dzień.

Gjak grube podeszwy

Na wielu zdjęciach Rafał Trzaskowski nosi buty na grubej podeszwie. To zupełnie niezrozumiałe, ponieważ powszechnie wiadomo, że jest bardzo wysoki. Wyborcy zachwycają się jego koszykarską sylwetką. „O matko kochana, ależ pan wysoki” – mówiła do Trzaskowskiego zaskoczona kobieta, z którą sfilmował się w trakcie kampanii prezydenckiej w 2020 r. Z kolei podczas niedawnego spotkania w Bydgoszczy jedna z mieszanek tego miasta stwierdziła, że Trzaskowski spełnia najważniejsze kryteria dobrego prezydenta. „Jest wysoki, przystojny, dobrze mu z oczu patrzy, a do tego ma wspaniałą żonę, dzieci i znajęzki” – powiedziała. „Gdziekolwiek pojawia się w Polsce, ludzie mówią: ale pan jest wysoki – przyznawał Trzaskowski. Ale na wszelki wypadek upewniał się: „Trzaskowski nie jest taki niski, prawda?” Prawda. Jest najwyższy na świecie.

Jjak Jamiroquai

Tego angielskiego zespołu nie pamięta już nikt poza Rafałem Trzaskowskim. Cztery lata temu w internecie pojawiło się nagranie, na którym prezydent Warszawy podczas imprezy w klubie nad Wisłą, negocjuje z didżejką zmianę muzyki. „Puść odrobinę funku” – namawia wyraźnie rozluźniony prezydent, choć zastrzega koncyliacyjnie, że dotychczasowa „muza jest zaj...a”. Mimo tych pojednawczych słów didżejka nie chce się zgodzić, więc po krótkiej wymianie zdań Trzaskowski sięga po wielkopięśki argument: „To moje miasto. Weźcie to troszeczkę pod uwagę”. Ostatecznie jego autorytet okazał się niewystarczający – mimo nalegań Trzaskowskiego, muzyki nie zmieniono. Jak więc może

on rządzić państwem, skoro nawet nie potrafi przekonać do swojego zdania obsługi w nocnym klubie?

K jak kładka

Kładka dla pieszych łącząca Powiśle z Pragą to fajna rzecz. Takie gadżety są w wielu europejskich miastach. Szkopuł w tym, że kosztowała aż 150 mln zł, co jest doskonałą ilustracją priorytetów Trzaskowskiego, ale nie tylko. Okazało się bowiem, że przeprawa, którą otwarto w marcu, wymaga kosztownego czyszczenia wycenionego na 150 tys. zł. „Apelujemy do użytkowników mostu, by nie doprowadzali do sytuacji, które zostawią trwały ślad na posadzce” – napisał Zarząd Dróg Miejskich.

Kilkanaście dni temu kładka została wyczyszczona. Portfele warszawiaków też.

L jak lotnisko w Berlinie

Aspiracje Rafała Trzaskowskiego są bardzo duże, ale tylko jeśli chodzi o jego osobistą karierę. W kwestiach publicznych prezentuje przeciętny poziom Platformy – brak jakiegokolwiek wizji i ambicji. Gdy rząd PiS podjął decyzję o budowie CPK, Trzaskowski był jej przeciwny. „Mamy gigantomanię Morawieckiego, który proponuje lotnisko w szczerym polu. W Berlinie udało się po latach i będziemy mieli lotnisko” – powiedział w 2018 r. My, to znaczy kto? Niemcy?



M jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej



Niewiele budynków wzbudza takie emocje, jak otwarty z wielką pompą przez Rafała Trzaskowskiego gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Do niedawna palmę pierwszeństwa w tej kategorii dzierżył sąsiedni Pałac Kultury i Nauki, ale Trzaskowskiemu udało się rzecz, wydawałoby się, niemożliwa. Sprawili bowiem, że stalinowski pałac przestał tak drażnić oczy. W porównaniu z białym kłosem nowego muzeum wydaje się ładniejszy i bardziej na miejscu.

Władze Warszawy nie przejmują się jednak opinią ludu. Każdy głos krytyki jest pogardliwie zbywany jako dowód estetycznej ślepoty i braku wyrafinowania. Bo przecież nowy gmach, który kosztował – bagatela – 700 mln zł, jest piękny w swojej prostocie i wprowadza Warszawę na europejskie salony. Hołota tego nie dostrzega, więc nie warto z nią dyskutować.

N jak niebieskie jajo

Jajo jest co najmniej dwumetrowe, leży na chodniku przy ul. Brackiej przed sporych rozmiarów kałużą, w którą łatwo może wdepnąć zaintrygowany przechodzień. Podobno po przytknięciu ucha słyszać odgłosy pisklęcia.

Nie jest to byle jakie jajo, ale jajo drozda za ćwierć miliona złotych, które wypłacono Joannie

Rajkowskiej – autorce m.in. słynnej palmy na rondzie de Gaulle’a. Mówi nam „o nieludzkich mieszkańcach Warszawy”, a więc – tłumacząc z postępowego żargonu na polski – o ptaszkach, pieskach, kotkach, pszczołkach i muszkach. Jest więc symbolem życia, ale nie ludzkiego, bo ono przecież nie zasługuje na szczególną ochronę i pomniki, ale tego nieludzkiego. Przede wszystkim jednak jajo jest symbolem rządów PO. I jeśli Polacy tak zdecydują w przyszłorocznych wyborach, takich jaj będzie więcej. To Trzaskowski może zagwarantować.

O jak oczyszczalnia Czajka

W sierpniu 2018 r. na północy Warszawy zaczęło śmierdzieć. Przez Białolekę i Tarchomin trudno było przejechać samochodem z otwartym oknem. I śmierdziało tak prawie przez dwa lata.

Wskutek awarii kolektora odprowadzającego ścieki do oczyszczalni Czajka do Wisły w każdej sekundzie trafiały 3 m³ nieczystości, co dawało 1,8 mln m³ na tydzień. To liczba odpowiadająca wypełnieniu dwóch Stadionów Narodowych niemal po dach. Jednak Rafał Trzaskowski zapewniał, że w Warszawie nie doszło do żadnej katastrofy. Nie przejęły się nią także żadne organizacje ekologiczne. Gdyby nie starania ówczesnego rządu, zapewne smród unosiłby się do dziś.

P jak październik

Październikowa strefa relaksu na pl. Bankowym – jednym z najbardziej zasmrodzonych placów miasta. Miała być symbolem troski o ekologię



i miejscem wypoczynku mieszkańców. Nikt z niej nie korzystał, więc ją rozebrano. A może spróchniała od spalin? Nie pamiętam.

Rjak rachunki

W Warszawie wszystko jest najdroższe. Grunty, mieszkania i rachunki. Nic dziwnego, skoro miasto zostało oddane w ręce deweloperów (a wcześniej mafii reprivatyzacyjnej), a za usługi komunalne odpowiadają zagraniczne firmy. Warszawa jest poligonem doświadczalnym dla rządów Platformy, na którym Trzaskowski przygotowuje się do objęcia władzy w całej Polsce.

Sjak serducho

Serducho, a właściwie kupa serducha, którą przesłała wyborcom swojego męża Małgorzata Trzaskowska w 2020 r. Rzadko pojawia się ona u boku męża, a jeśli już to natychmiast wychodzą z tego problemy. Tak jak przed wyborami samorządowymi w 2023 r., gdy w internecie pojawił się film, na którym Trzaskowski siedzi rozparty na krześle, podczas gdy jego żona krząta się przy garach. Zrozumieliśmy wtedy, czemu pani Małgorzaty w ogóle nie widać. Ktoś przecież musi sprzątać, gotować, robić zakupy, pracować, dbać o dom. Mąż ma ważniejsze sprawy na głowie. Walczy o równość płci.

Tjak tramwaj

Trzaskowski jadący tramwajem to znak, że zbliżają się wybory. Wtedy bowiem prezydent Warszawy prze-

lamuje swój naturalny wstręt do pospólstwa i wsiada do tramwaju. Po wejściu rozgląda się z zaciekawionym. Niestety nie zna chyba zwyczajów panujących w komunikacji miejskiej, bo najpierw idzie przywitać się z motorniczą, a potem siada w fotelu, nie ustępując miejsca kobietom. Dla zabicia czasu czyta książkę. Do tej pory widziano go w tramwaju trzy razy: w czwórkę, w dziesiątkę i w szesnastkę. Jechał też „tramwajem różnorodności”, ale to się nie liczy, bo tęczowy pojazd zepsuł się po swoim pierwszym kursie.

Ujak ulica Kaczyńskiego

Innym znakiem, że zbliżają się wybory, jest ulica Lecha Kaczyńskiego. Taka ulica krótko była już w Warszawie, ale zamiast zmarłego prezydenta Platforma wolała komunistyczną Armię Ludową. Od tamtej pory Trzaskowski szuka „godnego miejsca” dla Lecha Kaczyńskiego i wciąż nie może go znaleźć. Najbardziej intensywne poszukiwania trwają przed wyborami.



Wjak woda

Stołeczne ulice co roku są zaptapiane przez ulewę. Deszcz to żywioł, z którym Platforma nie jest w stanie sobie poradzić, i to nie tylko w Warszawie. Podobnie jak zresztą ze śniegiem, słońcem i wiatrem.



Zjak zdejmowanie krzyży

„Jeśli katolicy w Polsce będą potrzebowali opieki Rafała Trzaskowskiego, to on będzie ich bronił” – powiedział wiceminister obrony Cezary Tomczyk. Na razie jednak takiej opieki nie potrzebują, dlatego Trzaskowski polecił usunąć krzyże z widoku publicznego w urzędach miejskich. Jego żona zdradziła zaś, że dzieci Trzaskowskich nie chodzą na religię, a jego syn Staś nie poszedł do pierwszej komunii. Pani Trzaskowska miała bowiem żal do Kościoła, że nie poparł manifestacji aborcyjnych. Któż mógłby się tego spodziewać, prawda?





Czy Tusk pójdzie na wojnę z Niemcami w obronie polskiego rolnictwa?

Donald Tusk ogłosił, że nie zaakceptuje zabójczej dla rolnictwa umowy handlowej z południowoamerykańską wspólnotą gospodarczą Mercosur. Z tego powodu PSL ogłasza swoje zwycięstwo. A główni zainteresowani, czyli polscy rolnicy, nie ufają tej obietnicy. Uważają, że Tusk ich oszuka, bo ostry sprzeciw wobec tej umowy oznacza wojnę z Niemcami i Brukselą. A nie wierzą w to, że premier jest gotowy na taką walkę

Umowa handlowa między Unią Europejską a południowoamerykańską wspólnotą gospodarczą Mercosur nie jest na razie dostrzegana przez opinię publiczną. Nie stanowi istotnego tematu debaty publicznej. Było trochę protestów rolniczych w tej sprawie, nie przebiły się jednak one do świadomości ogółu społeczeństwa. A temat jest wyjątkowo ważny: zawarcie układu z Mercosur oznacza cios dla rolnictwa Polski oraz większości innych krajów UE. Stanowi bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa żywnościowego Polski i całej Europy, a także zaprzeczenie dotychczasowej polityki rolnej Wspólnoty, czyli uznania, że jej podstawą są rodzinne farmy i gospodarstwa.

TWARDO DO WYBORÓW, A POTEM MOŻE BYĆ INACZEJ

Mercosur, czyli Wspólny Rynek Południa, to organizacja (nieco podobna do Unii Europejskiej) grupująca Brazylię, Argentynę, Paragwaj, Urugwaj i Boliwii.



PIOTR GURSZTYN

Krajami stowarzyszonymi są Chile, Peru, Kolumbia i kilka mniejszych państw latynoamerykańskich. Rząd Donalda Tuska formalnie zajął się porozumieniem w wtorek, 26 listopada. Po posiedzeniu premier wygłosił następujący komunikat: „Rada Ministrów wyraża sprzeciw wobec dotychczasowych wyników negocjacji z Mercosur w obszarze rolnictwa”, po czym dodał słowa świadczące o tym, że zależy mu na tym, aby sprawa umowy nie stała się tematem debaty publicznej, bo uchwała RM to „coś, co powinno przeciąć spekulacje, niepokoję, wielogodzinne dyskusje także w parlamencie”. Powiedział także, iż Polska nie zaakceptuje porozumienia „w obecnym kształcie”.

Wszystkie zawarte w komunikacie Tuska werbalne figury, a także szerszy kontekst zdarzeń sprawiają, że główni zainteresowani, czyli rolnicy, nie czują się mniej zaniepokojeni. Jeden z naszych rozmówców, duży hodowca bydła rogatego, w tym czasie był na ważnej imprezie rolniczej Forum Top Agrar w Poznaniu. Informacja o decyzji w sprawie Mercosur od razu stała się tam głównym tematem rozmów. – Nikt tu nie wierzy w obietnice Tuska. Wszyscy przypominają, co mówił o Trumpie i Rosji – powiedział nasz rozmówca nawiązując do niedawnego przypięcia Tuska na ewidentnym kłamstwie.

Słychać też obawę, że obecna, rzekomo twarda deklaracja ma związek z wyborami prezydenckimi. Będzie obowiązywała do maja lub czerwca, czyli terminu głosowania. A potem postawa rządu się zmieni. Szczególnie że Tusk użył kilku słownych wytrychów, w tym niepokojące słowa o „obecnym kształcie” umowy. – Może być tak jak z zapowiedzią mrożenia cen energii. Czyli tylko na dziewięć miesięcy – wskazują rolnicy.

Ich przypuszczenia wiążą się z tym wszystkim, co wiadomo o Donaldzie Tusku i jego polityce. Odmowa poparcia umowy będzie oznaczała wojnę z Berlinem i Brukselą. Czy Tusk jest zdeterminowany, aby na nią pójść? To pytanie retoryczne. Ale nawet gdyby, to determinacja w walce będzie musiała być podwójna. Bo przeciwnik to nie tylko Niemcy i brukselski establishment. Drugim promotorem układu z Mercosur są globalne korporacje, które opanowują światowe łańcuchy żywnościowe. Kontrolują przemysł przetwórczy, stopniowo eliminując lokalnych wytwórców. Dominują w handlu, przejmując wielkie sieci handlowe, co też skutkuje eksterminacją miejscowego handlu. Korporacje przejęły miliony hektarów w Ameryce Południowej, a także na Ukrainie.

LEWICOWE PROJEKTY

Europa chroniła swoje tradycyjne rodzinne rolnictwo. Wprawdzie tutaj także następuje proces koncentracji i likwidowania mniejszych gospodarstw, ale dzieje się to w dużo wolniejszym tempie. Bankructwo farmerskiego rolnictwa daje korporacjom możliwość przejęcia ziemi również na Starym Kontynencie. Odbija się to negatywnie na strukturze zaludnienia, bo przyspiesza depopulację wsi i mniejszych miast. To z kolei szkodliwie wpłynie na demografię, bo to prowincja ma lepsze wskaźniki urodzeń niż wielkie metropolie z ich zatamizowaną ludnością. Widać więc wyraźnie, że skutki układu z Mercosur mogą mieć też efekty typowe dla działania inżynierii społecznej. W kształcie, który akurat nie będzie przeszkadzał rządzącym Europą liberałom czy sprzymierzonej z nimi lewicy.

ŻYWNOSĆ NA DOPINGU

Merosur to kilkaset milionów konsumentów, wcale nie tak biednych, jak wielu u nas myśli. Ponętny rynek dla upadającego niemieckiego przemysłu. Jedno z ostatnich miejsc, gdzie Niemcy mogą ulokować swoją produkcję. Propaganda za układem już głosi, że dzięki temu będzie możliwe wyparcie Chin z wielkiego rynku południowoamery-

kańskiego. Argument o tyle fałszywy, że produkty europejskie – drogie wskutek głupiej polityki Brukseli – nie staną się tańsze od chińskich ani bardziej nowoczesne. Ale taka propaganda będzie nam serwowana pod hasłem bezpieczeństwa świata Zachodu konkurującego o globalne Południe z Chinami jako głównym sojusznikiem Rosji.

Jednocześnie Mercosur, szczególnie Brazylia i Argentyna, to gigantyczny wytwórca produktów rolnych. W tej dziedzinie ma wiele poważnych przewag nad rolnictwem europejskim. Tamtejsi hodowcy i plantatorzy nie są skrzępowani przepisami, które Bruksela systematycznie narzuca europejskim producentom. Dotyczy to przepisów zasadnych – takich jak te, które ograniczają zużycie środków chemicznych (pestycydów i herbicydów) celem ochrony zdrowia konsumentów. Jak i tych, które są udręką dla rolników – związanych z emisją CO₂, absurdalnych nakazów dotyczących higieny, dobrostanu zwierząt itp. „Żywność na doping” – tak nazywają południowoamerykańskie produkty zwierzęce nasi rolnicy, bo w krajach Mercosur nie ma zakazu dodawania hormonów wzrostu do pasz dla zwierząt.

Południowoamerykańskie rolnictwo funkcjonuje też w lepszych warunkach klimatycznych (kilka zbiorów w ciągu roku), korzysta z tańszej siły roboczej i tańszej energii. Jest wielkoobszarowe, często prowadzone przez globalne korporacje, wobec czego rodzinne farmy w Europie nie mają żadnych szans na uczciwą konkurencję. Przedsmak tego mieliśmy, gdy do Polski wjeżdżało tańsze zboże ukraińskie produkowane tam przez międzynarodowe holdingi gospodarujące na setkach tysięcy hektarów. Wrazie otwarcia Europy na południowoamerykańską produkcję sytuacja będzie wyglądała tak samo, ale w skali XXL.

MILCZENIE WARSZAWY

Berlin uznał, że ważniejszym interesem niż ochrona europejskiego rolnictwa (w tym własnego) jest ratowanie upadającego niemieckiego przemysłu. Jest gotowy na rewolucję, jaką będzie upadek rolnictwa oraz na konfrontację z innymi stolicami europejskimi. Nawet

z Paryżem. Inaczej niż w Niemczech, we Francji rolnictwo i produkcja żywności są uważane za branżę strategiczną. Głos przeciw układowi z Mercosur zabrał Emmanuel Macron. Prezydent Francji apelował do Donalda Tuska o poparcie w tej sprawie, ale usłyszał ciszę. Polski premier nie odzywał się w tej kluczowej sprawie. Zabierał głos w dziesiątkach zupełnie nieistotnych kwestii, bardzo często niepotrzebnie i bez sensu. Tu jednak milczał, co miało znaczenie w formowaniu koalicji państw zdolnych do zablokowania układu.

Podobno obiecał poparcie Macronowi, spotykając się z nim na szczycie w Budapeszcie. Wiemy to nie z oficjalnego komunikatu, ale od postaci ekscentrycznej, kontrowersyjnej i przez to mało wiarygodnej – czyli od wiceministra rolnictwa Michała Kołodziejczaka. Wiceminister mówił też, że Radosław Sikorski jako szef MSZ namawiał szefów dyplomacji z największych krajów UE do zablokowania układu. Brzmi to dziwnie, bo oznacza tyle, że Sikorski namawiał Francuzów, których nie trzeba namawiać, i Niemców, których raczej trudno będzie przekonać.

CO ZROBI PSL?

Sprawa układu z Mercosur u nas jest podnoszona nie tylko przez opozycję. Odzywał się, co zrozumiałe, główny koalicjant Tuska, czyli Władysław Kosiniak-Kamysz. Jego głos brzmiał dramatycznie, zapowiadał stanowczy sprzeciw. PSL oficjalnie nie może zaakceptować układu niszczącego krajowe rolnictwo. Oznaczałoby to nie tylko całkowitą utratę poparcia wsi, lecz także masowy bunt dołów partyjnych. Teraz PSL z radością ogłasza swój wielki sukces. Minister rolnictwa Czesław Siekierski oznajmił, że sprzeciw „stał się faktem”.

Kosiniakowi-Kamyszowi i Siekierskiemu można uwierzyć, że szczerze nie chcą układu szkodliwego dla polskiego rolnictwa. Obaj mają spokój na kilka miesięcy. Układ zostanie przystopowany, ale potem ruszą prace nad jakimś jego przeredagowaniem, aby móc go w końcu wprowadzić w życie. Co wtedy zrobi lider PSL i minister rolnictwa? Siekierski niewątpliwie

jest człowiekiem kompetentnym, jeśli chodzi o rolnictwo, ale czy dostatecznie twardym pod względem charakteru? To on przecież jest tym Czesławem, który dał się pomiatać Tusкови na otwartym dla mediów posiedzeniu Rady Ministrów. A Kosiniak-Kamysz stanie przed wyborem: obrona rolnictwa albo koalicyjne konfitury. Nie jest to już temat, który da się przemilczeć lub załatwić jakimś zgłnyłym kompromisem.

POLITYKA KLIMATYCZNA W NATARCIU

Problem będzie wracał, bo oprócz nacisków Niemców i Brukseli oraz lobbingu wielkich korporacji zwolennikom układu z Mercosur sprzyja polityka klimatyczna UE. Dotyczy to także Polski. Obecne kierownictwo Ministerstwa Środowiska i Klimatu zadeklarowało przecież, że nasz kraj będzie dochodził do tzw. celów klimatycznych szybciej niż zakłada harmonogram opracowany przez Komisję Europejską. Tę zapowiedź trzeba też odczytywać w kontekście rolniczym. Także rolnictwo jest już traktowane przez władze unijne jako szkodliwy emitent CO₂. System opłat ETS ma być nałożony na produkcję rolną, i to nie tylko na emisję wytwarzaną przez maszyny rolnicze, lecz także przez... zwierzęta hodowlane. Tutaj najbardziej winne puszczania gazów są krowy, więc cios zostanie zadany hodowli bydła rogatego. Beneficjentem będą zatem gigantyczni producenci wołowiny z Argentyny i Brazylii, którzy nie dość, że dysponują niezmiernymi obszarami pastwisk, z powodu ciepłego klimatu nie muszą budować obór, a teraz jeszcze skorzystają z tego, że ich europejska konkurencja jest spętana draakońskimi przepisami.

Nie jest to wizja surrealistyczna, bo system ETS w rolnictwie wprowadziła już Dania. Zawiązała się tam charakterystyczna koalicja: za były partie socjaldemokratyczna, liberalna i Zieloni. Przeciw Partia Ludowa. Czyli trzy partie „miejskie” kontra jedna, którą jeszcze reprezentuje coraz mniej licznych farmerów. Ten model może w przy-

szłości zadziałać także w Polsce, bo Platforma nie ma wyborców na wsi. Na czym Tusкови zależy bardziej – uznaniu polskich rolników czy akceptacji elit berlińsko-brukselskich? Odpowiedź na to pytanie nie jest przesadnie trudna.

MIASTO KONTRA WIEŚ

Otwarcie rynków europejskich będzie oznaczało, że napłyną tu produkty wprawdzie niższej jakości, ale znacznie

Berlin uznał, że ważniejszym interesem niż ochrona europejskiego rolnictwa (w tym własnego) jest ratowanie upadającego niemieckiego przemysłu. Jest gotowy na rewolucję, jaką będzie upadek rolnictwa oraz na konfrontację z innymi stolicami europejskimi. Nawet z Paryżem

tańsze. Nie tylko wołowina, lecz także drób i produkty zbożowe. To oznacza, że możliwe będzie rozpętanie kampanii propagandowej „miasto kontra wieś”. Rolnicy zostaną przedstawieni jako ludzie pazerni, którzy wbrew regułom rynku produkują drogą żywność, otrzymując przy tym dopłaty. I tu dochodzimy do kolejnej przyczyny, która sprawia, że układ z Mercosur szybko wróci na agendę.

Bruksela próbuje uspokajać rolników. Mówi, że produkcja południowoamerykańskich farmerów będzie musiała spełniać te same normy, co żywność wytwarzana przez rolników z naszego kontynentu. Opinia publiczna zostanie uspokojona, a Tusk będzie mógł ogłosić w przyszłości sukces, bo przejdzie wersja umowy inna niż „w obecnym kształcie”. Tyle że to nie zadziała, co było widać czasie polskiego kryzysu

z ukraińskim zbożem. Eksporterzy i importerzy znaleźli liczne luki w systemie – np. stworzyli kategorię zboża technicznego. Ponadto żadne surowe normy nie zniwelują przyrodniczych przewag wielkoobszarowego rolnictwa brazylijskiego czy argentyńskiego.

Jeszcze gorszą pułapkę, co stwierdzają sami rolnicy, stanowi obietnica stworzenia funduszy kompensacyjnych. Jest oczywiste, że nie będą one działały wiecznie, a rolnicy i tak nie odzyskają rentowności. Wtedy opinia publiczna w całej Europie usłyszy, że nie ma sensu dotowania tak nieopłacalnej branży gospodarki, jaką jest rolnictwo. A to pozwoli w ogóle skasować budżet rolny UE lub poważnie go ograniczyć i przesunąć te pieniądze na inne cele. Zgodne z intencjami lobbystów. Trzeba pamiętać, że środki na politykę rolną to ogromna część budżetu UE, więc nie brakuje chętnych na ich rozdrapanie.

CO DALEJ?

Możliwy zatem jest następujący rozwój sytuacji: dzisiaj Tusk ogłasza, że zablokował szkodliwy dla Polski pakt „krowy za samochody” (jak bywa nazywany). Nie chwali się tym zbyt, tak aby nadal większa część opinii publicznej

nie interesowała się tą sprawą. Przy czym trzeba też założyć, że ta deklaracja może być tyle warta, co jego słowa z lipca br., kiedy ogłosił, że Polska uzyskała unijne finansowanie na budowę Tarczy Wschód, a po kilku godzinach było już powszechnie wiadome, że to nieprawda.

Za kilka miesięcy, już po wyborach prezydenckich w Polsce, wróci nowsza wersja umowy. Nieco przeredagowana, ale też szkodliwa. Przestraszony galopującą drożyzną rząd Tuska uzna, że musi skorzystać z nadzwyczajnej okazji, jaką da mu zalew polskiego rynku tańszą żywnością zza oceanu. Trudno oprzeć się pokusie, aby w ten sposób choćby na chwilę nie uratować słupków poparcia. Ceną będzie katastrofa polskiego rolnictwa. Ale co to Tuska obchodzi? Rolnicy nie są jego elektoratem.

Chcą zniszczyć nasze dzieci

Wychowanie do życia
w rodzinie uczyło, jak zakładać
rodzinę, tymczasem edukacja
seksualna zawarta w edukacji
zdrowotnej uczy, jak zakładać
prezerwatywę

Z Hanną Dobrowolską,
polonistką, autorką
podręczników szkolnych
do języka polskiego dla kl. 4–6
oraz nauczania początkowego,
współzałożycielką Ruchu
Ochrony Szkoły, rozmawia
Dorota Łosiewicz

*Dobiegły końca konsultacje społeczne
w sprawie przedmiotu edukacja
zdrowotna zawierającego kompo-
nent w postaci edukacji seksualnej.
Jakie uwagi zgłosiła Koalicja na
Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły?*

Hanna Dobrowolska: Muszę zde-
mentować, że to, co się odbyło, to były
konsultacje społeczne. To były kon-
sultacje publiczne. Odmówiono kon-

sultacji społecznych i wysłuchania
publicznego. Do rozmowy zaproszono
określone podmioty, które znalazły
się na liście Ministerstwa Edukacji
Narodowej. My jako KROPS zabrali-
śmy głos niezależnie od zaproszenia.
Podobnie jak bardzo wiele innych or-
ganizacji, stowarzyszeń i instytutów
naukowych oburzonych treścią pro-
jektu rozporządzenia i zaproponowaną

podstawą programową. Zgłosiliśmy ekspertyzę liczącą ponad 100 stron. Do współpracy włączył się prof. Bogdan Chazan, dr Artur Górecki, dr Zbigniew Barciński, autorki dawnej podstawy programowej przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie: Teresa Król i Renata Krupa, lekarze, w tym psychiatrzy, pedagodzy, psycholodzy, nauczyciele. Całą ekspertyzę można znaleźć na stronie Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły czy Instytutu Ordo Iuris oraz Ruchu Ochrony Szkoły.

Co zawiera ta ekspertyza?

Najistotniejsze jest to, że eksperci szczegółowo wypunktowali, iż treści, które zawiera podstawa programowa przedmiotu edukacja zdrowotna, powtarzają się w podstawach innych przedmiotów, m.in. takich jak biologia czy wychowanie fizyczne. To znaczy, że uczniowie dwukrotnie będą się uczyć o tym samym, a przecież mieli być mniej obciążeni nauką, a nie bardziej. Tym, co jest nowe, to wprowadzenie permissywnej edukacji seksualnej typu B na podstawie standardów WHO. Ważny wątek tej ekspertyzy to kwestia błędnie pojmowanej profilaktyki. Autorzy podstawy twierdzą, że przyświeca im profilaktyka, tymczasem podjęli działanie na tyle nieprofesjonalne, że można im zarzucić zerową wiedzę i przygotowanie z zakresu profilaktyki. Ten głos rezonuje także w postaci bardzo interesującej i ważnej ekspertyzy, która została wysłana i upubliczniona na stronie Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej. Ten instytut, kierowany przez dr. Szymona Grzelaka, od ponad 20 lat prowadzi szeroko zakrojone badania i warsztaty profilaktyczne w różnych grupach dzieci i młodzieży. W obu ekspertyzach przewijają się te same argumenty profesjonalistów, a chodzi o to, że nie można stosować pozorowanej profilaktyki, która sprowadza się do tego, że w efekcie wywołuje się zjawiska, z którymi rzekomo się walczy. To przysłowiowe gaszenie ognia za pomocą benzyny. Nie zastosowano tu profilaktyki uniwersalnej, przeznaczonej dla szerokiej grupy

odbiorców, która ma zapobiegać podejmowaniu przez uczniów zachowań ryzykownych i która redukuje czynniki ryzyka, a wzmacnia czynniki chroniące. To raczej profilaktyka selektywna i wskazująca, a one są zawężające i skierowane do grup wysokiego ryzyka, czyli np. do młodzieży, która przejawia zachowania antyspołeczne czy dla uczniów z rodzin z zespołem alkoholowym. Do tych grup kieruje się inne metody profilaktyki, głębsze, mocniej drażące problem. Tymczasem

Nie ma badań, analiz, żadnego podłoża naukowego, żadnych argumentów za takim rodzajem edukacji. Zespół prof. Zbigniewa Izdebskiego nie przedstawił żadnych racji naukowych tłumaczących sens wprowadzenia wychowania seksualnego w takim kształcie

właśnie ten rodzaj profilaktyki zastosowano tu wobec wszystkich uczniów. W efekcie dziecko, które nie styka się pewnymi problemami czy zachowaniami ryzykownymi, nie знаło ich, dowie się o nich w szkole. Dzieje się to za wcześnie, za szeroko i za głęboko. Pod pozorem zapobiegania zachęca się w istocie do podejmowania pewnych zachowań poprzez informację, że one w ogóle istnieją. Spotkałam się z ostrym stwierdzeniem, że wychowanie do życia w rodzinie uczyło, jak zakładać rodzinę, tymczasem edukacja seksualna zawarta w edukacji zdrowotnej uczy, jak zakładać prezerwatywę.

W tej sprawie potrzeba mocnych słów.

Nowe podejście MEN zakłada, że dziecko od małego trzeba wyposażać w szeroką wiedzę o seksie i niech sobie z nią radzi. Tymczasem psychologowie podkreślają, że ryzykowne zachowa-

nia, np. wczesna inicjacja seksualna skutkująca np. problemami z chorobami wenerycznymi czy wczesnymi ciążami lub zachowania prowadzące do przemocy seksualnej mogą być wywołane przez nadmiar wiedzy o seksie przedstawionej zbyt wcześnie. To twierdzenie na podstawie twardych danych, m.in. z krajów anglosaskich, gdzie odkąd istnieje permissywna edukacja seksualna, wskaźniki zachowań ryzykownych poszybowały w górę. W praktyce okazało się, że taki typ edukacji jest w istocie deprawujący, a nadmiar informacji przekazanych w zbyt wczesnym wieku podział demoralizujący. W Polsce mamy niskie wskaźniki chorób wenerycznych u nastolatków czy wczesnych ciąż. Te wskaźniki są najniższe w Europie. Eksperci pytają więc, dlaczego mamy zmieniać model, który od 30 lat chroni nas przed tymi zjawiskami, na taki, który zmieni sytuację na znacznie gorszą. Dobrowolny przedmiot wychowanie do życia w rodzinie po prostu się sprawdzał. Nie znamy argumentów strony rządowej, bo ich nie przedstawiła. Nie ma badań, analiz, żadnego podłoża naukowego, żadnych argumentów za takim rodzajem edukacji. Zespół prof. Zbigniewa Izdebskiego nie przedstawił żadnych racji naukowych tłumaczących sens wprowadzenia wychowania seksualnego w takim kształcie.

A jak autorzy podstawy programowej, o której mówimy, widzą rodzinę i małżeństwo?

Ta podstawa jest antyrodzinna, małżeństwo nie jest w niej wartością, podobnie zresztą jak rodzina. Rodzicielstwo nie jest wartością. Mamy za to drastyczne szczegóły, choćby na temat zachowań autoseksualnych (czyli masturbacji) zaliczonych do normy medycznej, w rozdziale o dojrzewaniu przedstawione dzieciom w wieku od lat 9. Niebezpieczne treści są także w rozdziale o zdrowiu społecznym, np. związane z traktowanymi na równi różnymi modelami rodziny. Mamy też wywoływanie w dzieciach postawy roszczeniowej przez uświadamianie

praw dzieci i obowiązków dorosłych bez podkreślenia obowiązków dzieci. Brak kształtowania zachowań prospołecznych, autokontroli, poczucia obowiązku. Ekspersi podkreślają, że nadmiar treści seksualnych przedstawionych dzieciom może prowadzić w przyszłości do hiperseksualizacji, czyli do uzależnienia od przeżyć seksualnych, co jest jednostką chorobową. O tym mówią lekarze, którzy współpracowali przy przygotowaniu ekspertyzy KROPS. W tym projekcie seks został przedstawiony w kontekście zdrowia i przyjemności z pominięciem odpowiedzialności i budowania dojrzałej rodziny. Może to wywołać bardzo toksyczne skutki.

Do tego ma być to przedmiot obowiązkowy w kontrze do wychowania do życia w rodzinie, które było dobrowolne.

Ta propozycja w istocie łamie prawa rodziców zagwarantowane w art. 48 i 53 konstytucji RP. Łamie także Powszechną Deklarację Praw Człowieka, która w art. 26 (3) mocno podnosi prawarodzicielskie. Łamie art. 5 i 18 (1) Konwencji o prawach dziecka, a także art. 14 (3) i 24 Karty Praw Podstawowych UE. Propozycje MEN cofają nas do rozwiązań sprzed 1952 r., bowiem takie zawłaszczanie praw rodziców miało miejsce w głębokim PRL. Później uwzględniano prymat rodziców w wychowaniu dziecka. Taka postawa przedstawicieli rządu polskiego to podżeganie do łamania konstytucji. A wykonawcami tego zadania mają być pracownicy oświaty: nauczyciele, dyrektorzy szkół. Na to nie ma zgody strony społecznej.

Jaki jest więc cel resortu edukacji wprowadzającego taki przedmiot z taką podstawą programową?

Ponieważ brakuje argumentów naukowych, należy rozumieć, że jest to projekt głęboko ideologiczny. Jest on zanurzony w dyrektywach WHO, UNICEF, czyli w Agendzie 2030, dotyczącej zrównoważonego rozwoju. Kwestia edukacji seksualnej jest tam podnoszona niezwykle mocno. W zakończeniu projektu MEN czy-

tamy: „Nauczyciel w tym procesie pełni rolę przewodnika i mentora, który współpracuje z uczniami, wspiera ich w kształtowaniu postaw, wartości i nawyków sprzyjających dbałości o zdrowie”. Wprost mówi się, że to jest projekt kształtujący postawy i system wartości ucznia. Nie chodzi więc o profilaktykę czy przekazanie wiedzy. Projekt wkracza w zakres wychowania. Pod pozorem troski o „zdrowie seksualne” zmienia się nastawienie człowieka do sensu własnego istnienia. A to wskazuje na ideologiczny zamysł nowego przedmiotu.

A jak można zatrzymać to rozporządzenie?

Jestem głęboko przekonana, że ono nie zostanie ostatecznie podpisane, zostanie wycofane, a jego pomysłodawcy z urzędnikami MEN na czele zostaną skompromitowani. W tym przypadku

Pod pozorem troski o „zdrowie seksualne” zmienia się nastawienie człowieka do sensu własnego istnienia. A to wskazuje na ideologiczny zamysł nowego przedmiotu

wola narodu została jednoznacznie wyrażona, choćby 1 grudnia na pl. Zamkowym w Warszawie, a także w pikietach rodziców w całej Polsce. Ministerstwo i kuratoria są zalewane setkami indywidualnych protestów, całych klas i dyrekcji szkół, które napływają elektronicznie i w formie papierowej. Pudła w MEN się piętrzą, a urzędnicy nie wiedzą, co zrobić z tak szerokim odzewem społecznym, który jest szacowany przez nas nie na 50 tys. uwag, które do podstaw programowych napłynęły do MEN wiosną, a na setki tysięcy. To jest gigantyczna skala sprzeciwu. Nie sądzę, by ten rząd zwłaszcza w okresie przedwyborczym było stać na to, by tak dalece sprzeciwić się woli społeczeń-

stwa reprezentowanego przez rodziców, lekarzy, nauczycieli, pedagogów. Wszystkie te środowiska są szczególnie poruszone tym pomysłem.

O kontroli poselskiej w MEN poinformował na platformie X były szef tego resortu Przemysław Czarnek. Politycy dowiedzieli się, że protestów rodziców w sprawie obowiązkowej edukacji zdrowotnej (seksualnej) jest ogromnie dużo i MEN ma problem, by to wszystko zliczyć.

Posłowie przybyli do MEN, by dowiedzieć się, ile konkretnie uwag napłynęło do projektu w czasie konsultacji, które zakończyły się 21 listopada. Ale resort nie odpowiedział, gdyż... nie wie! Okazało się, że pracownicy ministerstwa liczą i liczą tysiące uwag i zapewne próbują zaleźć wśród nich te „pozytywne”. Chyba z tym jest największy kłopot. Czekamy nie tyle na statystyczne dane, ile na uczciwe wnioski z „kompletnej analizy merytorycznej i formalnej otrzymanych wystąpień” – co zapowiedziała w piśmie do posłów wiceminister edukacji Katarzyna Lubnauer.

Niedawno podczas konferencji prasowej szefowa MEN Barbara Nowacka zarzuciła KROPS kłamstwo i manipulację oraz brak znajomości podstawy programowej przedmiotu edukacja zdrowotna. Nazwała państwa grupą ortodoksów, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę.

Cieszę się, że minister Nowacka powiedziała, iż zwracamy na siebie uwagę, a nasze argumenty mogą wskazywać na szkodliwość tego przedmiotu, bo tak jest w istocie. Ten przedmiot jest szkodliwy, toksyczny, zagraża zdrowiu i życiu dzieci oraz ich moralności. Dobrze, że udało się na to zwrócić uwagę rodziców i cieszymy się, że ministerstwo widzi te działania i je „docenia”. Co zaś się tyczy braku merytoryczności, to powiem, że jeżeli minister proponuje projekt nowego przedmiotu, którego treści od lat są obecne w wielu innych przedmiotach szkolnych i twierdzi, że nigdy się z nimi nie zetknęła, to oznacza, że nie uważała w szkole.

To tylko powódź. A jeśli wybuchnie wojna?

Minister Marcin Kierwiński uważał, że jak wyda polecenie, to państwo zadziała. Jednak wpadł w pułapkę biurokratycznej inercji i własnej demagogii. W wydawaniu szybkich decyzji finansowych urzędników paraliżuje strach przed rozliczeniami, które spotykają poprzedników. Rząd nie zdał tego kryzysowego testu. A co, jeśli wybuchnie wojna?



MACIEJ WALASZCZYK

W 2020 r. nadeszła pandemia wirusa COVID-19. Dziś nie ma wątpliwości, że sytuacja, w jakiej znalazł się ówczesny rząd Mateusza Morawieckiego, była wyjątkowa. Także skala problemów w zestawieniu w wrześnieją powodzią była nieporównywalna – dotyczyła milionów ludzi i każdego zakątka kraju. 13 marca zostały wprowadzone pierwsze ograniczenia działalności gospodarczej, jednak pierwsza wersja tarczy antykryzysowej mającej na celu pomoc w przetrwaniu tego czasu weszła w życie już 1 kwietnia. Druga już

dwa tygodnie później, 17 kwietnia. Przedsiębiorcy otrzymali natychmiastową pomoc, a ewentualne błędy korygowano na bieżąco, wprowadzając np. przeoczone początkowo zwolnienie prywatnych podmiotów gospodarczych zatrudniających do dziewięciu osób z opłacania składek ZUS czy przesunięcia terminów dla odprowadzających podatki.

Od gwałtownej powodzi, która objęła tylko kilka powiatów województw dolnośląskiego i opolskiego, mija ok. 10 tygodni. Najpierw ciężar spadł na szczupłe kadrowo miejscowe ośrodki pomocy społecznej, które wypłaciły 2 tys. zł jednorazowych zasiłków, a niektórym doznać pomoc w wysokości 8 tys.

Nadchodzi zima, coraz częściej pada deszcz, jest zimno i wilgotno, trzeba dalej żyć. Jednak wielu z powodzią wciąż nie otrzymało rządowych pieniędzy na remont lub odbudowę domu. W niektórych gminach wypłaty dopiero ruszają.

Pierwsze do 100 tys. zł na remont lub odbudowę budynków gospodarczych i do 200 tys. zł na remont lub odbudowę budynków mieszkalnych były wypłacane dopiero w minionym tygodniu. Wypłaty najczęściej opiewają na mniejsze kwoty, przekazywane wiele tygodni po wizycie odpowiedniej komisji i złożeniu odpowiednich dokumentów. Przelicznik był prosty – za każdy procent oszacowanego zniszczenia należy się ok. 2 tys. zł wsparcia. Wielu ludzi jest jednak zdziwionych, bo okazało się, że pomoc w wydaniu rządu Donalda Tuska w ogóle nie wygląda tak, jak działo się to w czasie pandemii. I pojawiło się wielkie rozgoryczenie.

BEZPIECZNIE JEST NIC NIE ROBIĆ

Dlaczego tak się stało? Dotychczasowy wojewoda Maciej Awiżeń tłumaczył, że to sami beneficjenci, w tym samorządy

gminne, na terenach, na których mieszkają, powinni upominać się o pomoc i kierować do niego odpowiednie wnioski w tej sprawie. Część z nich miała być źle wypełniona. Ku zdziwieniu wszystkich samorządowcy i wojewoda zaczęli obwiniać się wzajemnie o niedociągnięcia, bierność, nieudomówienia.

Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego tak duże państwo posiadające tak rozbudowany aparat administracyjny nie mogło sobie poradzić z szybką pomocą w zaledwie kilku gminach na południu kraju. Nawet wynikające z tego powodu korzyści wizerunkowe i polityczne ważyłyby więcej niż koszty.

Problem zaczyna się od samego Marcina Kierwińskiego. Jest mądre, konserwatywne z ducha powiedzenie, że to nie władza demoralizuje, ale jej brak. Uczynienie kogoś, kto przez lata zajmował się jedynie demagogicznym zwalczaniem rządzących, odpowiedzialnym za usuwanie skutków powodzi już samo w sobie było ryzykowne. Dodatkowo bez doświadczenia w zarządzaniu strukturą państwową i żyjącego w przekonaniu, że jeśli minister już podjął jakąś decyzję, to będzie ona konsekwentnie realizowana. Tymczasem stało się odwrotnie, a bez operacyjnego, codziennego i odgórnego egzekwowania oraz rozliczania urzędników z nałożonych na nich zadań sprawy ugrzęzły na kolejnych szczeblach administracji.

W czasie pandemii tak zwalczany rząd Mateusza Morawieckiego nieustannie pracował podczas odpraw i telekonferencji, nadzorując w ten sposób budowany od podstaw system natychmiastowej pomocy finansowej lub szczepień. Jak się okazało, rząd Tuska w ogóle nie brał pod uwagę inercji państwowej biurokracji, nie rozliczał urzędników z nakładanych na nich zadań na bieżąco. A sami urzędnicy bali się podejmować szybkich decyzji o dużych skutkach finansowych, widząc nagonkę, która dziś spotyka ludzi odpowiedzialnych za często niestandardowe działania z czasu pandemii. Obawiają się po prostu kontroli NIK, audytów oraz prokuratora. Prawda jest taka, że za nicnierobienie i przeciąganie spraw jeszcze nikt nie poniósł odpowiedzialności, a za decyzje finansowe można pójść do więzienia. Najbezpieczniej jest więc nie podejmować decyzji i oglądać się na innych.

TA POWÓDŹ WRÓCI

Powódź wywołana przez niż genueński na pewno zagrazi znowu. Tak było ponad 25 lat temu. Najpierw rekordowe ulewne opady w lipcu 1997 r., tzw. powódź stulecia, a rok później podobne, gwałtowne zjawisko, które w Polanicy-Zdroju zniszczyło fragment uzdrowskiej części miasta.

Wszyscy są zgodni, że jak najprędzej musi zostać odbudowana przerwana tama w Stroniu Śląskim. Konieczna jest też budowa suchych zbiorników, których stworzenie z przyczyn „ekologicznych” stopydowano kilka lat temu przy hałaśliwym aplauzie samych mieszkańców i lokalnych polityków Koalicji Obywatelskiej, w tym Moniki Wielichowskiej. Przede wszystkim pomocy potrzebują ci, którzy stracili mieszkania i domy oraz miejsca pracy.

Tymczasem już od kilku tygodni rząd Donalda Tuska kroczy ścieżką zrzucania odpowiedzialności za swoją nieudolność lub zwykłe błędy. W sytuacji konfliktu społecznego i kryzysu okazało się, że najłatwiej znaleźć kozła ofiarnego. Najpierw dostało się samorządowcom i pracownikom ośrodków pomocy społecznej. Ze stanowiska już dawno powinna zostać odwołana starosta kłodzka Małgorzata Jędrzejewska-Skrzypczak. Jest przez wszystkich oskarżana o błędne decyzje i niewydanie polecenia o ewakuacji ludzi w związku możliwością przerwania tamy w Stroniu Śląskim.

Na razie szef MSWiA Tomasz Siemoniak zdecydował o zdymisjonowaniu Macieja Awizeńa z funkcji wojewody dolnośląskiego. Ta decyzja wisiała w powietrzu, bo rządowa pomoc finansowa jest spóźniona o dwa miesiące, przewlekła, przeciążona procedurami i paraliżem urzędników. Awizeń nie był człowiekiem z całkowitego przypadku. Przez 13 lat pełnił funkcję starosty powiatu kłodzkiego, znakomicie znał tereny dotknięte przez kataklizm i potrzeby poszkodowanych. Ludzie sprzyjający byłemu wojewodzie tłumaczą, że Kierwiński podobno „nie wydalał” z robotą, więc dymisja jest próbą oczyszczenia jego wizerunku. Miał nie zawsze odbierać telefony, a potem problemy się skumulowały. Sam Awizeń, jeden z absolwentów trzysemestralnych studiów MBA w Collegium Humanum,

jest krytykowany za przerzucenie odpowiedzialności na ponad 20 pełnomocników, których wraz z nim również odwołano. A jego kiepski stan zdrowia mógł spowodować, że praca w tak trudnych warunkach przerosła jego siły. Jeśli dodać do tego kompletne zignorowanie przez rządzących zagrożenia wrześnieowymi ulewami i uspokajające wystąpienie premiera Tuska na chwilę przed dramatem, wylania się z tego obraz raczej katastrofalny. Posłanka KO z Nowej Rudy Monika Wielichowska oczywiście uważa, że ruszanie dziś „kwestii personalnych” jest nie na miejscu, sam Awizeń znakomicie sobie radził, a decyzja Tuska oznacza jedynie potrzebę „nowej energii”. Skąd więc zmiana? Przecież nie zmienia się składu zwycięskiej drużyny. W zeszłym tygodniu odbyła się nadzwyczajna sesja Rady Powiatu Kłodzkiego, na której pojawili się m.in. marszałek województwa Paweł Gancarz, wiceminister rozwoju Michał Jaros, wicewojewoda Piotr Kozdrowicki, wójtowie i burmistrzowie gmin, wiceprezes Wód Polskich Mateusz Balcerowicz oraz Wielichowska, która miała nietęgą minę. Po prostu dał o sobie znać konflikt pomiędzy nią a prezydentem Wałbrzycha Romanem Szelemejem. Jej człowiekiem jest właśnie Awizeń, a po drugiej stronie lokuje się Anna Żabska, która zajęła jego miejsce jako wojewody, oraz obecny burmistrz Kłodzka Michał Piszko. Żabska to dotychczasowa prezes zamku Książ oraz wieloletnia współpracowniczka Szelemeja i to oni teraz zdobyli przewagę nad grupą posłanki z Nowej Rudy. – A pomiędzy nimi mieszkańcy, w tym poszkodowani w ostatniej powodzi – dodaje jeden z rozmówców, choć oczywiście nikomu nie jest teraz do śmiechu.

W ostatnich wyborach parlamentarnych oraz samorządowych mieszkańcy Dolnego Śląska i Opolskiego w większości oddawali swoje głosy na przedstawicieli KO lub Lewicy. Byli przekonani, że pewne standardy funkcjonowania państwa z czasów PiS stały się normą, a błędy czy patologie mogły dotyczyć tylko ówczesnej władzy. Tymczasem zderzyli się z brakiem odpowiedzialności, inercją i zwykłą arogancją swoich wybrańców. Przecież nikt nie będzie tam zabiegał o ich poparcie. Nie kupuje się tego, co już się posiada.

Człowiek, który może zmienić Amerykę

Jest konserwatystą, który wierzy w moc wolnego rynku, ale by zmieniać rzeczy na lepsze, nie ma w sobie wolnorynkowego fundamentalizmu Reagana.

Zachowuje się bardziej jak demokrata starej daty, zanim demokraci uznali Wall Street za swojego najlepszego przyjaciela



O nowym amerykańskim wiceprezydencie J.D. Vance ze znanym publicystą i jego przyjacielem *Rodem Dreherem* rozmawia Goran Andrijanić

W 2016 r. J.D. Vance opublikował książkę „Elegia dla bidoków”, która jest rodzajem autobiografii. Jej popularność przyszła po wywiadzie, który przeprowadził pan z Vance’em dla portalu The American Conservative.

Rod Dreher: Ten wywiad był wydarzeniem, które nakręciło jego karierę.

Po tym wywiadzie staliście się przyjaciółmi. Jak wpadł pan na pomysł przeprowadzenia tej rozmowy?

Książka Vance’a ukazała się latem 2016 r. Początkowo nikt nie zwracał na nią większej uwagi. Ja również nie wiedziałem o jej istnieniu. To był rok, w którym Donald Trump kandydował

na prezydenta. Czytelniczka mojego bloga w The American Conservative przesłała mi egzemplarz książki, twierdząc, że pomogła jej ona zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi z klasy robotniczej lubi Trumpa. Przeczytałem ją w samolocie do Bostonu z mojego domu w Luizjanie i kiedy dotarłem do hotelu, natychmiast skontaktowałem się z J.D., prosząc o wywiad. Książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Nie dorastałem w biednym, chaotycznym środowisku społecznym jak on, ale na wiejskim Południu, wśród takich samych ludzi. Wszystko wydawało się tam bardzo znajome. Nikt nigdy nie pisał o biednych białych ludziach z klasy robotniczej, poza artykułami, w których stwierdza się, że ci ludzie z tzw. zacofanymi ideami i postawami są tym, co nie



Rod Dreher

jest do końca Ameryką. J.D. pisał o nich z taką głębią i wdziękiem, opowiadał też o ich mocnych i słabych stronach. Napisał arcydzieło i musiałem z nim o tym porozmawiać.

Wywiad pojawił się na moim blogu w piątkowe popołudnie i natychmiast stał się niezwykle popularny. Z jego powodu w ten weekend nasze serwery padły trzy razy. Mieliśmy ponad 2 mln odsłon. Do następnego weekendu Vance został zaproszony do wszystkich najważniejszych krajowych programów politycznych, a jego książka wskoczyła na szczyt list bestsellerów, gdzie pozostała przez ponad rok. To były narodziny gwiazdy!

Jaką ważną myślą Vance zaskoczył w wywiadzie?

Tą samą, co w książce, która też stała się sensacyjna: uczynił fenomen Trumpa zrozumiałym dla ludzi. Zrobił to w sposób, który nie tłumaczył tego zjawiska w stylu „ci biedni biali ludzie, którzy kochają Trumpa, są głupi, rasistowscy, seksistowscy itd.” Czytając ją ponownie, jestem zdumiony i mocno uderzony tym, jak celne były spostrzeżenia tego młodego człowieka i jak zaledwie kilka miesięcy później, po szokującym zwycięstwie Trumpa w wyborach prezydenckich, cały lewicowy establishment próbował zapomnieć o wszystkim, czego nauczył się z „Elegii dla bidoków”.

W wywiadzie z 2016 r. można zobaczyć, że stosunek Vance’a do Trumpa był wtedy ambiwalentny?

Tak. Był podekscytowany tym, że Trump zabiera głos w imieniu zapomnianych ludzi, ale obawiał się również, że nie zamierza zrobić nic, aby im pomóc. Potem zobaczył, jak zachowywała się lewica w latach pierwszej kadencji Trumpa i poczuł do tego wstręt. W końcu tak jak ja zrozumiał, że nawet jeśli Trump może nie być idealnym politykiem, jest wszystkim, co mamy, aby walczyć przeciwko zgnilemu establishmentowi. Jeśli ktoś ponownie przeczyta ten wywiad i pomyśli o tym, jak człowiek, który tam przemawiał, jest teraz tak blisko prezydentury USA – cóż, to niesamowite i pokazuje, jak wielkim buntem przeciwko elitom były te ostatnie wybory. I bardzo dobrze!

Jak wyjaśniłby pan polityczną formację J.D. Vance’a?

J.D. był inteligentnym, wrażliwym dzieckiem dorastającym w bardzo rozpaczliwych okolicznościach. Jego ojciec był nieobecny, matka była narkomanką. Wychowywała go babcia, twarda stara górnica, która paliła papierosy i nosiła pistolet. Kultura, w której dorastał, była bardzo dysfunkcyjna. Ukształtowała go, pokazując mu, jak jego własny naród sam sobie robi krzywdę przez własne złe wybory, nie kontrolując swoich namiętności. Dopiero gdy wstąpił do Korpusu Piechoty Morskiej i nauczył się dyscypliny, był w stanie wykorzystać duży talent i wrodzoną inteligencję, aby iść w życiu naprzód i zbudować coś ważnego.

Poznał ubóstwo oraz chaos dzieciństwa i w tym samym czasie zauważył, jak żyją najbardziej elitarni Amerykanie. Najpierw studiując na Wydziale Prawa Yale, a następnie jako inwestor venture capital w Dolinie Krzemowej. Rzeczą, która najbardziej mi imponuje u J.D., jest to, że nie sentymentalizuje swojej przeszłości i rozbitej rodziny, ale ich nie lekceważy. Jak mawiają Amerykanie, „nie zapomina, skąd pochodzi”.

Taka typowo amerykańska historia o sukcesie? Ale i nie taka typowa?

W dzisiejszej Ameryce droga do władzy, zarówno kulturowej, jak i politycznej, jest związana z narracją, że jesteś ofiarą i kimś uciskanim, że wszystkie twoje problemy wynikają z tego, co zrobił ci ktoś inny – rasiści, seksiści, bogaci snobi itd.

J.D. wie, że to nieprawda albo przynajmniej nie do końca prawda. Tak, istnieją strukturalne powody porażki niektórych ludzi, ale pod naszą kontrolą jest o wiele więcej, niż nam się wydaje. Vance mówi o sprawczości, mocy, którą wszyscy mamy, aby zmienić nasze życie i przezwyciężyć nasze problemy. To głęboko amerykański sposób postrzegania świata. Mamy go od wielu pokoleń. Każde pokolenie pionierów i imigrantów widziało tak potencjał Ameryki. Ale takich ludzi nie widuje się już zbyt często w amerykańskiej polityce. Mężczyźni i kobiety pochodzą z klasy średniej i wyższej klasy średniej, wszystko przychodziło

im łatwo i chodzili na elitarne uniwersytety. Powszechnym uprzedzeniem wśród nich jest to, że biedni i klasa robotnicza są niczym innym, jak ofiarami opresyjnych sił społecznych i że nie mogą niczego zrobić dla siebie, jedynie siedzieć i czekać, aż rząd im pomoże. Chyba że są białą klasą robotniczą i biednymi ludźmi, w takim przypadku zasługują na to, co dostają, ponieważ prawdopodobnie są rasistami. To jest powszechny pogląd wśród klasy rządzącej, która kontroluje wszystkie amerykańskie instytucje. Nie wiedzą, co zrobić z J.D. Kochali go, gdy krytykował Trumpa, ale gdy zobaczyli, że uważa ich za wrogów i zaczął bardziej rozumieć Trumpa – cóż, stał się wrogiem.

Czy można powiedzieć, że ruch alt-right miał na niego wpływ?

Nie sądzę, żeby miał cokolwiek wspólnego z alt-right. J.D. był normalnym młodym republikaninem aż do czasów Trumpa. Myślę, że tym, co go radykalizowało, było to, jak lewica traktowała jego przyjaciela Bretta Kavanaugha, gdy Trump nominował go do Sądu Najwyższego USA. J.D. zobaczył – tak jak my wszyscy – że nie cofnęli się przed niczym, aby zniszczyć człowieka, oskarżając go nawet o zgwałcenie dziewczyny, gdy był nastolatkiem. To było przerażające, a ponieważ J.D. był przyjacielem Kavanaugha, cała sprawa stała się dla niego bardzo osobista. Uświadomiło mu to raz na zawsze naturę walki, w której wszyscy uczestniczymy oraz jak radykalny i pełen nienawiści jest wróg.

J.D. nigdy nie był częścią sceny alt-right, ponieważ zwykle jest ona naznaczona rasizmem. Jego żona Usha jest córką imigrantów z Indii, on nie ma cierpliwości do rasistów. Z pewnością prawdą jest jednak to, że Vance był pod wpływem prawicowych krytyków mainstreamu Partii Republikańskiej. Różne magazyny polityczne w Waszyngtonie wymieniły mnie, prof. Patricka Deneena, Petera Thiela i innych konserwatystów spoza establishmentu jako osoby, które miały intelektualny wpływ na J.D. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że pewnego dnia moje własne idee znajdą takiego zwolennika, ale wszystko staje się możliwe.

Jakie są jeszcze cechy jego filozofii politycznej?

Uwielbiam w nim to, że naprawdę troszczy się o swoich ludzi – swoją rodzinę i tych, którzy go wychowali, nie zwalnając ich z odpowiedzialności za własne życie.

Jest konserwatystą, który wierzy w moc wolnego rynku, ale by zmieniać rzeczy na lepsze, nie ma w sobie wolno-rynkowego fundamentalizmu Reagana. Zachowuje się bardziej jak demokratą starej daty, zanim demokraci uznali Wall Street za swojego najlepszego przyjaciela.

Demokraci jako partia elit?

Jeśli człowiek przyjrzy się temu, co stało się z demokratami od czasów Clintona do dziś, zobaczy, że są partią, która pozwala korporacjom robić swoim pracownikom wszystko, co chcą, pod warunkiem, że korporacje te wywieszają flagę LGBT+ Pride. Dlatego republikanie stali się *de facto* partią klasy robotniczej. J.D. wie również, jak myślał elity i wykorzystuje umiejętności, które zdobył na najlepszej amerykańskiej uczelni prawniczej Yale, by zburzyć struktury elitarnego przywileju. Nie zapominajmy, że jest młody, ma zaledwie 39 lat. Jeśli w 2028 r. zostanie wybrany na następcę Trumpa, może być prezydentem do 2036 r. i zmienić Amerykę tak gruntownie, jak zrobił to Ronald Reagan.

Jest nowym rodzajem konserwatysty w amerykańskim życiu, który szanuje Reagana, ale nie jest już związany jego ideologią. Jest też optymistą, przyjacielskim mężczyzną, który kocha swoją żonę (Azjatkę) i ich dzieci. Jest typem mężczyzny, którego wiele Amerek chciałoby poślubić, a wielu amerykańskich mężczyzn chciałoby nim być.

Nikt nigdy nie mówi tego o amerykańskich politykach – z pewnością nie o Trumpie. Ale bez niego nigdy nie moglibyśmy zobaczyć wzmocnienia pozycji J.D. Vance'a. Ostatecznie myślę, że właśnie to będzie największym historycznym dziedzictwem Trumpa.

Czy był pan zaskoczony, kiedy Trump wybrał Vance'a jako kandydata na wiceprezydenta?

Tak. Zaskakujące było to, że Trump wybrał kogoś tak młodego i niedoświadczonego na krajowej scenie politycznej. Ale był to odważny i słuszny wybór, ponieważ J.D. nie jest obciążony wszystkimi starymi republikańskimi ideami z czasów Reagana. Nie jest konformistycznym konserwatywnym intelektualistą, ale zdecydowanie jest intelektualistą. Ma potencjał, aby uczynić trumpizm czymś istotnym i trwałym. Wielu konserwatystów z establishmentu krytykowało Trumpa za wybór J.D., ale w czasach kampanii Vance wykonał fantastyczną robotę w telewizji i podczas przemówień. Pod koniec kampanii sondaże wykazały, że z czterech kandydatów (Trump, Vance, Harris, Walz) J.D. był najbardziej lubiany. Nie jest fałszywy,

Rzecz, która najbardziej imponuje mi u J.D., jest to, że nie sentymentalizuje swojej przeszłości i rozbitej rodziny, ale ich nie lekceważy. Jak mawiają Amerykanie, „nie zapomina, skąd pochodzi”

po prostu był sobą. Ten sam człowiek, którego widziałem w telewizji podczas kampanii, jest osobą, którą poznałem – z tą różnicą, że teraz jest bardziej wyrafinowanym mówcą publicznym.

Czego możemy oczekiwać od J.D. Vance'a w Białym Domu? Jakiej polityki?

Najważniejszą rzeczą, o której należy pamiętać, jest to, że J.D. będzie lojalny wobec Trumpa. Tak właśnie powinno być – jest tylko jeden prezydent. J.D. jest katolikiem pro-life, ale rozumie, że jego szef Trump jest bardziej liberalny w kwestii aborcji. Więc oczywiście musi go słuchać. Jeśli pewnego dnia zostanie prezydentem, myślę, że zobaczymy coś innego. J.D. prawdopodobnie odcisnie swoje piętno polityczne w tej

administracji w polityce wewnętrznej – szczególnie w gospodarce i polityce rodzinnej. J.D. jest konwertytą na katolicyzm i traktuje swoją wiarę poważnie. Jest naprawdę zainteresowany bardziej autentycznym katolickim podejściem do rynku i zmianą struktur, aby rynek był bardziej przyjazny zakładaniu rodzin. To normalne dla konserwatystów w Europie, ale bardzo nowe dla konserwatystów amerykańskich.

Jak bardzo J.D. Vance rozumie sytuację w Europie Środkowej? W Polsce zauważyliśmy, że skomentował sposób, w jaki rząd Donalda Tuska prześladuje przeciwników politycznych, co było dla nas bardzo ważne.

Szczerze mówiąc, nie znam odpowiedzi na to pytanie. Oczywiście wiesz, że J.D. był głównym krytykiem wojny na Ukrainie w Senacie. Nie dlatego, że kocha Rosję. Z tego powodu, że jest weteranem Korpusu Piechoty Morskiej z wojny w Iraku i on, podobnie jak wielu weteranów, ma dość mentalności „wiecznej wojny” w Waszyngtonie. Od 11 września 2001 r. Amerykanie toczą jedną wojnę za drugą. Istnieje silne przekonanie, że elity w Waszyngtonie chętnie wysyłają dzieci innych ludzi, aby walczyły w tych wojnach, a Ameryka może robić, co chce, dzięki naszemu silnemu wojsku i bogactwu. Vance reprezentuje pokolenie, które ma tego dość.

Zauważ, że Dick Cheney, główny architekt wojny w Iraku jako wiceprezydent George'a W. Busha, poparł Kamalę Harris. Co gorsza demokraci, którzy przez większość tego stulecia mówili o Cheneyu jako o wielkim złoczyńcy, byli szczęśliwi, że otrzymali jego poparcie.

Nie wiem, co J.D. wie o sytuacji w Europie Środkowej. Nieoficjalnie opowiadałem mu o życiu na Węgrzech, odkąd przeprowadziłem się tutaj w 2021 r., ale to tylko rozmowa przyjaciół. I powiedziałem mu ogólnie, że Europa Środkowa to miejsce, w którym jest wypracowywana konserwatywna przyszłość – szczególnie w Polsce i na Węgrzech. Mam nadzieję, że w przyszłym roku odwiedzi nas w tej części świata. Polski i węgierski konserwatyzm mają wiele do przekazania nowemu amerykańskiemu rządowi.

Triumf pragmatycznego konserwatyzmu

Zwycięstwo Trumpa ma szansę stać się punktem zwrotnym w historii USA, przełamując hegemonię kulturową lewicy i oferując obywatelom nową propozycję polityczną mogącą przemienić się w podstawę szerokiego konsensusu społecznego



GRZEGORZ GÓRNY

Skalą zwycięstwa Donalda Trumpa nad Kamalą Harris zaskoczyła wszystkich. Kandydat republikanów zdobył nie tylko 312 głosów elektorских, podczas gdy jego rywalka 226, lecz także triumfował w 2619 powiatach, zaś ona w zaledwie 525. Nawet w regionach tradycyjnie głosujących na demokratów były prezydent USA znacząco zwiększył poparcie dla siebie.

DYSPROPORCJA SIŁ I ŚRODKÓW

Do triumfu Trumpa doszło mimo bezprecedensowej mobilizacji finansowej jego przeciwników. Harris zebrała na swą kampanię aż 690 mln dol., co stanowi rekord wszech czasów. Na tym tle on ze swoimi „zaledwie” 313 mln dol. wyglądał nader skromnie. Poza tym cały czas był celem kampanii dyfamacyjnej większości mainstreamowych mediów, które oskarżały go o faszyzm, porównywały do Hitlera, a w najlepszym razie nazywały niebezpiecznym szaleńcem.

Za kandydatką demokratów opowiedziała się miazdząca większość amerykańskich celebrytów, np. Taylor Swift, Beyoncé, Eminem, Jennifer Lopez, George

Clooney, Julia Roberts, Scarlett Johansson czy Bruce Springsteen. Dzień przed wyborami w siedmiu „wahadlowych stanach” (swing states) odbyły się koncerty muzyczne wspierające Harris, podczas których za jej wyborem agitowali m.in. Jon Bon Jovi w Michigan, Christina Aguilera w Newadzie, Katy Perry w Pensylwanii czy Lady Gaga w Filadelfii. Pomoc niektórych nie była bezinteresowna, np. znana czarnoskóra prezenterka telewizyjna Oprah Winfrey, która we wrześniu moderowała dyskusję panelową Harris z udziałem gwiazd amerykańskiej popkultury, zainkasowała od sztabu wyborczego wiceprezydent USA 1 mln dol.

Przewaga medialna demokratów w wielkich gazetach i stacjach telewizyjnych była jednak niwelowana aktywnością republikanów w internecie. Ponadtrzygodzinną debatę popularnego blogera i komentatora sportowego Joe Rogana z kandydatem na wiceprezydenta J.D. Vance'em w ciągu tygodnia obejrzało w sieci ok. 15 mln osób. Harris także chciała wystąpić w tym podcaście, jednak odmówiła przyjęcia warunków Rogana. Wszystkie wywiady kręci on w swoim studiu w Austin w Teksasie i rozmawia tak długo, dopóki nie

wyczerpie tematu. Harris zażądała, by to on przyjechał do Waszyngtonu, a debata trwała maksymalnie godzinę. Większość lewicowo-liberalnych dziennikarzy zapewne z pocałowaniem ręki przyjąłaby taką propozycję, jednak blogger postanowił nie robić wyjątków dla nikogo. W rezultacie rozmowa z Harris nie doszła do skutku. Dla odmiany ani Vance, ani Trump nie mieli oporów, by pojechać do Teksasu i rozmawiać tak długo, jak zechce gospodarz.

Triumf republikanów był tym większy, że zwyciężyli oni nie tylko w wyścigu do Białego Domu, lecz także zdobyli większość w obu izbach Kongresu. Dostali zatem od amerykańskiego społeczeństwa mocny mandat do przeprowadzania zasadniczych zmian w państwie. Ponieważ w Sądzie Najwyższym przewaga ich nominatów nad sędziami wskazanymi przez demokratów wynosi 6:3, można się spodziewać, że zapowiadane przez nich reformy nie będą blokowane przez trzecią władzę.

FANATYZM I EKSTREMIZM DEMOKRATÓW

Wiele przemawia za tym, że wyniki wyborów w USA mogą okazać się punktem zwrotnym w historii tego państwa, a może i całego Zachodu. Reprezentują bowiem koniec pewnego cyklu w polityce. Oznaczają masowe odrzucenie przez amerykańskie społeczeństwo wbrew dominującym elitom ideologii opartej na politycznej poprawności. Naród powiedział zdecydowane „nie” całemu konglomeratowi progresywnych idei, których ucieleśnieniem była Kamala Harris: genderyzmowi, wokeizmowi, feminizmowi, klimatyzmowi czy krytycznej teorii rasy.

Podstawą jej kampanii były postulaty aborcji bez żadnych ograniczeń, transplciowości bez granic czy nowego zielonego ładu. Establishment partii demokratycznej, zamknięty w swej bańce środowiskowej, nie dostrzegł nawet ekstremistycznego fanatyzmu, jaki wręcz bił po oczach z tego programu. Opinię publiczną straszono Trumpem, jednak nie zauważono, że znacznie większą obawę wśród zwykłych wyborców wywołuje agenda Kamali Harris. Na jej tle kandydat republikanów jawił się co prawda jako eks-

trawagancki egotyk, jednak kierujący się zdrowym rozsądkiem i hasłem: „Żyj i daj żyć innym”, nie zaś jako fanatyk wymuszający na swych rodaków, jak mają myśleć.

Elity demokratów okazały się oderwane od rzeczywistości społecznej i problemów przeciętnych obywateli. Nie były w stanie przedstawić podczas kampanii żadnych konkretnych propozycji dotyczących rozwiązania problemów uważanych przez większość Amerykanów za kluczowe, takich jak kryzys gospodarczy, wysoka inflacja, drożyzna, niekontrolowana imigracja, rosnąca przestępczość czy bezpieczeństwo wewnętrzne. Zamiast tego ekipa Harris skoncentrowała się na kwestiach światopoglądowych i kulturowych, co doprowadziło do niespotykanej do tej pory mobilizacji konserwatywnego elektoratu.

W licznych środowiskach chrześcijańskich w USA dominowało przekonanie, że ta elekcja ma wymiar nie tylko polityczny, lecz także duchowy. Dlaczego? Bo tylko Trump mógł powstrzymać Harris, której program był jawnie antychrześcijański

DUCHOWA MOBILIZACJA CHRZEŚCIJAN

Do tej pory w Stanach Zjednoczonych nie było kampanii wyborczej, podczas której odbyłoby się tak wiele akcji modlitwowych. W licznych środowiskach chrześcijańskich w USA dominowało przekonanie, że ta elekcja ma wymiar nie tylko polityczny, lecz także duchowy. Duża część katolików i protestantów zagłosowała na Trumpa nie dlatego, że traktuje go jak wzorzec cnót ewangelicznych, lecz z tego powodu, że jako jedyny mógł powstrzymać Kamalę Harris, której program był jawnie antychrześcijański. Jej stanowisko w sprawach dotyczących religii, życia, małżeństwa czy

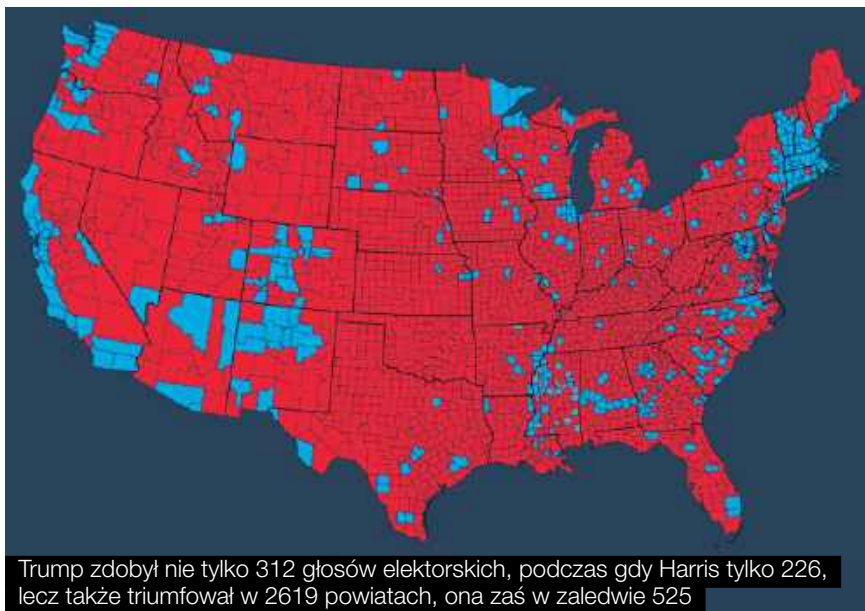
rodziny było tak wrogie Ewangelii, że oddany na nią głos był odbierany przez wielu Amerykanów jako wyrzeczenie się wiary i zdrada Chrystusa. Wystarczy przypomnieć, że obecna wiceprezydent USA opowiada się za legalną aborcją do dziewiątego miesiąca ciąży włącznie i uważa, że jest to wartość nienegocjowalna, która nie podlega żadnym kompromisom.

W tej sytuacji cała rzesza wierzących ludzi uznała, że jedynym sposobem na powstrzymanie potężnych sił, które spryskiwały się przeciwko Trumpowi, jest modlitwa. To sprawiło, że miliony Amerykanów spontanicznie zaangażowały się w różne akcje modlitwowe, kruczaty różańcowe czy nocne czuwania w intencji kandydata republikanów. Jego sukces wyborczy stanowił dla nich potwierdzenie skuteczności takiego postępowania. Tym bardziej że grupa amerykańskich czarownic żaliła się publicznie w kilku mediach, iż od dawna próbowała rzucić przekleństwo na kandydata republikanów, ale ich magiczne sztuczki nie zadziałały, ponieważ dysponował on tarczą duchową, która dawała mu ochronę.

O ile cztery lata temu głosy katolików w Ameryce rozłożyły się mniej więcej po połowie na obu kandydatów, o tyle teraz tylko 41 proc. z nich zagłosowało na Harris, a 56 proc. na Trumpa. Ten ostatni zyskał zwłaszcza wśród deklarującej swój katolicyzm ludności pochodzenia latynoskiego. W porównaniu z 2020 r. zwiększył poparcie dla siebie wśród Latynosów o 18 proc., a wśród Latynosek o 7 proc.

Choć Kamala Harris na każdym kroku podkreślała, że walczy o prawa kobiet (czyli możliwość dokonywania aborcji bez żadnych ograniczeń), to jednak straciła nawet w tej grupie. Cztery lata temu Biden zdobył 55 proc. głosów kobiet, teraz jego zastępczyni tylko 51 proc.

Pierwsze zapowiedzi Trumpa po zwycięstwie budzą nadzieje chrześcijan. Elon Musk i Vivek Ramaswamy mający odpowiadać za odbiurokratyzowanie państwa i likwidację niepotrzebnych wydatków już zapowiedzieli wstrzymanie dotacji dla Planned Parenthood, czyli największego giganta aborcyjnego na świecie. Mianowanie dr. Marty'ego Makarego, lekarza i działacza pro-life, na stanowisko szefa Agencji ds. Żywności i Leków (FDA) otwiera z kolei



możliwość cofnięcia nielegalnego zatwierdzenia przez ten urząd pigułki aborcyjnej. Podobnych przykładów potwierdzających trafność wyboru dokonanego przez chrześcijan jest znacznie więcej.

SZEROKA KOALICJA SPOŁECZNA

Wyników ostatniej elekcji w USA nie można sprowadzać jednak tylko do masowego sprzeciwu wobec ekstremistycznego programu partii demokratycznej. Krył się za tym również wybór konkretnej propozycji, która jest nie tylko odrzuceniem ideologicznej abstrakcji, lecz także przywróceniem umiaru i zdrowego rozsądku w amerykańskim życiu publicznym.

Trumpowi udało się przetrwać najgorszy okres zaraz po przegranych wyborach w 2020 r., kiedy wielu uważało go za politycznego trupa. Jeszcze dwa lata temu, gdy w wyborach do Kongresu republikanie nie odnieśli takiego sukcesu, jak się spodziewano, mówiono, że to były prezydent okazał się obciążeniem dla swojej partii. Na dodatek musiał się borykać z nieustannymi przeciwnościami: przeżył dwie próby impeachmentu, cztery procesy karne, natłok policyjny i rewizję w swoim domu oraz dwa zamachy na życie, z których jeden niemal nie zakończył się tragicznie.

Mimo to Trump przełamał próbę izolacji społecznej polegającej na objęciu go „deplatformingiem”, czyli cyfrową baniacją, do czego chciały doprowadzić takie

giganty jak Twitter, Apple czy Amazon. Co więcej, pozyskał przychylność części potentatów z Doliny Krzemowej, takich jak Peter Thiel czy Elon Musk, który kupił Twittera i za pomocą tej platformy cyfrowej wsparł kandydata republikanów.

Trump stopniowo budował też szeroką i różnorodną koalicję społeczną odwołującą się do tradycyjnych amerykańskich wartości i pragmatyzmu ekonomicznego. Zapowiedział ożywienie gospodarki przez likwidację zbędnej biurokracji, politykę deregulacji, obniżenie podatków, reindustrializację, ulgi podatkowe na pracę i inwestycje, nałożenie cel na towary z Azji czy walkę z nielegalną imigracją, która sprzyja zaniżaniu wynagrodzeń dla obywateli USA.

Trumpowi udało się też przyciągnąć znane postaci z partii demokratycznej, które mają objąć ważne funkcje w jego administracji, jak np. Tulsi Gabbard czy Robert Kennedy jr. Ten ostatni będzie odpowiedzialny za politykę zdrowotną kraju, którą ma realizować pod hasłem MAHA (Make America Healthy Again – Uczyńmy Amerykę znów zdrową). Zapowiedział już walkę ze śmieciowym jedzeniem, źródłem prawdziwej plagi, jaką jest otyłość wśród Amerykanów. Obiecał też wziąć na celownik sektor big pharmacy, który oskarża o liczne nadużycia, m.in. podczas kampanii szczepionkowej.

Chociaż Kamala Harris na każdym kroku szermowała hasłami inkluzywności, w rzeczywistości to jednak program

Trumpa w większym stopniu upomina się o los pokrzywdzonych warstw społecznych dotkniętych przez kryzys, recesję, inflację czy deindustrializację, jak klasa średnia czy niższa, a zwłaszcza spauperyzowane środowiska robotnicze. Na dodatek zdobył dodatkowe głosy mniejszości etnicznych i młodzieży poniżej 30. roku życia, czyli elektoratu zazwyczaj bardziej sprzyjającego demokratom.

TO WIĘCEJ NIŻ POPULIZM

Lewicowo-liberalni publicyści popełniają błąd poznawczy, który nie pozwala im zrozumieć zjawiska trumpizmu. Definiują go bowiem jako populizm. Tymczasem propozycję Donalda Trumpa można nazwać pragmatycznym konserwatyzmem, który ma szansę stać się ideową podstawą obozu republikańskiego w nadchodzących latach. To inny rodzaj programu politycznego niż reaganizm czy neokonserwatyzm George’a W. Busha, ponieważ odpowiada na nowe wyzwania epoki globalizacji. Jeśli 47. prezydentowi USA powiodą się reformy, które zapowiada, jego projekt ma szansę stać się podstawą szerokiego konsensusu społecznego i przedłużyć rządy konserwatystów. Wielka przyszłość może się wówczas otworzyć przed wytypowanym na delfina J.D. Vance’em – chrześcijańskim neofitą, który w 2019 r. przyjął chrzest w Kościele katolickim.

By zdobyć większe poparcie, partia demokratyczna musi opuścić swą ideologiczną niszę i zająć się problemami, które naprawdę absorbują Amerykanów, takimi jak wysokie podatki, drogie mieszkania, nielegalna imigracja czy brak poczucia bezpieczeństwa. Polityka intersekcyjności, każąca koncentrować się na kwestiach coraz bardziej znikomych mniejszości, nie ma potencjału rozwojowego i szans, by trafić do większości społeczeństwa.

Czy obóz demokratów jest jednak zdolny do takiej zmiany? Na razie dominują w nim głosy szukające winnych porażki wszędzie poza sobą. Do nielicznych wyjątków należy głos Fareeda Zakarii nawołującego, by dokonać przewartościowania priorytetów. Partia obrośla jednak wieloma grupami interesów, które żyją z promowania lewicowych ideologii. Są więc one egzystencjalnie zainteresowane utrzymaniem obecnego kursu. Nie wróży to dobrze tej formacji.

Medialna kontrrewolucja



DARIUSZ MATUSZAK

Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich sprawiło, że medialny świat za oceanem zadrżał w posadach, a o swe stolki zaczęli drzeć bezwstydni stróże kłamstw

Przewidywaliśmy zwycięstwo Donalda Trumpa i jeszcze przed wyborami pisaliśmy o tym, jaki wpływ może mieć jego prezydentura na Amerykę i świat. Mały akapit poświęciliśmy mediom, bo uznaliśmy, że i dla nich nadchodzą nowe czasy. „Zmiany nastąpią w mediach. Dziś 90 proc. tych głównych jest skrajnie Trumpowi nieprzychylna, a niektóre w swej nikczemności porównują go do Hitlera. Nie da się wiecznie kłamać” – pisaliśmy. Owe zmiany nie będą retuszem. Wszystko wskazuje na to, że dojdzie do prawdziwej rewolucji czy też kulturowej kontrrewolucji i tradycyjne media, jeśli chcą przetrwać, będą musiały wrócić do zasad, które leży u ich podstaw.

WROGOWIE LUDU

Zresztą ich śmierć już ogłosił Dana White. „Od pięciu lat uznaję, że tradycyjne media są martwe. Najbardziej znienawidzeni ludzie na świecie to politycy i ludzie mediów. Nikt im nie ufa, nikt im



nie wierzy” – mówił na konferencji. White nie jest medioznawcą, dziennikarskim ekspertem, tylko szefem federacji sportów walki UFC. Jego gale gromadzą miliony widzów i pojawia się na nich czołówka republikańskich polityków z Trumpem na czele. Może i White nie jest telewizyjnym mądrąłą, ale jego głos jest znacznie donioślejszy niż jakiegos znawcy medialnego świata. On wie, co mówi i wie, co myślą Amerykanie. Badania Instytutu Gallupa pokazują, że mediom ufa ledwie 31 proc. Amerykanów. To najgorszy wynik w historii. Z kolei według sondażowni Rasmussen aż 58 proc. uważa, że są one wrogiem ludzi/ludu. Dokładnie takiego określenia – „enemy of the people” – użyła ta firma, badając opinie o mediach.

Nic tak nie obnażyło owej wrogości i braku zaufania, jak wynik wyborów. Trump wygrał, mimo iż 91 proc. przekazów mediach pokazywało go w złym świetle. Kamala Harris miała zaś wolną, darmową jazdę – 86 proc. informacji i komentarzy o niej było pozytywnych. Przez blisko pięć lat główne media wprost kłamały, że pogrążający się w demencji Joe Biden ma umysł ostry jak brzytwa, choć wszyscy widzieli, w jakim stanie świadomości jest staruszek. Amerykanie po raz kolejny uświadomili sobie, jak bardzo różni się ich postrzeganie i rozumienie świata od tego, jak im o nim opowiadają i jak go tłumaczą strażnicy zbiorowej świadomości.

Jeszcze przed wyborami pojawiały się zapowiedzi wielkich zmian. Należący do założyciela Amazona Jeffa

Bezosa „The Washington Post” po raz pierwszy od dekad nie poparł żadnego kandydata. Podobnie należą do lekarza miliardera Patricka Soon-Shionga „The Los Angeles Times”. Zwycięstwo Trumpa sprawiło, że medialny świat zadrżał w posadach, a o swe stolki zaczęli drzeć bezwstydni stróże kłamstw.

BRZEZINSKI LIŻE BUTY TRUMPA

Jedną z pierwszych ofiar Trumpa będzie rodzeństwo Brzezinski. Z placówką w Polsce już żegna się arogancki, zachowujący się jak namiestnik w kolonii ambasador Stanów Zjednoczonych Mark Brzezinski, który przedłożył prezydentowi Bidenowi rezygnację i tego samego dnia co on, czyli 20 stycznia 2025 r., odchodzi ze swej funkcji. Mark pilnował poplitpoprawności w Polsce, wdrażania ideologii LGBT+, a jego siostra Mika Brzezinski pilnuje świadomości Amerykanów, prowadząc w stacji MSNBC ze swym mężem Joe Scarboroughem poranny program polityczny „Morning Joe”. Wszystko wskazuje na to, że i ona pożegna się z robotą. Popularność jej show spadła poniżej tzw. ukośnika (slash), jak slangowo określa się sytuację, gdy programy gromadzą tak marną liczbę widzów, że lądują na miejsce, którego się nie uwzględnia, przedstawiając wyniki oglądalności. Coś jak miejsce kolarza w peletonie.

Trzeba jednak przyznać, że Mika wraz z mężem mają swe chwile sławy. Oboje bowiem stali się symbolami samoponizienia,

obrzydliwego lizusostwa i oportunizmu. Tacy amerykańscy specjaliści od czynnym żalu, którzy nazywali Trumpa Hitlerem, Stalinem, gwałcicielem, bredzili, że przez niego kobiety będą umierać, by po wyborach błagać o audiencję i w gorączce pędzić za elektem do jego posiadłości w Mar-a-Lago. Po tym upadającym geście nędzna oglądalność programu z dnia na dzień spadła o kolejne 15 proc., a oni sami zostali obwołani przez medialny i polityczny świat najbardziej obrzydliwą i zakłamaną parą korporacyjnych mediów. Megan Kelly, która była gwiazdą Fox News, a teraz prowadzi własne programy w sieci, komentowała, iż najpierw lizali buty Bidena, potem Harris, a teraz na kolanach poszli wylizywać buty Trumpa.

Krytyka posypała się ze wszystkich stron, nawet od dziennikarzy lewicowych, antytrumpowskich mediów. Jennifer Rubin, publicystka „The Washington Post”, która jeszcze niedawno u Brzezinskiej bredziła, że republikanie chcą zabijać dzieci, teraz nawołuje do bojkotowania ich. John Stewart prowadzący popularny „The Daily Show” mówi, że napisze jednoaktówkę o odwiedzinach u Hitlera – „Joe i Mika jadą do Mar-a-Lago”. Tytuł nawiązuje do słynnego filmu „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu” o tym, jak to młody senator staje w obronie ludu i walczy z możnymi tego świata. Scott Jennings, strateg polityczny i pisarz, szydził w CNN, że nikt się nie spodziewał, iż Hitler będzie dostawał tyle próśb o spotkanie. „Cała ta retoryka o faszyzmie, Hitlerze, nazistowskich wiecach to była kupa bzdur – mówił Jennings. Na miejscu wyborców demokratów spojrzalbym na liderów tej partii i zapytał: czy przez ostatnie tygodnie wciskaliście mi kit?”

Oczywiście, że wciskali i robili to z pomocą usługowych mediów, które w jednym czasie jak na zamówienie zaczęły porównywać Trumpa do dyktatorów, zbrodniarzy i ludobójców. W nikczemnej, skoordynowanej akcji brała udział także żona polskiego szefa dyplomacji Radosława Sikorskiego Anne Applebaum, która w „The Atlantic” publikowała swe elukubracje o Trumpie, który ma być jak „Hitler, Stalin, Mussolini”. Nikt jednak tak szybko i gorliwie jak Brzezinski i Scarborough nie zaprzeczał własnym bredniom, więc para stała się symbolem moralnego upadku mediów.

Największa medialna korporacja świata Comcast prawdopodobnie wystawi Mikę i Scarborougha z ich programem na sprzedaż. Pod młotek ma iść stacja MSNBC, choć na razie rozpoczęła się tzw. restrukturyzacja. Nie ma wątpliwości, że skrajnie lewicowa MSNBC ciągnie w dół siostrzane stacje sieci NBC. Świat platformy X ma zabawę, bo wszyscy kpią, że to Musk kupi tę telewizję i zrobi z niej głos konserwatystów. To żart, ale najbogatszy człowiek świata mógłby to zrobić właśnie dla żartu, dla kaprysu.

MAKE MEDIA GREAT AGAIN

Mika i Joe zostali znienawidzeni we własnym środowisku, bo uważa się, że za ich akcję lizania butów Trumpa zapłacą wszyscy. I tak np. obniżono kontrakt największej gwiazdki MSNBC Rachel Maddow. Zamiast 30 mln dol. rocznie, jak do tej pory, za jeden program w tygodniu, będzie zarabiać „tylko” 25 mln dol. Te zarobki szokują i pokazują, że chodzi tu o sojusz tronu i mikrofonu, o coś znacznie droższego niż oglądalność i idące za nią kontrakty reklamowe.

Zadaniem mediów nie jest służba ludziom, tylko władzy. Te światy całkowicie się przenikają, a unie personalne są czymś powszechnym. Należy się spodziewać, że w stacjach telewizyjnych wylądują teraz tabuny urzędników administracji Bidena. Tymczasem niemal wszystkie stacje informacyjno-publicystyczne oprócz konserwatywnego Fox News tracą widownię i stają się niszowe. Od nocy wyborczej MSNBC straciło ponad 50 proc. widzów, a w ciągu roku 42–47 proc. Słynne CNN, niby platoński wzór telewizji informacyjnej, 39 proc. po wyborach i 26–33 proc. w rok z i tak już niskiej bazy. Ta siostrzana dla TVN telewizja gromadzi średnio ledwie 330–460 tys. widzów. Tymczasem konserwatywna Fox News bije kolejne rekordy. 73 proc. widzów kanałów informacyjnych ogląda właśnie tę stację.

Przypadek CNN i MSNBC powinien być studiowany przez dziennikarzy i szefów mediów, bo kumuluje w sobie wszystko, co najgorsze w organizacjach masowej propagandy i służącej w nich kaście ludzi specjalnych, których zadaniem jest objaśniać świat plebsowi – głu-

pim i ubogim. Nic dziwnego, że właściciel CNN Warner Bros. Discovery chce się ratować i wystawił na sprzedaż m.in. swe polskie aktywa, czyli TVN. Po zwycięstwie Trumpa pracownikom tej stacji robi się szczególnie ciepło, bo może zabraknąć nabywców chcących kontynuować lewicowe, ideologicznie pobudzone (woke) szaleństwo czy LGBT+.

Swą posadę straci Katherine Maher, szefowa jedynej państwowej rozgłośni – radia NPR. Jej poglądy są skrajne nawet na tle tych, które wyznają ideologicznie niezrównoważeni. Maher, która wcześniej była jednym z szefów Fundacji Wikimedia, głosi, iż trzeba zerwać z poszukiwaniem i przekazywaniem prawdy. Prawda jest konceptem przestarzałym i szkodliwym, bo uniemożliwia narzucenie lewicowych porządków.

Rewolucję w „The Washington Post” przeprowadza jej właściciel Jeff Bezos. Miliarder podjął decyzję, by gazeta nie opowiedziała się oficjalnie w kampanii prezydenckiej po stronie Kamali Harris, bo nie chce tak jawnie stronnictwo pisma, zwłaszcza że rocznie traci 77 mln dol., by dziennikarze mogli szerzyć swe ideologiczne fantazje. Posadę straciła redaktor naczelna Sally Buzbee, podobnie jeden z szefów działu politycznego – Dan Eggen i wielu członków załogi.

Rewolucję w „Los Angeles Times” zapowiada Patrick Soon-Shiong. W rozmowie z Fox News oznajmił, że całkowicie zmieni gazetę, by głosy wszystkich stron były słyszane. Tu nie chodzi tylko o uczciwość i rzetelność przekazu, lecz także o biznes. Sytuacja, w której 90 proc. mediów idzie na zwanie z połową Amerykanów – dezawuuje, wyszydza ich wartości i poglądy – jest nie do utrzymania.

Pokazaliśmy ledwie kilka przykładów tego, że po drugiej stronie Atlantyku wzbiera wielka fala. Piszemy o odległych sprawach, bo fala ta dotrze do Europy i Polski. Chcemy czy nie, amerykańskie media wpływają na świat, opowiadają o nim i tłumaczą go, a my w coraz bardziej zatęchłej Europie mamy jedynie lustra i kopiarki. Jeśli tam media porzucą propagowanie szaleństwa Zielonego Ładu, pobudzenia ideologicznego woke czy ideologii LGBT+, to stanie się tak i u nas. „Gazeta Wyborcza” czy TVN nie będą miały skąd ciągnąć swych bredni.

Rosyjska teoria zwycięstwa



Jednym z najważniejszych elementów rosyjskiej „teorii zwycięstwa” jest polityczna izolacja Ukrainy, przekonanie społeczeństw Zachodu, że „to nie nasza wojna” i narzucenie rosyjskich warunków pokoju, bo tylko na takich Kreml zatrzyma swoją agresję. A służą temu eskalacja konfliktu na Ukrainie, zastraszanie zachodnich społeczeństw możliwością użycia broni jądrowej i różnego rodzaju prowokacje

Siergiej Naryszkin, szef rosyjskiego wywiadu zagranicznego, występując publicznie, „kategorycznie odrzucił” zakończenie wojny na warunkach przypominających wariant koreański. Nie będzie żadnego zamrożenia i nie zostanie utworzona strefa zdemilitaryzowana rozdzielająca walczące strony – oświadczył – a jedynym warunkiem przerwania walki jest „likwidacja przyczyn” wybuchu konfliktu.

Nie jest to nowe stanowisko. Kilka dni wcześniej identycznych sformułowań użył Putin, wymieniając rosyjskie



MAREK BUDZISZ

warunki. Chodzi nie tylko o „uznanie terytorialnego *status quo*”, co w rosyjskim słowniku oznacza zgodę Ukrainy na inkorporację czterech południowych obwodów zajętych przez Moskali w czasie

obecnego konfliktu, lecz także rezygnację Kijowa z NATO-wskich aspiracji, demilitaryzację, czyli w praktyce likwidację znaczących sił zbrojnych i pogodzenie się z rosyjską kuratelą polityczną, bo Kreml nadal mówi o „ochronie ludności rosyjskojęzycznej”, której protektorem się ogłosił. W praktyce miałyby to oznaczać wpływ na ustawodawstwo ukraińskie w kwestiach językowych czy edukacyjnych, co równałoby się politycznemu podporządkowaniu Rosji. Jeśli Ukraina zgodziłaby się na te warunki, to prawdopodobnym scenariuszem byłby też wstrząs polityczny w Kijowie, bo do władzy doszłyby siły przyjazne Rosji. Putin mówił zresztą o tym wprost w swym niedawnym orędziu, deklarując, że Moskwa nie może się zgodzić, aby władzę w sąsiednim państwie sprawowali wrogo nastawieni politycy. W gruncie rzeczy tego rodzaju opcja zakłada zainstalowanie na Ukrainie drugiego Janukowycza i rządy ekipy, której celem będzie przeprowadzenie „denazyfikacji”, czyli wewnętrznych czyszek, o czym zresztą znów zaczęli mówić rosyjscy politycy i propagandyści. Zasadnicze pytanie, które w tej sytuacji należy postawić brzmi: czy Rosjanie są w stanie osiągnąć tak zakreślone cele?

ROSYJSKA PRESJA

Nie ulega wątpliwości, że ich presja na wszystkich frontach znacznie się zwiększyła w ostatnich tygodniach. Metodycznie niszczą też ukraiński system energetyczny, co oznacza nie tylko bardzo ciężką zimę dla ludności cywilnej, lecz także zmniejszenie zdolności ukraińskiego przemysłu pracującego na rzecz sił zbrojnych. Odbili już 40 proc. terenów zajętych latem br. przez siły ukraińskie w obwodzie kurskim, a na innych frontach przesuwały się do przodu. Bombardowani w mediach doniesieniami o zdobyciu przez Moskali kolejnych ukraińskich miejscowości zaczynamy myśleć o scenariuszu, w którym rosyjskie siły znów podchodzą pod Kijów, a może nawet, czym groził Miedwiediew, zajmują całą prawobrzeżną Ukrainę i zdobywają kontrolę nad Odessą i sąsiednimi miejscowościami. Czy to jest realne? Być może, ale nie w najbliższej przyszłości.

Jak obliczyli analitycy amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną, od początku listopada siły rosyjskie przejęły kontrolę nad 574 km terytorium Ukrainy. To więcej niż w poprzednich miesiącach i tendencja jest niepokojąca, ale znacznie mniej niż w pierwszej fazie wojny, kiedy Moskale byli w stanie posuwać się znacznie szybciej (np. w marcu 2022 r. zdobyli 1265 km terytorium zaatakowanego sąsiada). Jeśli Kreml chciałby osiągnąć swe minimalne cele wojenne, czyli „wyzwolić” Donbas, to w opinii ekspertów musiałby zająć jeszcze 8 tys. km, co w dotychczasowym tempie zajęłoby Rosjanom co najmniej 12 miesięcy i kosztowałoby życie kolejnych dziesiątek tysięcy żołnierzy. Sytuacja Ukrainy, jak mówił niedawno publicznie gen. Syński, jest trudna, ale nie oznacza to, że lada moment należy się spodziewać najgorszego, czyli załamania oporu i klęski.

BAŁTYCKA PROWOKACJA

Dlaczego zatem Putin i jego współpracownicy zastrzegają retorykę i odkurzają rosyjskie cele z wiosny 2022 r., czyli z okresu, kiedy w Moskwie uważano, że „operacja specjalna” lada moment za-

kończy się sukcesem? W gruncie rzeczy to pytanie jest postawieniem kwestii rosyjskiej teorii zwycięstwa, w które nadal wierzą nie tylko przedstawiciele władzy, lecz także zwykli obywatele. Jak wynika z ostatniego badania opinii publicznej, 63 proc. z nich uważa, że rosyjskie siły zbrojne prowadzą zwycięską kampanię.

Jeśli mowa o tym, w jaki sposób Rosjanie chcą zwyciężyć, trzeba zwrócić uwagę na wydarzenia, które miały miejsce w ostatnich dniach, bo one ujawniają logikę Kremla. Pierwszym jest rejs chińskiego masowca Yi Peng 3, który wypłynął w połowie listopada z rosyjskiego portu Ust-Ługa z ładunkiem nawozów mineralnych. Na wysokości szwedzkiej

Może się okazać, że w Europie na początku kadencji Trumpa ukształtuje się obóz państw opowiadających się za wznowieniem współpracy z Rosją i szybkim zakończeniem wojny na Ukrainie bez zwracania uwagi na interesy Kijowa

wyspy Gotlandia wyrzucił kotwicę, ale kontynuował rejs mimo znacznej redukcji prędkości. Władze w Sztokholmie i przedstawiciele amerykańskich służb specjalnych uważają, że nie ma mowy o wypadku czy „zgubieniu” kotwicy, bo nie sposób było nie zauważyć, iż statek przemieszcza się wolniej niż wcześniej. W efekcie przerwał kabel światłowodowy między Litwą a Szwecją. Statek przepłynął kolejne III mil i uszkodził drugi kabel, łączący Niemcy z Finlandią. Ten „akt sabotażu”, jak powiedział Boris Pistorius, niemiecki minister obrony, ma na celu nie tylko osłabienie państw NATO opowiadających się za twardą polityką wobec Rosji – bo „odcięcie od świata”, a to w praktyce oznacza przerwanie połączeń telekomunikacyjnych, jest równoznaczne z osła-

bieniem zdolności obronnych – lecz także wymuszenie działań, które być może Rosjanie wykorzystają w celu eskalacji napięcia. W tym, co się wydarzyło na Bałtyku, znaczenie ma zarówno to, że jest to jednostka chińska, jak i fakt, że masowiec przewoził nawozy mineralne. Nie mniej istotne jest to, w jaki sposób na incydent zdecydowały się odpowiedzieć państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Yi Peng 3 został zatrzymany w cieśninach duńskich i dziś „pilnują go” trzy okręty marynarek wojennych państw mających dostęp do Bałtyku, ale w świetle międzynarodowego prawa morskiego nie ma możliwości, aby zmusić statek do zawinięcia do portu po to, aby przeprowadzić dochodzenie. Jeśli NATO podejmie taką próbę, będziemy mieli do czynienia z poważnym incydem mogącym w efekcie pogorszyć relacje Pekinu z Zachodem. To zaognienie jest na rękę Moskalom, bo umacnia ich „sojusz” z Chinami i zapewne dlatego przedstawiciele zainteresowanych państw mówią, że w tym przypadku mamy do czynienia z operacją rosyjskich sił specjalnych.

Jeśli państwa NATO rozpoczną w odpowiedzi wspólne patrole morskie na Bałtyku, o co niedawno postulował premier Tusk, właśnie po to, aby chronić szlaki żeglugowe i własną infrastrukturę krytyczną, to Moskwa zapewne zacznie deklarować, że działania te są nie tylko agresywne, lecz także stanowią etap

przygotowań do morskiej blokady rosyjskich portów. Kilka tygodni temu o takiej formie presji na Rosję mówił szef estońskich sił zbrojnych, a w odpowiedzi Kreml opublikował znowelizowaną doktrynę użycia własnego potencjału nuklearnego. Mowa w niej m.in. o tym, że próba blokady czy utrudnienia komunikacji z „izolowanymi” obszarami Federacji Rosyjskiej może być jednym z powodów odwołania się Moskwy do jej potencjału jądrowego.

Analitycy komentujący nowy tekst rosyjskiej doktryny zwrócili uwagę na ten zapis, uważając, że dotyczy on przede wszystkim Krymu, ale nasilenie obecności NATO na Bałtyku może być uznane przez Moskwę za przygotowania do blokady obwodu królewieckiego. Tego rodzaju interpretacja nie musi oznaczać

automatycznego użycia broni jądrowej, ale niewykluczony jest wzrost napięcia i demonstracje siły ze strony Rosjan. Może też zostać wstrzymany eksport rosyjskich nawozów mineralnych, których wielkim odbiorcą nadal jest Europa. Ograniczenie ich dostępności może wywołać kolejne fale protestów rolników, którzy i tak są rozwścieczeni polityką klimatyczną Komisji Europejskiej i posunięciami własnych rządów, takimi jak niedawna decyzja władz Wielkiej Brytanii, aby wprowadzić podatek spadkowy w przypadku dziedziczenia farm.

EUROPA NIE POWINNA CZUĆ SIĘ BEZPIECZNA

Niedawno Putin wydał także rozkaz zaatakowania zakładów przemysłowych w ukraińskim mieście Dniepr przy użyciu nowych rakiet nazwanych Oriesznik. Ta decyzja jest wskazówką, w jaki sposób Rosja ma zamiar wygrać wojnę na Ukrainie i zawrzeć pokój „na własnych warunkach”. W wystąpieniu telewizyjnym zaraz po ataku Putin, mówił, że był to „test w warunkach bojowych” nowego systemu, a także wspominał o „ataku kombinowanym” na ukraińskie przedsiębiorstwo zbrojeniowe. Podkreślił też, że nowa rakietka ma zasięg pozwalający atakować cele w każdym, nawet najdalej położonym zakątku Europy, osiąga prędkość uniemożliwiającą jej przechwycenie i Rosja rozpoczyna jej masową produkcję.

Wszystkie te deklaracje mają znaczenie, ale na wstępie należy sprostować jedno z kłamstw Putina. Otóż jak zauważył Maksym Starczak z Carnegie, w przypadku prototypów rakiet nie mniejsze znaczenie niż śledzenie trajektorii lotu ma analiza skutków uderzenia i w związku z tym nie ma mowy o „teście”, a Rosjanie przeprowadzili po prostu uderzenie nowym rodzajem broni. Rosyjscy wojskowi używają sformułowania „atak kombinowany” na opisanie sposobu użycia broni jądrowej i nie ma w tym przypadku znaczenia, że Oriesznik został uzbrojony w głowicę konwencjonalną, bo do momentu eksplozji nie sposób stwierdzić, jakiego rodzaju ładunek przenosi. Użycie hipersonicznej rakietki o zasięgu 6 tys. km ma być ostrzeżeniem przede wszystkim dla państw europejskich i dlatego Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego

MSZ, „przypadkiem” wspomniała na konferencji prasowej o Redzikowie w Polsce i znajdujących się tam amerykańskich rakietach. Rosjanie od lat domagają się ich wycofania i nie rezygnują z żądania, postawionego jeszcze w grudniu 2021 r., cofnięcia się NATO w granice z 1997 r., czyli zanim rozpoczęto proces rozszerzenia Sojuszu. Siergiej Karaganow, doradca Kremla i jeden z najważniejszych rosyjskich myślicieli strategicznych, napisał kilka dni temu w długim artykule programowym, w którym kreślił drogę Rosji do zwycięstwa, że „wyjściowe stanowisko negocjacyjne jest oczywiste, zostało określone i nie powinno być zmieniane – powrót NATO do granic z 1997 r.”. Po to, aby wygrać wojnę z Zachodem i osiągnąć swe cele geostrategiczne, Rosja powinna, i to od dawna, postulować Karaganow, częściej odwoływać się do swego potencjału nuklearnego. Notabene ten rosyjski ekspert jest przekonany, że opublikowanie przez Kreml nowej wersji doktryny nuklearnej jest dowodem na to, iż Putin wszedł na tę drogę. Tym bardziej potwierdza to użycie systemu Oriesznik i pogróżki pod adresem Europy.

NA CO LICZY KREML?

Moskale z pewnością będą eskalować działania na Ukrainie i wokół niej przed objęciem urzędu przez Donalda Trumpa. Nie chodzi w tym przypadku o rozstrzygnięcie wojny, zanim nowy prezydent rozpocznie kadencję. Kreml przygotowuje w ten sposób „pole negocjacyjne”, i to też nie wprost, bo stara się zastraszyć nie tylko rządy, lecz przede wszystkim europejskie społeczeństwa. W lutym odbędą się wybory do niemieckiego Bundestagu i można się spodziewać wzrostu znaczenia sił politycznych opowiadających się za wznowieniem współpracy z Rosją i szybkim zakończeniu wojny na Ukrainie bez zwracania uwagi na interesy Kijowa. Niedawna decyzja koncernu ThyssenKrupp, który w związku z cenami energii podjął decyzję o zamknięciu stalowni znajdującej się w Niemczech i zwolnieniu 11 tys. pracowników, co jest szokiem dla tamtejszej opinii publicznej, może wzmocnić te nastroje. Nie jest też kwestią przypadku, że w oficjalnym komunikacie Kremla po telefonie Scholza do Putina znalazł się fragment mówiący

o tym, że Rosja zawsze była wiarygodnym dostawcą tanich surowców energetycznych dla Niemiec i jest gotowa wznowić współpracę na korzystnych warunkach, oczywiście o ile rząd w Berlinie zrewiduje swą politykę wspierania wysiłku militarnego Ukrainy.

Prorosyjskie partie już wygrały wybory w Austrii, a władzę na Węgrzech i Słowacji sprawują politycy opowiadający się „za pokojem”, co w praktyce oznacza przyjęcie rosyjskich warunków zakończenia wojny. Zwycięstwo w pierwszej turze wyborów prezydenckich w Rumunii Călina Georgescu deklarującego ochronę interesów rumuńskich rolników i ograniczenie wsparcia dla Kijowa też jest symptomatyczne, bo oznacza przesunięcie nastrojów opinii publicznej. Nawet jeśli Georgescu nie wygra wyborów, to wybory parlamentarne, które odbędą się w tym tygodniu, mogą przynieść niekorzystne dla Kijowa niespodzianki. Takich nie będzie w Czechach, gdzie do władzy wróci zapewne były premier Babiš, również opowiadający się za wznowieniem współpracy z Rosją i mówiący o szybkim zakończeniu wojny.

Może się zatem okazać, że w Europie na początku kadencji Trumpa ukształtuje się obóz państw opowiadających się za szybkim zakończeniem wojny. Wydaje się, że o to gra Putin, eskalując napięcie. Jak napisała Agencja Reutera, powołując się na pięć niezależnych źródeł informacji, ryzyko, że Rosja użyje swojego potencjału nuklearnego, jest zdaniem amerykańskiego wywiadu niewielkie. Jednak nie chodzi o użycie, ale o zagrożenie. Zastraszenie i zmęczenie wojną zaczynają działać – wyniki wyborów wskazują na znużenie konfliktem i jego skutkami ekonomicznymi. Jeśli ten trend ulegnie wzmocnieniu w kolejnych państwach europejskich, to do głosu w niejednorodnym przecież otoczeniu Trumpa mogą dojść ci eksperci i politycy, którzy uważają, że Ameryka nie powinna dbać o bezpieczeństwo naszego kontynentu bardziej, niż robią to Europejczycy. Wydaje się, że jest to jeden z najważniejszych elementów rosyjskiej „teorii zwycięstwa”. Jej istotę stanowi polityczna izolacja Ukrainy, przekonanie społeczeństw Zachodu, że „to nie nasza wojna” i w efekcie narzucenie rosyjskich warunków pokoju, bo tylko na takich Kreml zatrzyma swoją agresję. 

Szorstki pretendent



TRUDNE DZIEDZICTWO

Teraz bowiem, gdy w lutym przyszedł rok szykują się wybory parlamentarne po wyjściu liberalów z FDP z tzw. koalicji sygnalizacji świetlnej, Merz stał się nadzieją na zmiany. Jako kandydat na kanclerza obiecuje nowe otwarcie.

„Niemcy, z których znów możemy być dumni” – głosi podpis pod jego zdjęciem na stronie internetowej CDU. Niemcy mają być ambitne, skuteczne i prosperujące. Takie, jakie były za czasów Helmuta Kohla czy – no właśnie – Merkel. Jej dziedzictwo wciąż bowiem wisi nad CDU i samym Merzem. Była kanclerz właśnie zaprezentowała w Berlinie swoją liczącą 700 stron autobiografię pt. „Wolność”. O Merzu nie za bardzo chciała mówić. „Ktoś, kto zaszedł tak wysoko w polityce, musi posiadać jakieś cechy, które mu to umożliwiły. Nie będę mu tego żałować” – zadeklarowała. Nie był to bynajmniej komplement.

Także Merz nigdy nie szczędził byłej rywalce krytyki. Przez lata określał jej rząd jako „absolutnie beznadziejne”, a nawet „szkodliwe”. A nią samą jako „ociężałą”. Tyle że jeśli chce zostać kanclerzem, a CDU/CSU zdobyć ponad 30 proc. głosów wyborców, będzie musiał się oswoić z tym dziedzictwem. Jak pisze tygodnik „Der Spiegel”, partia „musi znaleźć sposób na podkreślenie sukcesów lat Merkel, odcinając się jednocześnie od jej błędów”. Sekretarz generalny CDU Carsten Linnemann, który będzie odpowiedzialny za kampanię, nie chce, by zwolennicy Merkel, których w społeczeństwie i w partii wciąż jest немало, czuli się odrzuceni. „Błędy Merkel są oczywiste, ale zapewniła Niemcom długo okres stabilności” – podkreślił. A za tą stabilnością

Lider CDU Friedrich Merz ostro krytykuje odchodzący już rząd kanclerza Olafa Scholza, podobnie jak dokonania swojej poprzedniczki na czele chadecji Angeli Merkel. Czy gdy zostanie kanclerzem, naprawdę zrobi wszystko zupełnie inaczej?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zastój i letarg wynikający z polityki Angeli Merkel pokrył Niemcy niczym dywan mgły” – wściekał się Friedrich Merz w 2019 r. Było to rok po tym, jak nie udało mu się uzyskać stanowiska przewodniczącego CDU. „Mutti”, jak Niemcy nazywali panią kanclerz, miała inne plany. Nie było w nich (po raz kolejny) miejsca dla Merza, z którym od początku nie było jej po drodze. „Był dla niej zbyt ambitny, wręcz arogancki” – jak wspominał na łamach „Spiegla” były spin doctor chadecji Michael Spreng.

W 2000 r., gdy rozpoczęła się droga Merkel do władzy, ówczesny szef frakcji chadecji w Bundestagu zasugerował, że za pięć lat to on mógłby kandy-

dować na kanclerza. „Zapytał ją: »I co wtedy zrobisz, Angelo?«. A ona mu odpowiedziała: »Już ty się nie martw«” – podkreślił Spreng. Była to zawołana groźba, której Merz nie potraktował poważnie. A powinien. Przyszła kanclerz dosłownie wypchnęła go z partii.

W 2004 r. dla Merza stało się jasne, że już nic nie zdziała. Zrezygnował z walki o przewodnictwo, a w 2009 r. opuścił Bundestag i politykę. Marzenie o kanclerstwie rozplynęło się w Merkelowej mgle. Pojawił się po dziewięciu latach, gdy teflonowa kanclerz zdecydowała się zrezygnować z szefowania CDU. Jego kandydatura zachwyciła tę część partyjnej bazy, chcącej powrócić do konserwatywnych źródeł. Ale umiarkowani uznali jego arogancję za odpychającą, a wpływy kanclerz były w partii wciąż ogromne. Jego kandydatura upadła, także kolejna próba w 2021 r. nie powiodła się. Dopiero przejście CDU/CSU do opozycji, a Merkel na emeryturę utorowały mu drogę do władzy w chadecji i być może w kraju.

Niemcy dziś tęsknią. „Ponownie do przodu!” – głosi hasło wyborcze CDU. Może i do przodu, ale nie negując przy tym politycznej przeszłości.

LIBERAŁ Z KONSERWATYWNYM SZNYTEM

W historii Niemiec sytuacja na początku kampanii wyborczej rzadko była zresztą tak jasna jak teraz. Chacdecja plasuje się w sondażach daleko przed innymi partiami, ma dwa razy większe poparcie niż rządzący socjaldemokraci kanclerza Olafa Scholza. Rzeczywiście Scholz jest tak niepopularny, że prawie nikt w jego własnej partii nie wierzy, że uda mu się nadrobić deficyt w ciągu następnych trzech miesięcy.

Wydaje się więc całkiem prawdopodobne, że 69-letni Joachim-Friedrich Martin Josef Merz, pochodzący z miasta Brilon na wschód od Dortmundu w Nadrenii Północnej-Westfalii, syn sędziego, zostanie 10. kanclerzem powojennej republiki niemieckiej. Droga na polityczny szczyt zajęła mu ponad 20 lat. Dotarł tam, bo, jak twierdzi jego otoczenie, jest „szorstki i uparty, wręcz zaciekły”. Nawet w CDU mało kto w niego wierzył.

Gdy w 2022 r. udało mu się w końcu przejąć kierownictwo chadecji, najejden partyjny strateg uważał, że to rozwiązanie przejściowe. Panowała oczywiście zgoda, jak czytamy na łamach magazynu „Cicero”, że „po 16 latach Merkel CDU potrzebuje odnowy”. Celowano jednak raczej w pokoleniową zmianę. Merz, tylko o rok młodszy od Merkel, nie był wymarzoną kandydatem ścisłego kierownictwa partii. Wybrała go jednak partyjna baza. A on okopał się na szczycie, otoczony wąskim kręgiem zaufanych ludzi. Jego przeciwnicy w CDU mieli nadzieję, że nie zostanie on kandydatem na kanclerza, że „przegra wybory z kretesem” i się go pozbędą. Ta kalkulacja okazała się błędna.

Czasy się zmieniły. Niemcy popadły w poważną gospodarczą stagnację, obywateli ogarnął strach przed przyszłością, a koalicja z SPD, Zielonych i FDP całkowicie się skompromito-



Fot. Photocast/1/Shutterstock.com

wała. Idealne warunki dla Friedricha Merza, gospodarczego liberała z konserwatywnym sznycem. Wprawdzie nie jest on bynajmniej antyestablishmentowy, ale i tak zgarnie część głosów sfrustrowanych ostatnimi latami niemieckiej polityki.

MOCNA RETORYKA

Jeśli jego własna partia jest sceptyczna, to lewica go szczerze nienawidzi. Po części sam sobie na to zasłużył, nazywając dzieci imigrantów „małymi Paszami”, rozważając współpracę z Alternatywą dla Niemiec na poziomie samorządów i zarzucając ukraińskim uchodźcom „turizm socjalny”. Mocna retoryka i brak precyzji w słowach to zresztą znak rozpoznawczy Merza. Nierzadko jego wypowiedzi wywoływały kontrowersje i według przychylnych mu obserwatorów „niszczyły to, co zbudował”.

Choćby w 2004 r., gdy zadeklarował, że uważa za „wzór” swojego dziadka, wieloletniego burmistrza Brilonu. Chodziło mu oczywiście o samorząd, ale lewicowa „Die Tageszeitung” sięgnęła po archiwa, z których wynika, że Josef Paul Sauvigny był Oberscharführerem SA, a później członkiem NSDAP. Merz nazwał rewelacje „TAZ” obrzydliwymi. Dziadek miał zostać „automatycznie” wcielony do NSDAP i w 1937 r. „zniesmaczony nazizmem” przejść na emeryturę. Sprawa w końcu ucichła, ale niesmak pozostał.

Dziś Merz, który czas z dala od polityki spędził w radach nadzorczych takich niemieckich koncernów jak BASF, w amerykańskim funduszu inwestycyjnym Black Rock czy jako adwokat w kancelarii Mayer Brown, która reprezentowała m.in. niemieckie koncerny węglowe, chce naprawić gospodarkę. W maju chadecja przyjęła nowy program pt. „Życie w wolności. Bezpiecznie prowadzić Niemcy w przyszłość”. Ma on sygnalizować powrót partii do konserwatywnych korzeni. Jest w nim mowa o „kulturze przewodniej” (Leitkultur), likwidacji świadczenia

obywatelskiego (Bürgergeld) w przypadku tych, którzy, choć mogą, nie chcą pracować, o obniżce podatków czy zatrzymaniu masowej migracji poprzez kontrole graniczne i zwracanie migrantów. Bundeswehra ma zostać wzmocniona, wydatki na obronność wzrosnąć. Merz chce także zmniejszyć biurokrację.

Niektórzy eksperci mieli nadzieję, że przywróci też elektrownie atomowe, ale szef CDU wykluczył taką możliwość. Słońce, wiatr, geotermia, energia wodna i wodór, a także węgiel i gaz, nawet fuzja jądrowa, jeśli okaże

„Niemcy, z których znów możemy być dumni” – głosi podpis pod zdjęciem Merza na stronie internetowej CDU. Niemcy znów mają być ambitne, skuteczne, prosperujące. Takie, jakie były za czasów Kohla czy Merkel

się to konieczne i możliwe. Merz może więc odejść od forsowania agendy klimatycznej, ale radyklanego zwrotu raczej nie będzie. Transformacja energetyczna zaszła już za daleko.

TRUDNA PRZYSZŁOŚĆ

Czy Niemcy będą więc zupełnie inne z Merzem u władzy? Niewiele na to wskazuje. Wieloletni przewodniczący stowarzyszenia Atlantik-Brücke, jak sam twierdzi, na pewno ma bardziej „międzynarodowe spojrzenie na niemiecką politykę”. Lider CDU odwiedził już m.in. izraelskiego premiera Binjamina Netanjahu i prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Na długo przed Scholzem był także u Wołodymyra Zełenskiego na Ukrainie.

Jako przekonany atlantysta Merz jest zdeterminowany, by porozumieć się z prezydentem USA Donaldem Trumpem. W jednym z wywiadów podkreślił, że „chce spotkać się z nim na równych prawach”. „Musimy przejść od uspiętego średniego mocarstwa do ponownego stania się wiodącym średnim mocarstwem” – mówił. Jak dodał, jego głównym zadaniem będzie „jak najlepsze pogodzenie interesów Niemiec z interesami USA”. Jest to bez wątpienia konieczne, biorąc pod uwagę zamówienie Trumpa do karnych cel i nadwyżkę handlową Niemiec. Multimilioner z prywatnym jetem zdaje się idealnie pasować do miliardera z posiadłością w Mar-a-Lago na Florydzie.

Niemcy Merza mają być efektywne, sprawne i sprawcze. Także na arenie międzynarodowej. Ale czy zasadniczo inne niż te dotychczasowe? Odpowiedź na to pytanie dostarczyło wystąpienie szefa CDU w Środę Popielcową w miasteczku Apolda w Turynii. Merz wszedł na scenę i zarysował przyszłość pod rządami jego oraz jego partii: AfD to zło, SPD to dobry partner koalicyjny, w razie potrzeby trzeba rządzić z Zielonymi. I na koniec: przyszłość będzie trudna. Wszyscy musimy więcej pracować, będzie mniej pieniędzy do podziału, a bezpieczeństwo Niemiec wymaga ogromnych inwestycji. Należy nastawić się na wyrzeczenia.

Nie były to słowa, które obecni na sali chcieli usłyszeć. Niektórym ości od matjasa (obiad był postny) z przerażenia stanęły w gardle. Tyle że mainstreamowe elity za Odrą, a Merz do nich należy, nie mają odwagi, by dokonać politycznej rewolucji. Będzie więc kontynuacja, bo wbrew temu, co mu się przypisuje, szef CDU to właśnie lubi. W kampanii będzie się oczywiście starał wyraźnie odgraniczyć chadecję od SPD, a także Zielonych. Ostatecznie jednak będzie z nim tak jak z Gerhardem Schröderem w 1998 r. Schröder obiecał wówczas, że nie zrobi wszystkiego inaczej, po prostu zrobi to lepiej.



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Relacja z Ukrainy

W majster ni dronów

Na początku rosyjskiej napaści głośno stało się o bayraktarach – pokaznych rozmiarów bezpilotowcach tureckiej produkcji, których osiągnięcia bojowe uwieczniła popularna na Ukrainie piosenka. Niewiele później zapisy z amatorskich dronów były jak akt oskarżenia wobec Rosjan, którzy dokonali zbrodni na setkach mieszkańców podkijowskiej Buczy. Obecnie do internetu codziennie trafiają nagrania z frontu – z dronów kamikaze rozbijających się o pancerze pojazdów obu walczących stron, zwiadowczych czy kierujących ostrzałem artyleryjskim.

Masowe wykorzystywanie bezzalogowców w zaplanowanej na kilka dni rosyjskiej operacji specjalnej – w lutym rozpocznie się czwarty rok wojennych zmagani – odcisnęło na niej wyjątkowo silne piętno. Wymogło zmiany organizacyjne w wojsku i konstrukcyjne w budowie pojazdów opancerzonych. Powstały nieznane wcześniej forma-

Niestety wojna nigdy się nie zmienia. Zawsze polega na zabijaniu. Ewoluuja tylko metody zadawania śmierci.

Ukraina jest placem boju, na którym po raz pierwszy na masową skalę walczą na wpół zrobotyzowane drony

cje i specjalizacje wojsk dronowych. Praktycznie każdy oddział piechoty jest wyposażony w bezzalogowce, a pojazdy bojowe w dodatkowe klatki osłonne oraz zagłuszarki sygnału – zarówno te z dwukolorowymi oznaczeniami, jak i te z wymalowanymi na nich literami Z. Zmianie uległo też uzbrojenie pojedynczych żołnierzy – u części karabiny zastąpiła nie spotykana dotychczas w wojsku broń śrutowa. Umiejętności posługiwania się nią stała się bardzo cenna.

W technologicznym wyścigu pomiędzy konstruktorami zagłuszarek i dronów na prowadzenie wychodzą raz jedni, raz drudzy. Bezzalogowce

okresowo bywają niewrażliwe na elektroniczne środki porażania, dlatego najpewniejszym sposobem ich zatrzymania jest chmura śrutu wystrzelona z gładkolufowej strzelby.

LATA, JEŹDZI, BIEGA

W porównaniu z innymi rodzajami broni drony są tanimi i skutecznymi środkami bojowymi. Urządzenie kosztujące mniej niż 1 tys. dol. bardzo często może zagrozić wartym milionami czołgom. Setki bezzalogowców codziennie wykonują różnorodne misje – od bojowych przez zwiadowcze, logistyczne czy ratownicze, w zależności od



Zdobyczny rosyjski dron po remoncie wróci na front, ale teraz jako sprzymierzeniec



Bomby dronowe



Każdy bezzałogowiec jest testowany na różne sposoby

podwieszonego ładunku. Urządzeniom nie robi przecież różnicy, czy przenoszą bomby, specjalistyczne kamery, amunicję, wodę, czy opatrunki, które zrzucają bezpośrednio potrzebującym. Zdarzały się nawet przypadki poddawania się dronom. Pewien rosyjski żołnierz, widząc nadlatującą maszynę, wyjątkowo ekspresyjną gestykulacją dał do zrozumienia, że kapituluje. Operator zrozumiał intencje żołdaka. Z drugiego drona zrzucono mu instrukcje, by podążał za nim i w ten sposób przeszedł przez pole minowe na ukraińską stronę frontu, skąd trafił do obozu jenieckiego.

Siły Zbrojne Ukrainy korzystają również z dronów naziemnych. Niewielkie pojazdy kołowe mogą dostarczać w niebezpieczne rejony zaopatrzenie, nie narażając ludzi, czy przewozić leżącego na nich rannego żołnierza. Niektóre źródła donoszą również o wykorzystywaniu czworonożnych autonomicznych robotów zwiadowców.

SKŁADAKI Z CAŁEGO ŚWIATA

Większość amatorskich dronów pochodzi z Chin. Po niewielkich przeróbkach, głównie oprogramowania, korzystali z nich ukraińscy wojskowi. Jednak od kiedy chiński DJI, największa firma zajmująca się produkcją bezzałogowców, sprzeciwił się militarnym zastosowaniom swoich konstrukcji, ich dostępność na Ukrainie gwałtownie spadła. Takich obiekty nie miał Iran, dostarczający Rosji swoje szachedy, które codziennie spadają na ukraińskie miasta.

Podczas swojego ostatniego pobytu na Ukrainie odwiedziłem jedną z majsterń dronów, czyli manufakturę, w której powstają bezzałogowce walczące z Rosjanami. Zanim mnie tam zawieziono, musiałem przełączyć telefon w tryb samolotowy, by lokalizacja tego miejsca w żaden sposób się nie zapisała.

Ten warsztat to nie tylko miejsce, gdzie składane są w całość poszczególne elementy. To także ludzie, którzy poświęcają swój czas, by choć przez godzinę czy dwie wspomóc produkcję swoją pracą. Choć jak się okazuje, kobietom lepiej wychodzi skręcanie drobnych elementów, to mężczyznom, którzy mimo że są wolontariuszami, zostają zmobilizowani, bardziej przydaje się wiedza zdobyta w tym miejscu. Ich doświadczenie jest wykorzystywane przez armię – trafiają oni do oddziałów dronowych lub przyfrontowych majsterń.

Przed wojną żaden z pracujących tu ludzi nie miał doświadczenia w tej dziedzinie. Każde skonstruowane urządzenie jest efektem wspólnej pracy, wielu prób, błędów i udoskonaleń wprowadzanych po konsultacjach z ich wojskowymi użytkownikami.

Szef wytwórni, nazwijmy go Sasza, chętnie mnie po niej oprowadza i opowiada o trudnościach, które pokonywali. By móc wykorzystać partię 50 procesorów, które okazały się niekompatybilne z ich sprzętem, tutejszy informatyk nie wychodził stąd przez trzy doby. W tym czasie nikt nawet nie próbował się do niego odzywać. Praca przez długie godziny przyniosła jednak efekt. Udało się wykorzystać podzespoły, a pieniądze i czas nie zostały stracone, bo na dostawy z Chin trzeba czekać tygodniami.

W dronach od Saszy najdroższe są właśnie procesory, silniczki i baterie. W sumie bezzałogowiec to niewiele więcej. – By ograniczyć ciężar ramy urządzeń, do których wszystko montujemy, wykonujemy je z włókna węglowego. Mieliśmy z nim problem w czasie blokad granicy przez polskich rolników, którzy nie przepuszczali tego materiału na Ukrainę – z żalem mówił Sasza. – Rolnicy powinni zrozumieć,

że im więcej mamy dronów, tym mniej potrzebujemy opatrunków, bo możemy się skutecznie bronić.

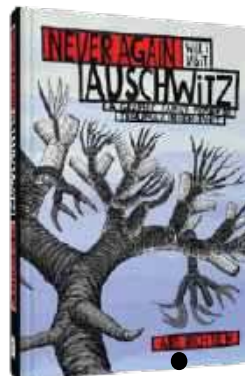
Warsztat ma dobrą renomę. Celem ulepszenia trafiają do niego drony zmontowane gdzie indziej. Takie zlecenia przyjmują niechętnie, ale wiedzą, że w ten sposób wspomagają wysiłek wojenny kraju. – Rosjanie produkują „ptaszki” podobne do naszych – mówi Sasza, pokazując mi urządzenie tamtejszej produkcji. – Tylko ramy robią z aluminium, przez co są wytrzymalsze, lecz także cięższe. U nich produkują je masowo, każdy w środku ma numer seryjny.

Rosyjski dron trafił tutaj do naprawy. Nie wykonał swojej misji, rozbił się i spadł. Szasza powiedział, że wkrótce się nim zajmą i będzie mógł wrócić tam, skąd przybył, tylko że Rosjanie nie ucieśnią się z prezentów, jakie im przyniesie.

Do złożenia bezzałogowca potrzebne są jeszcze specjalne drobne elementy, m.in. nożki i uchwyty bomb. Wszystkie są produkowane na miejscu dzięki drukarkom 3D. Podobnie jak korpusy bomb zrzucanych z dronów. Ich każda kolekcja stoi na półkach pod jedną ze ścian. Są bardzo lekkie, przy delikatnym potrąceniu łatwo mogą spaść na podłogę, ale na szczęście są jeszcze puste. Ich uzbrojeniem w zapalniki i materiały wybuchowe zajmują się już żołnierze.

Powstające tu drony mimo niewielkich rozmiarów mają wymierny wpływ na przebieg działań na froncie. Ich sięgający kilku kilogramów udźwieg pozwala zabrać nie tylko ładunek, lecz także umożliwia montaż systemów eliminujących pracę rosyjskich załuszczarek. Problemem bywają pieniądze na produkcję, ale dzięki pomysłowości i determinacji kierownictwa warsztatu udaje się je zdobyć. Część pochodzi ze zbiorów. Ludzie wiedzą, że wszyscy są na wojnie, toteż każdorazowo wspierają takie akcje.

Nowojorski komiks z Polakami antysemitami



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

*Niedawno
w USA została wydana
opowieść graficzna,
w której główny
bohater, amerykański
Żyd, odkrywa historie
swoich przodków i na
swoój sposób przeżywa
traumę Holokaustu.
W pracy pojawia się
wyraźny wątek polski,
przedstawiający nasz
naród ze sporą dozą
pogardy*

Czterdziestojednoletni Ari Richter jest profesorem sztuk pięknych w The City University of New York, którego bliscy przeżyli Holokaust. Będąc jednocześnie rysownikiem, wydał ostatnio komiks, który sam nazywa „graficznym pamiętnikiem rodzinnym”, w którym opowiada o historii swojej rodziny oraz, co dla nas będzie ważne, swojej wizycie w Auschwitz.

Ponad 200-stronicowa opowieść pt. „Never Again Will I Visit Auschwitz: A Graphic Family Memoir” („Nigdy więcej nie odwiedzę Auschwitz...”) jest rozliczeniem z własnymi lękami i z własną żydowską tożsamością. Autor opowiada o tym, jak czuje się jako Żyd we współczesnej Ameryce (pojawia się również motyw Donalda Trumpa). Richter opowiada więc historię swoją i swojej rodziny, którą sam poznaje w rozmowach z przedstawicielami najstarszego pokolenia. Jest wstrząśnięty wspomnieniami przodków, co pcha go w końcu do podróży do muzeum w Auschwitz.

Drogi czytelniku tygodnika „Sieci” domyśla się już, co intelektualista z nowojorskiego, a więc liberalnego uniwersytetu zobaczy w Polsce. Można oczywiście nie lubić naszego kraju, a muzeum w Auschwitz uznać za źle skonstruowane i przedstawione z tendencyjną narracją. Trudno jednak nie przypisać autorowi uprzedzeń – w tej książce nawet rysunki Polaków są przedstawione w odrażający sposób.

PODRÓŻ DO ANTYSEMICKIEJ POLSKI

Gdy para głównych bohaterów przybywa z USA do Niemiec, a potem do Polski, i spotyka obywateli tej ostatniej, autor pisze: „W Polsce czuliśmy się gorzej niż w Niemczech. Więcej nieoczekiwanych spojrzeń, jakbyśmy byli obcymi, wygnańcami”. Rysunek przedstawia parę o blond włosach z wykrzywionymi rysami twarzy, groźnie zmarszczonymi brwiami, papierosem w ustach i zaciśniętymi w gniewie ustami. Do tego główny bohater – sam autor – pyta partnerki: „Patrz na nas z pogardą przez cały czas. Czy naprawdę jest tak widoczne, że jesteśmy Żydami?”.

Na to kobieta odpowiada: „Nie, myślę, że to są po prostu ich twarze”.

Cała Polska i polskość są przedstawione w komiksie dziwnie. Już rozdział poświęcony podróży do naszego kraju jest zatytułowany „Pole-ish”, co zdaje się być nieprzetłumaczalną grą słów. „Polish” to po angielsku Polak, podobnie jak „Pole”, choć bardziej potocznie, pogardliwie. Zbitka tych dwóch słów przypomina słowo, które u nas niezbyt często brzmi jak „Polaczki”. Uwag do polskości jest tu pełno. Dziadek bohatera mówi w pewnym momencie: „Ari, zapytaj babci, jak to jest być Polką”. „He, he” – śmieje się wnuczek.

Polacy według Richtera mają też pogromy we krwi. Przypomnijmy, że one same – agresywne lincze na ludność żydowskiej – były z początku inspirowanymi przez rosyjską tajną policję atakami na ludność wyznania mojżeszowego, stanowiły część systemu tworzenia instytucjonalnego antysemityzmu. Później, choć na mniejszą skalę, te akty agresji rozlały się po Europie Wschodniej i Środkowej, odnajdując szczyt swojej zbrodniczości w niemieckim nazizmie. Ale nowojorski profesor wspomina o pogromach nawet wtedy, gdy opowiada o spacerze w Nowym Jorku po polskiej dzielnicy (zapewne chodzi o Greenpoint). Tam również spojrzenia Polaków mają wynikać z chęci pogromów.

„PROWINCJONALNI PIJACY”

Uprzedzenie wobec Polaków widać u autora także w tym, jak opisuje nie tyle Niemców, ile niemieckich Żydów. Dla Richtera są bowiem Żydzi wschodnioeuropejscy (ale zwłaszcza polscy) – „provincjonalni pijacy”, i Żydzi niemieccy, odczuwający wyższość kulturową. Ci ostatni wydali ze swojego

grona Freuda, Mendelssohna czy Herzoga, a polscy... Tu Richter nie wspomni Izaaka Singera, Kazimierza Funka czy Manfreda Lachsa. A może o Michniku czy Geremku Richter by napisał, że są „prowincjonalnymi pijaczkami”?

Ale w tym miejscu warto zwrócić uwagę na profesorskie zaplecze autora. Jest on plastykiem, a nie historykiem, a cała jego praca jest bardziej opowieścią o odczuwaniu, a nie o faktach. I właśnie to odczuwanie zdaje się mocno powiązane z uprzedzeniami wobec Polski i Polaków. Jeśli autor przyznaje, że „Polacy również wiele wycierpieli przez te wszystkie podboje i okupacje”, to po to, by zaraz dodać, że przecież „zranieni ludzie ranią innych”. I owo powiedzenie ma dotyczyć jedynie Polaków, bo przecież nie potwornie zranionych Żydów.

Automatycznie przypomina się tutaj niefortunna czy wręcz głupia wypowiedź polskiej prof. Barbary Engelking, która mówiła, że „dla Polaka śmierć to kwestia biologiczna, śmierć jak śmierć”, ale dla Żydów – co to, to nie, to już była „metafizyka”.

ANDRZEJ DUDA, „DO CHOLERY”

Sam tytuł „graficznych wspomnień” – „Nigdy więcej nie odwiedzę Auschwitz” – jest podsumowaniem wizyty w samym muzeum. Według autora za dużo jest tam martyrologii Polaków, a za mało martyrologii Żydów. W pewnym momencie zwiedzania, jak widzimy w komiksie, jasnowłosy Polak przewodnik woła, że pierwotnymi więźniami obozu byli Polacy, dopiero później „ostatecznie zastąpieni przez żydowskich przyjeźdźców”. Richtera dziwi, że przewodnik mówi o „polskich Żydach”, a nie po prostu o Polakach. Po raz kolejny daje się tu we znaki dramatyczne uproszczenie trudnej historii



II wojny światowej. Wszak w czasie okupacji czy po niej to nie Polacy dokonywali podziału na Polaków i polskich Żydów, lecz zrobili to Niemcy, więc trudno, by w muzeum udawać, że takiego podziału nie było.

W komiksie pojawia się również postać Andrzeja Dudy, który na rysunku mówi: „I nigdy więcej nazywania ich polskimi obozami śmierci, do cholery!”. W narracji Richtera przykłady deformowania stanowiska Polski wobec zbrodni niemieckich można by mnożyć. Profesor, tradycyjnie dla zachodnich autorów, zdaje się nie wiedzieć, że w czasie okupacji Polakom groziła śmierć za pomoc Żydom, wręcz drwi z drzew zasadzonych dla Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, nie rozumiejąc heroizmu naszych rodaków. Cała jego opowieść przypomina zresztą słynne kiedyś nagranie izraelskiego dziennikarza, który zarejestrował wycieczkę Żydów z Izraela do Auschwitz. Młodzieży wmówiono, że polscy antysemici dybią na ich życie, dlatego potrzebna jest uzbrojona ochrona. W pewnym momencie miejscowi bywalcy przysklepowej ławeczki zaczynają pytać dziewczęta, skąd pochodzą i komplementować je, że są miłe i sympatyczne. Młode kobiety były przekonane, że Polacy je wyzywają i że ledwo bezpiecznie uszły przed ich zemstą. Wśród obywateli Izraela żyjących w niemuzułmańskiej enklawie pośród wrogich krajów to przesadne szukanie

wrogów może się wydawać naturalne, ale dla czego dorosły Richter z Nowego Jorku też wszędzie widzi zło i wrogię spojrzenia? Niczym redaktor „Gazety Wyborczej”, który pomalował się na czarno, by na Marszu Niepodległości znaleźć rasizm, którego co prawda nie znalazł, ale „czuł”, że znajduje. Podobnie zdaje się czuć Richter.

KŁAMSTWO MIGRUJE DO POPKULTURY

W bibliografii, którą profesor podaje na końcu swojej graficznej opowieści, nie ma znanych nam prac Jana Grabowskiego, Tomasza Grossa czy Barbary Engelking, choć jego narracja łączy się właśnie z zafałszowanym przez nich obrazem historii. Warto jednak dodać, że w tejże bibliografii nie ma również prac, które wydałby Instytut Pamięci Narodowej albo inne polskie ośrodki badające Holocaust. Jest tylko grono współczesnych amerykańskich lub żydowskich autorów prezentujących zachodnią, uproszczoną perspektywę.

Rzeczek jednak w tym, że do tej pory zakłamana historia w pracach Grabowskiego czy Engelking, a ostatnio także Grzegorza Rossolińskiego-Liebe, istniała w dyskursie naukowym i niekiedy ocierała się o publicystykę. Teraz jednak pojawiła się w formie artystycznej bardziej dostępnej dla nieobebranego czytelnika. Ta antypolska i nieprawdziwa narracja przesuwa się w stronę popkultury, która dla milionów ludzi jest punktem odniesienia ich własnej wiedzy.

Opowiadamy o pracy Ariego Richtera, bo jak mało co pokazuje ona dokładnie, w jak krzywym zwierciadle liberalni Żydzi postrzegają Polaków, a także historię Holocaustu.



Interwencja ZSRR w Polsce – wielki blef Jaruzelskiego

W sierpniu 1980 r. władze PRL nie zdecydowały się na proponowane przez MSW rozwiązanie siłowe i postawiły na porozumienia ze strajkującymi robotnikami. W efekcie na podstawie tzw. porozumień sierpniowych w połowie września powstał NSZZ „Solidarność”. Dla komunistów było to jednak tylko chwilowe, taktyczne ustępstwo. Od razu ruszyły przygotowania do ewentualnej siłowej pacyfikacji polskiego społeczeństwa.

Stanisław Kania, od września 1980 r. pełniący funkcję I sekretarza KC PZPR, opowiadał się za przejęciem kontroli nad powstającym związkiem dzięki rozbudowanej grze operacyjnej. Podporządkowana Solidarność zostałaby wówczas wkomponowana w system. W razie niepowodzenia tej operacji w odwodzie pozostawało rozwiązanie siłowe, od początku forsowane przez część kierownictwa partii. W efekcie już w październiku 1980 r. były gotowe pierwsze listy osób wytypowanych do internowania, a na początku listopada tego roku „zestaw niezbędnych aktów prawnych dotyczących stanu wojennego”.



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

*44 lata temu w Moskwie
odbyła się narada
przywódców państw
Układu Warszawskiego
na temat sytuacji
w Polsce. Rozważana
była interwencja siłami
komunistycznymi
z zewnątrz. Rok później
Jaruzelski samodzielnie
wprowadził stan wojenny*

PANIKA U SĄSIADÓW

Jednocześnie wyraźnie gęstniała atmosfera w całym bloku wschodnim. Beton partyjny we wszystkich państwach tzw. demokracji ludowej uważał powstanie Solidarności za poważne zagrożenie dla komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej i potencjalny początek kontrrewolucji. Od lata 1980 r. Moskwa naciskała na jak najszybsze rozwiązanie problemu, jednak uwikłana w przedłużającą się inwazję w Afganistanie nie kwapiła się do interwencji, świadoma zarówno jej kosztów politycznych, jak i materialnych. Obawa przed destabilizacją całego Układu Warszawskiego była jednak realna.

Sytuacja w Polsce wzbudzała szczególny niepokój w Czechosłowacji i NRD, najmniej stabilnych reżimach bloku komunistycznego. To właśnie z Pragi i Berlina płynęły do Moskwy najbardziej zdecydowane wezwania do reakcji na to, co dzieje się w Polsce. Erich Honecker, przywódca Niemiec Wschodnich, obstawał przy pomysle interwencji zbrojnej państw Układu Warszawskiego w PRL. Przygotował

list do Leonida Breżniewa, sekretarza generalnego KC KPZR, w którym pisał: „Kaźda zwłoka równa się śmierci”. Proponował spotkanie przywódców państw Układu Warszawskiego w celu omówienia zaistniałej sytuacji. Pomysł inicjatywy powstał już we wrześniu 1980 r., ale Honecker zwlekał z propozycją konkretnych działań. Zdecydował się wysłać list 26 listopada, po rejestracji NSZZ „Solidarność” przez Sąd Najwyższy w Warszawie.

Zaogniająca się sytuacja sprawiła, że według ZSRR konieczna stała się szybka reakcja. Leonid Breżniew wezwał na 5 grudnia przedstawicieli państw Układu Warszawskiego na spotkanie do Moskwy. Oprócz tego na 4 grudnia zaplanowane zostały manewry wojskowe o nazwie Sojuz '80, do których jednak nie zaproszono Polaków. Zakładano, że część ćwiczeń zostanie przeprowadzona na terytorium PRL, czemu próbowała sprzeciwić się strona polska. Według amerykańskiego wywiadu na granicy z Polską skoncentrowano 18 dywizji radzieckich. Powszechnie uznano to za przygotowania do interwencji zbrojnej.

STANOWCZA REAKCJA USA

Do Białego Domu od dłuższego czasu docierały niepokojące sygnały. W listopadzie 1980 r. płk Ryszard Kukliński, jeden z kluczowych agentów CIA w bloku wschodnim, zaczął dostarczać Amerykanom informacje na temat planowanych przez władze PRL działań przeciwko opozycji. W raporcie CIA z 2 grudnia znalazły się zapiski na temat nietypowych manewrów wojsk radzieckich. Następnego dnia prezydent USA Jimmy Carter zdecydował się na wykorzystanie „gorącej linii”, czyli bezpośredniego połączenia telefonicznego między Waszyngtonem a Moskwą. Podczas rozmowy wskazał na „bezprecedensowe zgromadzenie sił radzieckich wzdłuż polskiej granicy” i ostrzegł Leonida Breżniewa, że interwencja Rosjan w Polsce skończyłaby się radykalnym ochłodzeniem relacji amerykańsko-radzieckich. USA brało pod uwagę wprowadzenie ewentualnych sankcji politycznych i gospodarczych, jednak wykluczyło możliwość konfrontacji militarnej.

PRZEŁOMOWE OBRADY

Zgodnie z planem 5 grudnia 1980 r. w Moskwie spotkali się przywódcy państw Układu Warszawskiego, aby omówić sytuację w Polsce i zdecydować o dalszych ruchach. Atmosfera rozmów była napięta. Stanisław Kania przedstawił plan wewnętrznego rozbicia związku zawodowego, a więc rozwiązania „problemu” metodami politycznymi, a nie militarnymi. Działania miały przebiegać dwutorowo. Kania przewidywał wykorzystanie środków propagandowych, które pokazywałyby dwa oblicza Solidarności: jedno robotnicze i dobre oraz drugie antysocjalistyczne, wrogie PRL i zle. Równocześnie miała być prowadzona gra operacyjna dążąca do neutralizacji związku od środka.

Akcję wspierałoby blisko 1,8 tys. agentów bezpieczeństwa ulokowanych w strukturach Solidarności. Ich zadaniem było podsycanie konfliktów wewnętrznych. Miało to doprowadzić do całkowitego paraliżu ruchu i jego rozpadu. Plan popierał obecny na spotkaniu gen. Wojciech Jaruzelski. Przedstawił on wówczas koncepcję awaryjną, gdyby plan Kania zakończył się niepowodzeniem. Były to założenia wprowadzenia stanu wojennego. W skład delegacji wchodził też twardogłowi partyjniacy, którzy od początku optowali za rozwiązaniem siłowym: Tadeusz Grabski, Stefan Olszowski i Stanisław Kociolek.

Plany te zostały zatwierdzone przez Breżniewa. Od tej pory Kreml nie rozważał już interwencji sił radzieckich, stawiając na likwidację Solidarności rękami polskich komunistów. Z tego powodu Moskwa ostatecznie odrzuciła propozycje Ericha Honeckera z NRD i Gustáva Husáka z Czechosłowacji, którzy domagali się interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Polsce. Głównodowodzący wojskami bloku komunistycznego marsz. Wiktor Kulikow przekonywał jednak, że przywódcy PZPR powinni własnymi siłami rozwiązać problem robotniczych niepokojów. Co o tym zdecydowało? Zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego, wówczas doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, ogromną rolę odegrały tu działania amerykańskie.

Administracja USA stale nagłaśniała sytuację w Polsce i groziła Sowietom

konsekwencjami w przypadku ich interwencji, a jednocześnie nie dążyła do eskalacji niebezpiecznej dla światowego pokoju. Ponadto ZSRR, uwikłany w rozpoczętą w 1979 r. wojnę w Afganistanie, nie mógł sobie pozwolić na kolejny tak poważny konflikt. Strach kremlowskich elit wzbudzał także nowy gospodarz Białego Domu, który wkrótce miał objąć stanowisko – Ronald Reagan, znany ze swoich twardych antykomunistycznych poglądów.

Decyzja ZSRR zawiodła władze Czechosłowacji i NRD. Szczególnie rozczarowany był Honecker. Co prawda szybko odstąpił od retoryki interwencji, ale w kolejnych miesiącach domagał się nacisków na władze PRL, by te jak najszybciej zrobiły porządek w swoim kraju. W Berlinie liczono na zdecydowane działanie polskich komunistów. Szybko rozczarowano się polityką Kania, który odkładał w bliżej nieokreśloną przyszłość decyzję o siłowym rozprawieniu się z opozycją. Wobec tego w maju 1981 r. podczas spotkania na Kremlu z Breżniewem i Husákiem Honecker sugerował odwołanie Kania i zastąpienie go przez Stefana Olszowskiego, Stanisława Kociółka, Andrzeja Żabińskiego lub Tadeusza Grabskiego.

GRA JARUZELSKIEGO

Tymczasem komuniści w Polsce nie próżnowali. Z jednej strony trwały przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego, z drugiej nasiliła się propaganda mająca zmniejszyć poparcie dla Solidarności, a także zniechęcić Polaków do jakiegokolwiek oporu przeciwko władzy. Jednym z głównych wątków propagandowych mającym zrealizować te cele było wykorzystywanie obaw Polaków przed radziecką interwencją, czyli słynne „wejdą, nie wejdą”. Było to zresztą zgodne z wytycznymi Biura Politycznego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, które 23 kwietnia 1981 r. zalecało: „Maksymalnie wykorzystać wobec kontrrewolucji element hamujący, który stanowi obawa, podzielana przez wewnętrzną reakcję i międzynarodowy imperializm, że ZSRR wprowadzi swe wojska do Polski. We wszystkich oświadczeniach w sprawie polityki międzynarodowej

należy podkreślać sformułowanie towarzysza Breżniewa z XXVI Zjazdu KPZR na temat naszej decyzji, że nie pozostawimy Polski w potrzebie i nie pozwolimy jej skrzywdzić”.

Jednym z elementów tej narracji były przeprowadzone na początku 1981 r. na terenie Polski wielkie manewry Układu Warszawskiego. Za pretekst do zaostrożenia sytuacji posłużyła też prowokacja w Bydgoszczy, gdzie w marcu 1981 r. milicja pobiła działaczy Solidarności. Kiedy związek zapowiedział przeprowadzenie strajku powszechnego, propaganda zaczęła alarmować o ryzyku wkroczenia do Polski wojsk całego bloku wschodniego. Ostatecznie do strajku nie doszło, związkowcy poszli na ustępstwa, podpisując porozumienie z rządem. W tym momencie komuniści przejęli inicjatywę. Pod presją listu KC KPZR IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR w lipcu 1981 r. umocnił twarde główne kierownictwo partii, na czele której w październiku ostatecznie stanął Jaruzelski.

Im bliżej było grudnia 1981 r., tym mocniej polscy komuniści starali się zastraszyć społeczeństwo. Niedługo przed wprowadzeniem stanu wojennego minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczał nakazywał swoim podwładnym: „Używać strasząka interwencji, koncentracji wojsk na granicy, że mogą wejść nie tylko wojska radzieckie, ale czeskie, niemieckie i tu nie ma wyjścia”.

Cały czas próbowano wykorzystać propagandowo także spotkania na szczeblu międzynarodowym. Przykładowo na początku grudnia 1981 r. w trakcie posiedzenia komitetu ministrów obrony narodowej państw Układu Warszawskiego w Moskwie wiceszef MON Florian Siwicki zgłosił poprawkę do komunikatu końcowego zawierającą wyraźną sugestię o możliwości interwencji wojskowej sojuszników w Polsce. Argumentował, że „uzupełnienie tekstu dla prasy byłoby zimnym prysznicem dla kontrrewolucji, a zarazem poparciem dla walki polskiego kierownictwa z reakcją”, a także „PRL ma jeszcze dosyć własnych sił do rozwiązania sytuacji”. Wobec obaw Rumunów Siwicki podkreślił jednocześnie, że „nie chodzi tu o żadne konkretne kroki wojskowe, ale



Fot. IPN

o moralno-polityczne poparcie dla partyjnego i państwowego kierownictwa PRL”. Misja Siwickiego zakończyła się niepowodzeniem mimo wsparcia pomysłu przez radzieckich wojskowych.

„BEZ POMOCY NIE DAMY RADY”

Wszystko to działo się w momencie, kiedy władze PRL doskonale wiedziały, że Moskwa nie jest zainteresowana zaangażowaniem militarnym w Polsce. Mało tego Jaruzelski wręcz domagał się radzieckiej interwencji. Cztery dni przed wprowadzeniem stanu wojennego, 9 grudnia 1981 r., miał przekonywać marsz. Kulikowa: „Strajki są dla nas najlepszym wariantem. Robotnicy pozostaną na miejscu. Będzie gorzej, jeśli wyjdą z zakładów pracy i zaczną dewastować komitety partyjne, organizować demonstracje uliczne itd. Gdyby to miało ogarnąć cały kraj, to wy będziecie nam musieli pomóc. Sami nie damy sobie rady”. Kulikow pomocy nie obiecał. „Bez pomocy nie damy rady” – przekonywał Jaruzelski i straszył, że jej brak może skończyć się wyjściem Polski z Układu Warszawskiego.

Rozmowę Jaruzelskiego z Kulikowem omawiano dzień później na posiedzeniu radzieckiego politbiura. „Nie możemy ryzykować” – odniósł się do prośby o interwencję ówczesny szef KGB Jurij Andropow.

Analizy zachodnich wywiadów potwierdzały, że tuż przed wprowadzeniem przez Jaruzelskiego stanu wojennego nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zagrożenie interwencją z zewnątrz. Jak wynika z dokumentów NATO z grudnia 1981 r., w tym samym okresie nie było żadnych ruchów zapowiadających możliwą interwencję wojsk radzieckich w Polsce. Z kolei już 13 grudnia w swojej wewnętrznej analizie NATO wykazywało, że aby uniknąć rozlewu krwi, Jaruzelski „będzie musiał przekonać społeczeństwo, iż działa w dobrej wierze i po to, aby uniknąć interwencji radzieckiej”.

Pod koniec 1980 r. zapadła decyzja, że nie będzie żadnej akcji wojsk Układu Warszawskiego w Polsce. Mimo to komunistyczne kierownictwo przez rok skutecznie straszło nią polskie społeczeństwo. Mit rzekomo grożącej Polsce pod koniec 1981 r. radzieckiej interwencji był później przez lata wykorzystywany przez Jaruzelskiego do obrony decyzji o brutalnym spacyfikowaniu społeczeństwa w trakcie stanu wojennego. Mimo upływu lat ta wersja nadal ma swoich zwolenników. To samo dotyczy komunistycznych frazesów o „niszczących kraj strajkach” i solidarnościowych radykałach prących do konfrontacji. Niestety należy to uznać za pokutującą do dziś sukces komunistycznej propagandy stanu wojennego. 

K

ULTURY

Czarownice
z hollywoodzkiego
„Wicked” śpiewająco
rozłożyły na łopatki
„Gladiatora 2”. Teraz
anielska Ariana
Grande i Cynthia
Erivo, która kolorem
skóry upodobniła się
do Grincha, rzucają
kinowe zaklęcia na
świąteczny czas

Zdarzyło się w krainie Oz

Fot. United International Pictures



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Muzyczna megagwiazda Ariana Grande w filmowej adaptacji przebojowego musicalu „Wicked” zagrała pierwszą dużą kinową rolę. Kojarzona z wyrazistym wizerunkiem Cynthia Erivo w roli zielonej outsiderki pokazała nie tylko pazur, lecz także subtelność. Obie odtwórczynie kluczowych dla filmu ról, doskonale radzące sobie w show-biznesie i doceniane m.in. nagrodami Grammy, sporo zyskały dzięki ekranowej krainie Oz.

ARIANA ZNACZY ZWYCIĘSTWO

Urodzona w 1993 r. Grande trafiła do show-biznesu jako dziecko. Po raz pierwszy pojawiła się na Broadwayu jako nastolatka. W 2008 r. w musicalu „13” zagrała Charlotte. Cztery lata później była Miriam w „Cuba Libre” i Królową Śnieżką w „A Snow White Christmas”. Telewizowie zaczęli ją rozpoznawać dzięki serialowi „Wiktoria znaczy zwycięstwo”.

Początek jej spektakularnej kariery muzycznej wyznaczył wydany w 2013 r. debiutancki album. Do dziś Ariana Grande sprzedała ponad 90 mln płyt. Ma na koncie wiele hitów i fanów na całym świecie. Po sukcesie, jaki już osiągnął musical „Wicked”, mówi, że przez najbliższą dekadę chciałaby się poświęcić aktorstwu.

W wywiadach podkreśla, że na czas kręcenia filmu odłożyła na bok swoją karierę muzyczną, aby jak najlepiej wcielić się w postać Galindy. Ci, którzy już widzieli „Wicked”, nie kryją uznania dla efektu, jaki osiągnęła. Nie tylko spektakularnie zmieniając wizerunek na blondwłosą,

eteryczną bohaterkę. Niektórzy sugerują nawet, że ma szansę na Oscara, chociaż o wiele większy i mocniejszy aktorski efekt uzyskała na ekranie Cynthia Erivo. Występująca w głównej roli – adeptki sztuki magii – odrzucona przez rówieśników z powodu koloru skóry i talentów, które posiada.

PO DRUGIEJ STRONIE TĘCZY

„Wicked” to alternatywne spojrzenie na historię i postaci, które znamy z książki oraz filmu „Czarnoksiężnik z krainy Oz” i zarazem prequel do literackiego oraz kinowego pierwowzoru. Wydarzenia są opowiadane z perspektywy dwóch bohaterek – wiśni studiujących w szkole magii. Większość z nich toczy się przed nastaniem Dorotki oraz kończy wkrótce po jej przybyciu.

W filmowym scenariuszu nietrudno doszukać się podobieństw m.in. do opowieści z Hogwartu – zarówno jeśli chodzi o tło zdarzeń, jak i wyalienowanie głównej postaci. Dodatkowo w „Wicked” (i musicalowym, i ekranowym) pierwsze skrzypce grają kobiety. Możemy obserwować rozwój niezwykle przyjaźni skrajnie różnych bohaterek, a także zrozumieć, co sprawiło, że Elfaba (Erivo) stała się Złą Czarownicą z Zachodu, a Galinda (Grande) Dobrą Czarownicą z Południa. Tu mogą nasuwać się porównania do historii Diabolin – Maleficent, w którą dwukrotnie wcieliła się Angelina Jolie. Z kolei wyjęta jak z żurnala i reklam blondwłosą Galindę przypomina filmową Barbie.

Dodatkowym, bynajmniej nie najsłabszym punktem popkulturowego zaczepienia jest zielona skóra Elfaby. Ten kolor, zwłaszcza w okolicy świątecznym czasie, niejednemu widzowi kojarzy się z nieznosnym Grincem, podprogowo

zachęcając do rodzinnego odwiedzenia kin. Kluczem do sukcesu kinowej wersji „Wicked” jest też ponoć oszałamiająca wizualna strona filmu. Nie sposób również zapomnieć o scenariuszowej podstawie, czyli jednym z najgłośniejszych broadwayowskich przebojów.

POCZĄTEK TEJ HISTORII

Musicalowy prequel „Czarnoksiężnika z krainy Oz” znalazł się wśród trzech broadwayowskich produkcji, którym udało się zarobić po 1 mld dol. Jego filmowa adaptacja miała najlepsze w historii kinowe otwarcie. W pierwszy weekend wyświetlania (światowa premiera 20 listopada, w Polsce – 6 grudnia) dwukrotnie przebiła zyski „Gladiatora 2”. Film Scorsese zarobił 55 mln dol., a „Wicked” tylko w USA – 114 mln dol. (oraz ponad 50 mln dol. na świecie). Analitycy liczą na ponad 1 mld dol. w okresie świątecznym. Oczywiście jeśli film spodoba się widzom poza granicami USA.

Warto tu przypomnieć, że broadwayowski musical jest oparty na wydanej w 1995 r. książce Gregory’ego Maguire’a „Wicked: Życie i czasy Złej Czarownicy z Zachodu”, a ta nawiązuje do książki Lymana Franka Bauma „Czarnoksiężnik z krainy Oz” z 1900 r. oraz filmu „Czarnoksiężnik z Oz” (1939).

Na nowojorskim Broadwayu musical „Wicked” zadebiutował w 2003 r. i grany jest tam nieprzerwanie do dziś. Jest czwartą (po „Upiorze w operze”, „Chicago” i „Królu lwie”) broadwayowską produkcją wszech czasów. Z kolei premiera na londyńskim West Endzie odbyła się w 2006 r. i również tam tytuł pokazywany jest do dziś. Prawa do realizacji musicalu w Polsce uzyskał Teatr Muzyczny ROMA. Premiera odbędzie się wiosną przyszłego roku.

„Horror story” - koszmary millenialsów

Nareszcie mogę napisać tekst o „Horror story” Adriana Apanela. Był dla mnie objawieniem na przedostatnim festiwalu filmów fabularnych w Gdyni. Rozrywka, ale niegłupia. Rzadkość w polskim kinie. Teraz pokazuje go Canal+. Poszukajcie.

Pisałem wtedy, że Gdynia nie dojrzała do kina gatunkowego. Jeszcze dla „Apokawixy” Xawerego Żuławskiego, smakowitego pastiszu horroru, stworzono specjalną nagrodę. Tu mieliśmy do czynienia z niemal debiutantem, obrazem kameralnym, skromnym. Teraz słabo zauważony w Polsce zbiera nagrody na światowych festiwalach.

Piszę – kino gatunkowe, ale cóż to za gatunek? Kiedy Tomek, młody człowiek z prowincji, puka do starej willi, by w niej zamieszkać, zdaje się nam, że dostajemy powtórkę z „Lokatora” Romana Polańskiego, który był filmem grozy, choć bez duchów. Tu koszmar wyziera ze starych rur, psującego się sprzętu, namolnych albo po prostu dziwnych sąsiadów.

Ale potem film staje się opowieścią o czym innym. Tomek, absolwent odpowiednich studiów, szuka pracy. Towarzyszymy mu w wędrówkach na rozmowy kwalifikacyjne. I to one stają się koszmarem. Jest to pokazane w tonie czarnej komedii. Opresje z willi mają o tyle znaczenie, że tamto miejsce i tamci ludzie nie pomagają w poszukiwaniu kariery.

Bawiło mnie tu prawie wszystko. Tomek, grany przez Jakuba Zająca, stawiał się kimś w rodzaju everymana, reprezentanta generacji millenialsów, z ich kłopotami (bo wszystko zajęte przez tych, co kariery zrobili wcześniej), kompleksami i marzeniami. Wszystko to klawrowe, a pozbawione publicystycznego dydaktyzmu. W paru miejscach politycznie niepoprawne. Nawet samo zakończenie pozostaje otwarte. Tomek wygrywa? Czy na pewno?

Apanel, młody filmowiec, przyjmuje punkt widzenia millenialsów, choć przecież nie wszystkich (niefajna narzeczona). Jeśli Tomek czymś grzeszy, to przede wszystkim zbyt małą asertywnością. Reżyser właściwie mu współczuje, nawet

jeśli bawi się przygodami nieśmiałego okularnika. Chętnie zobaczyłbym soczystą kontre, traktat o pokoleniowych słabościach młodzieńców. Ale tego punktu widzenia nie ma co kwestionować. To tak naprawdę opowieść o potęgze stereotypu, któremu my, ludzie wcześniejszych pokoleń, zbyt często ulegamy, narzekając na „tę młodzież”.

Rytuały rozmów kwalifikacyjnych, uchwycone kawałki życia korporacyjnego, są upiorne, choć zabójczo śmieszne, podobnie jak domowa rzeczywistość, gdzie czyha psychopatyczny sąsiad (Konrad Eleryk) czy oszalała babcia gospodyni (Anna Seniuk). Wszystko staje się nieustającym torem przeszkód. Tacy jak ja przekonują się, że nie każdy młody człowiek ma dziś lepiej od nas.

Reżysera krytykowano, że skorzystał ze swego poprzedniego krótkiego filmu „Stacja”, gdzie był ten sam pomysł i kilkoro tych samych aktorów. Tamtego nie widziałem. Tym byłem zachwycony. „Horror story” by się nie udał, gdyby nie znakomity, odziedziczony po „Stacji” Jakub Zając. Nie klasyczny amant, jakich pełno w szkołach artystycznych, bardziej właśnie everyman świetnie punktujący słabości bohatera, a przecież budzący sympatię, nieprzesadnie przerysowany i dlatego właśnie zabawny. Zwyczajny, a przykuwający uwagę.



Młody aktor (zdążył być wcześniej telewizyjnym Zenkiem Martyniukiem) grał tu z najlepszymi: Eleryk i Seniuk to naprawdę wyraziste realne upiory. W tle zaś mnóstwo zabawnych epizodów: zwariowany komputerowiec Sebastiana Perdka, korporacyjny szczur Konrada Żygadły, męczący spec od napraw Mariana Opani czy zmysłowa knajpiana zjawia Pauliny Gałązki. Tomek znajduje pocieszenie w ramionach pięknej Soni, granej przez Michalinę Olszańską. Ale jak bardzo trwale? Koszmar przecież trwa. **✓**

Piotr Zaremba

Egzorcysta w Hollywood

W tym sezonie Netflix proponuje dwa horrory o opętaniach inspirowane prawdziwymi wydarzeniami. Oba daleko jednak do najważniejszego dzieła w historii tego gatunku



GRZEGORZ GÓRNY

„Egzorcysta papieża” i „Wybawienie” – to dwa filmy fabularne o wypędzaniu złych duchów, które można obecnie obejrzeć na Netflixie. Oba łączy jedno: ich twórcy twierdzą, że oparli swe dzieła na autentycznych wydarzeniach.

Gdy krytycy filmowi oceniają tego typu obrazy, zazwyczaj porównują je do najbardziej znanego dzieła reprezentującego ten gatunek kina, czyli „Egzorcysty” Williama Friedkina z 1973 r., który okazał się jednym z największych przebojów w historii światowej kinematografii. Niemal wszyscy recenzenci, niezależnie od preferowanych gustów czy wyznawanych poglądów, są wyjątkowo zgodni: żadna produkcja, jaka pojawiła się później, nie dorównała tamtej opowieści.

THRILLER TEOLOGICZNY

Odbierając nagrodę Złotego Lwa za całokształt twórczości na festiwalu w Wenecji w 2013 r., William Friedkin powiedział: „Wiele horrorów, które oglądam – 95 proc. z nich – to są po prostu bzdury! One o niczym nie opowiadają! Po prostu próbują przstraszyć ludzi. My w »Egzorcystcie« nie próbowaliśmy ich przstraszyć, staraliśmy się ich nakłonić do zastanowienia się nad tajemnicą wiary, wykorzystując prawdziwą sprawę”.

Scenarzystą filmu był William Peter Blatty, amerykański pisarz libańskiego pochodzenia, który w 1971 r. opublikował powieść pt. „Egzorcysta”. Inspiracją do napisania utworu był reportaż, który ukazał się w „The Washington Post”. Tekst opowiadał o opętaniu 14-letniego chłopca w Mount Rainier w stanie Maryland. Zniewolone przez złego ducha dziecko zostało uratowane przez katolickiego księdza pełniącego posługę egzorcysty. W samej Ameryce sprzedano ponad 13 mln egzemplarzy książki, która doczekała się 18 tłumaczeń na języki obce. Przez 57 tygodni znajdowała się na liście bestsellerów „The



„Egzorcysta”

New York Times”, przez 17 tygodni na pierwszym miejscu.

Blatty pisał swą książkę, gdy trwał proces członków sekty Mansona, którzy w 1969 r. dokonali zbiorowego mordu w Hollywood. Uśmiercili cztery osoby, w tym żonę Romana Polańskiego Sharon Tate, która była w dziewiątym miesiącu ciąży. Polski reżyser niedługo wcześniej nakręcił „Dziecka Rosemary” – horror, który opowiadał o narodzinach antychrysta. Zły duch wydawał się wówczas

panować w amerykańskiej popkulturze, obezwładniając wiele osób poczuciem swej wszechmocy.

Historia opisana w „The Washington Post” pokazywała jednak, że szatana można pokonać, a najskuteczniejszą bronią do przewyciężenia demonicznych mocy dysponuje Kościół. Blatty, który był praktykującym katolikiem, postanowił oprzeć swoją powieść na tym motywie. Nie ukrywał, że chciał napisać „thriller teologiczny”, „nadprzyrodzoną opowieść detektywistyczną”. Jak mówił w jednym z wywiadów: „Moim zamiarem było stworzenie dzieła »apostolskiego«, a więc takiego, które niesłoby wiarę, nadzieję i miłość”. Wyjaśniał: „Jeśli istnieją niematerialne i inteligentne siły zła, już

którego ostatni film „Francuski łącznik” zdobył w 1971 r. aż pięć Oscarów. Wywodził się on z rodziny żydowskich emigrantów i wychował w wierze judaistycznej, jednak nigdy nie czuł bliskości z obrzędowością swojej religii. Pociągał go natomiast podniosły rytuał katolicki. Reżyser nadszperzanie szybko znalazł wspólny język ze scenarzystą. Jak mówił: „Zamiarem moim i Williama Blatty’ego było opowiedzenie historii o tajemnicy wiary i życia”.

Podczas realizacji zdjęć twórcy zadbali o opiekę duchową nad ekipą produkcyjną. Friedkin wspominał: „Umieściliśmy w filmie dwóch prawdziwych jezuitów jako księży, którzy byli także doradcami technicznymi. Okresowo zlecałem im poświęcanie planu. Pamiętam, że autor książki, ja i jeden z księży chodziliśmy do domu, który miałem na Fire Island w Nowym Jorku, a ksiądz odprawiał mszę za naszą trójkę”.

Film odniósł niebywały sukces kasowy, a jego dystrybucja okazała się zjawiskiem socjologicznym. W całych Stanach przed kinami ustawiały się długie kolejki, w których ludzie stali po kilka godzin, by zdobyć upragniony bilet. Emocje były tak wielkie, że porządku musiała pilnować policja. Po raz pierwszy odnotowano przypadki mdlenia widzów ze strachu lub wybiegania z krzykiem z sali kinowej. Film otrzymał 10 nominacji do Oscara, ale zdobył tylko dwie statuetki, w tym dla Blatty’ego jako najlepszego scenarzysty.

On sam nie był jednak zadowolony z końcowego efektu. Pokłócił się o to z Friedkinem, który przy montażu usunął dwie nakręcone wcześniej sceny, mające zdaniem pisarza kluczowe znaczenie, ponieważ nadawały dziełu charakter zdecydowanie apologetyczny. Reżyser wolał jednak pozostawić zakończenie otwarte. Mimo to dla licznych odbiorców film stał się impulsem, by poważnie zacząć traktować wiarę chrześcijańską. Sam Friedkin przyznał, że dzięki jego dziełu wiele osób zostało katolikami, a nawet kapłanami. Film został zakazany w krajach muzułmańskich jako promocja chrześcijaństwa. Z podobnych przyczyn był zabroniony w PRL.

Jak podkreślał reżyser, jego celem nie było straszenie widza, ale pokazanie walki dobra ze złem, która odbywa się nie tylko w świecie, lecz także w ludzkim wnętrzu. Dlatego w 2017 r. powrócił do tematu

opętań, by nakręcić film dokumentalny „Diabeł i ojciec Amorth”, którego głównym bohaterem był słynny watykański egzorcysta. Podczas premiery Friedkin zwrócił się do obecnych na sali dziennikarzy: „Ci, którzy są pewni, że Bóg nie istnieje – proszę bardzo, jestem ciekawy – niech podniosą rękę”. Zgłosiły się trzy osoby. Wówczas zapytał: „Dlaczego jesteście pewni, że Bóg nie istnieje? Skąd, do cholery, to wiecie?”. Żaden nie był w stanie odpowiedzieć.

W 2019 r. w wywiadzie dla „L’Osservatore Romano” Friedkin, uchodzący powszechnie za agnostyka, zadziwił wszystkich swą deklaracją: „Wierzę w nauki Jezusa, kiedy kręciłem ten film i nadal wierzę dzisiaj. [...] Wierzę w nauki Jezusa bardziej niż w cokolwiek innego”.

Właśnie ta wiara jest elementem, którego brakowało twórcom późniejszych filmów poświęconych opętaniom. Spośród wielu produkcji na ten temat pozytywnie wyróżniały się jedynie „Egzorcyzmy Emily Rose” z 2005 r. w reżyserii Scotta Derricksona, nakręcone na podstawie autentycznej historii młodej Niemki Anneliese Michel.

KICZOWATY POTWOREK

Tego samego nie da się niestety powiedzieć o „Egzorcyzmie papieża” w reżyserii Juliusa Avery’ego z Russelem Crowem w roli tytułowej. Film emitowany na Netflixie jest reklamowany jako dzieło oparte na prawdziwych wydarzeniach z życia o. Gabriela Amortha. W rzeczywistości ma on tyle wspólnego z życiem watykańskiego egzorcysty, ile „Star Trek” z lądowaniem Amerykanów na Księżycu w 1969 r. To horror klasy C, którego akcja dzieje się w kastyljskim opactwie przypominającym ponure zamczysko z gotyckich filmów grozy. To sceneria nie tylko pojedynku głównego bohatera z demonem Asmodeuszem, lecz także miejsce, w którym znajduje się jedno z 200 wejść do piekła zlokalizowanych na naszej planecie.

W produkcji roi się od efektów specjalnych oraz rekwizytów i scen charakterystycznych dla tego rodzaju kiczowatych produkcji. Mamy więc podziemia pełne trupich czaszek i mumifikowanych zwłok, upiory i zjawy, lewitacje i teleportacje,



samo to sugeruje możliwość, że istnieją inne siły tego samego rodzaju, które są dobre. I od chwili, w której demoniczna inteligencja reaguje na rytuał stosowany przez jezuitów, jest jasne, że Bóg istnieje”.

UKRYTA APOLOGIA

Po sukcesie książki Hollywood kupiło prawa do jej ekranizacji i Blatty mógł napisać scenariusz na podstawie swej powieści. Reżyserem został William Friedkin,



„Wybawienie”

a nawet zbiornik płynnego ognia i siarki. Oglądając całą serię schematycznych chwytów, widzę ma wrażenie, jakby po raz kolejny oglądał ten sam film. W tym kontekście wymowne jest ostatnie zdanie wypowiedziane w finałowej scenie przez Russella Crowe'a: „Idziemy do piekła”.

DOM Z 200 DEMONAMI

Zupełnie innym przypadkiem jest film „Wybawienie” z 2004 r. Jego reżyser Lee Daniels przyznał, że inspiracją dla niego była historia prawdziwych opętani, do których doszło w diecezji Gary w stanie Indiana w latach 2011–2012. Sprawa została opisana przez Marisę Kwiatkowski na łamach „The Indianapolis Star” w reportażu pt. „Egzorcyzmy Latoyi Ammons”. Ofiarami demonicznego zniewolenia okazała się trójka dzieci w wieku 7, 9 i 12 lat. Nagle stały się one agresywne, zaczęły mówić dziwnymi głosami, wpadały w trans, chodziły po ścianach, a nawet lewitowały.

Domownicy, którzy byli baptystami, poprosili o pomoc ludzi ze swojego zboru. Grupa tamtejszych charyzmatyków zgodziła się przyjść do domu Ammonsów, by odprawić w środku zbiorowe modły. Jedna z kobiet w tym gronie twierdziła, że ma zdolności jasnowidzenia. W pewnym momencie przerażona powiedziała, że czuje w piwnicy obecność 200 demonów i szybko uciekła. Pozostali natychmiast wybiegli za nią.

Dzieci nadal zachowywały się w dziwny sposób. Doszło do tego, że opieka społeczna odebrała je rodzinie i skierowała na badania psychiatryczne. Zrozpaczeni Ammonsowie, mimo że byli protestantami, zdecydowali się zwrócić o pomoc do katolickiego kapłana. W ten sposób trafili do ks. Mike'a Maginota, który uzyskał od miejscowego bp. Dale'a Melczeka zgodę

na wypędzenie diabła. Po odprawieniu trzech egzorcyzmów wszystkie nadzwyczajne zjawiska ustały.

Wkrótce potem rodzina przeprowadziła się w inne miejsce, ponieważ nie chciała przebywać dłużej w feralnym budynku. W 2014 r. dom został kupiony przez popularnego w USA badacza zjawisk paranormalnych Zaka Bagansa, który nakręcił w nim film dokumentalny o sprawie Ammonsów pt. „Demon House”. Obiekt cieszył się tak złą sławą, że nikt nie chciał w nim mieszkać i w 2016 r. został rozebrany.

SIŁA WYŻSZA

Ta historia pobudziła wyobraźnię Lee Daniela, czarnoskórego reżysera otwarcie deklarującego swój homoseksualizm. Gdy podzielił się pomysłem ze swą matką, pobożną wierną Kościoła episkopalnego, w odpowiedzi usłyszał, że brakuje mu fundamentu religijnego, by się podjąć takiego wyzwania. Jej zdaniem powinien zapewnić sobie ochronę duchową, jeśli nie chce, by przydarzyło mu się coś złego.

Daniels wziął sobie do serca te ostrzeżenia i zaprosił na plan filmowy protestanckiego kaznodzieję zwanego Apostołem Lewisem, który codziennie modlił się za ekipę, wzywając pomocy krwi Chrystusa. Pierwszego dnia, gdy zaczął to robić, pojawili się pracownicy Netfliksa, by zakazać tego typu praktyk. Ich zdaniem mogło to urazić uczucia innych osób. Reżyser odpowiedział im, że kręcenie takiego filmu wymaga modlitwy jako tarczy ochronnej, dlatego jeśli ktoś nie chce mieć ochrony, niech opuści plan zdjęciowy. Okazało się, że niemal wszyscy członkowie ekipy chcą być chronieni.

Nie byłaby to jednak produkcja Netfliksa, gdyby do opowiadanej historii nie prowadzono zasadniczych zmian.

Białą rodzinę Ammonsów zastąpiła czarna rodzina Jacksonów, zaś wybawicielem okazał się nie katolicki kapłan, lecz czarnoskóra egzorcystka z protestanckiego zboru. Nawet ona nie dała jednak rady demonowi, dlatego sprawy w swoje ręce musiała wziąć matka opętanych dzieci grana przez Andrę Day. Podczas kulminacyjnej sceny wyzwolenia kobieta zaczęła się modlić językami, co nie było przewidziane w scenariuszu. 39-letnia aktorka należąca do wspólnoty zielonoświątkowej przyznała później, że przez kilka lat modlitwa językami była normalną częścią jej życia duchowego, dlatego sięgnęła po nią spontanicznie w momencie kręcenia walki duchowej. Day ma nadzieję, że film zachęci widzów do nawiązania relacji z kochającym Bogiem, który ma moc uzdrawiania ludzi.

* * *

Miedzy katolickim autentykiem, jakim był „Egzorcysta”, a protestanckim duplikatem, jakim jest „Wybawienie”, ziele jednak przepaść jak między spektaklem metafizycznym a teatrykiem grozy. Owszem, film Daniela jest wielką pochwałą na cześć Chrystusa, który niszczy potęgę demonów, jednak ów triumf jest opowiedziany w tak kiczowaty i daleki od rzeczywistości sposób, że nie ma w tym potencjału ewangelizacyjnego. W sumie nic w tym dziwnego, skoro sam reżyser, podsumowując swój obraz, mówił: „Myślę, że znaleźliśmy się w ciemnej przestrzeni, bardzo, bardzo ciemnej i myślę sobie, że ludzie muszą odnaleźć siłę wyższą. To nie jest tylko horror – to thriller wiary, w którym jesteśmy zmuszeni odnaleźć to, niezależnie od tego, czy to będzie Jezus, Allah, Budda, miłość samego siebie czy jakaś siła wyższa”.

Dość odległe to od wiary Blatty'ego i Friedkina, co widać na ekranie.

SALON DZIENNIKARSKI

sobota
09:15

wPolsce 24!

Publicystyczne podsumowanie tygodnia. Znani i cenieni liderzy opinii.



zapraszają
Jacek i Michał Karnowscy

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia 

32


825
 vectra

196
polsat box 

65
PLAY
dawniej UPC

459
inea 

Zginie czy zgnije?

Cyfrowa tożsamość psynka, psurki i »psiego rodzica«: wyzwania metodologiczne badania tego, jak pies staje się człowiekiem”. „Aborcja jest starsza niż Kościół, sądy i policja oraz o wiele fajniejsza”. „Bransoletka z awentury i cytryny na mojej lewej ręce pomaga osiągać wszystkie cele finansowe z łatwością”. „Prostytucja to sposób na godne życie”. „Jeszcze się nigdy nie masturbowałeś? Maaatko, MUSISZ SIĘ TEGO NAUCZYĆ”. „Otyłość jest zdrowa, BMI i waga to narzędzia dyktatury lekarzy”. „23-letniemu transplciowemu mężczyźnie zgwałconemu tłuczkiem do mięsa zarażonemu HIV odmówiono aborcji w trzech ośrodkach i nikt nie pójdzie za to siedzieć”. Potrafią państwo stwierdzić, który z tych wpisów to żart, a który jest autentyczny? Gdy tracimy umiejętność odróżniania rzeczywistości od fikcji, kiedy kabaret prze-grywa z ideologicznymi hasłami, wiadomo jedno: żyjemy w czasach schyłkowych.

Od 1918 r., gdy Oswald Spengler wydał „Zmierzch Zachodu”, setki myślicieli i dziesiątki tysięcy publicystów podejmowało ideę śmierci naszej cywilizacji, czasem wręcz się nią zachłystując.

Upadek tracących swą żywotność cywilizacji jest rzeczą naturalną, te najwyższe zorganizowane formy istnienia ludzkich zbiorowości mają swój początek, okres świetności i czas zmięczenia. Gwałtownie giną lub gniją, ich liczba na świecie z wiekiem zmniejsza się. Dziś jesteśmy świadkami potężnego starcia Zachodu z cywilizacją Państwa Środka i cywilizacją islamu.

Cywilizacje na szczęście nie są, jak sądził Spengler, społecznymi odpowiednikami organizmów, nie mają zakodowanego okresu obumierania i śmierci. Ich trwanie zależy od woli istnienia. Od czego, jeszcze?

Żyjący w latach 1895–1936 Joseph Unwin, brytyjski antropolog, profesor uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, w 1934 r. opublikował monumentalną pracę „Regulacje seksualne a zachowania kulturowe”. Przebadał 86 kultur i cywilizacji, by dowiedzieć się, dlaczego jedne z nich upadają, a inne nie.

Punktem wyjścia obszernych badań Unwina była próba zweryfikowania twierdzenia Freuda, że cywilizacja jest produktem ubocznym stłumionej seksualności. Brytyjski antropolog przyłożył do badanych społeczności dwie skale. Jedna rozciągała się od całkowitej swobody seksualnej do rygorystycznego zachowywania czystości przedmałżeńskiej. Druga dotyczyła kwestii liczby żon, które może mieć mężczyzna oraz tego, jak łatwo jest w danej kulturze dostać rozwód.

Okazało się, że najważniejszymi czynnikami wpływającym na trwałość i sukces cywilizacji jest czystość przedmałżeńska i monogamia. Im większa była wstrzemięźliwość seksualna danego społeczeństwa,

Czy ogarnięcie się człowieka Zachodu jest możliwe bez koszmaru jakiegś totalnej wojny czy innej tej miary katastrofy? Nie wiem. Wiemy zaś, że etyka seksualna jest potężnym narzędziem, a uporządkowana, wzięta w rzyż seksualność to warunek sukcesu cywilizacji

tym lepiej się ono rozwijało i tym konsekwentniej poprawiał się standard życia jego członków. Gdy pojawiały się społeczna akceptacja dewiacji i rozpoczynały się ataki na monogamię, społeczeństwa upadały. W tym kontekście uczony rozpatrywał też homoseksualizm, którego akceptacja jest ostatnim krokiem przed upadkiem danej cywilizacji, co potwierdziło się we wszystkich badanych społeczeństwach. Według Unwina rozwój seksualny prowadzi do upadku cywilizacji w ciągu trzech pokoleń. W przebadanych 86 przypadkach zasada ta potwierdziła się 86 razy.



ROBERT TEKIELI

W kulturach, w których już nie oczekiwano zachowania dziewictwa aż do ślubu, w ciągu trzech pokoleń znikły następujące elementy: monogamia, deizm i racjonalne myślenie. Zachód jest już na tym ostatnim etapie.

Unwin nie był chrześcijaninem i te odkrycia zaskoczyły nie tylko wielu uczonych, lecz także jego samego. Rzetelność nakazała mu jednak napisać: „W przekazach nie ma przykładu społeczeństwa, które zachowałoby swą energię po tym, jak całe nowe pokolenie odziedziczyło tradycję, w której nie oczekiwano przedślubnej i poślubnej wstrzemięźliwości seksualnej”. Etyka seksualna to potężne narzędzie.

Zakończyła się 500-letnia era dominacji Zachodu, załamała się strategia westernizacji całego świata, a centrum gospodarki światowej przesunęło się na wschód – mówi Viktor Orbán. Akurat ma rację. Po pierwsze, stoi za tym panseksualizm, po drugie, idąc za odrzuceniem chrześcijaństwa utrata wiary w uniwersalność prawdy, którą niesie kultura katedr, Bacha i światłocienia, po trzecie, zrównoważone, ideologiczne samobójstwo gospodarki UE, poprzez które cywilizacja transatlantycka zaczyna za przyczyną Europy tracić na znaczeniu. Jeszcze 15 lat temu Niemcy miały PKB dwa razy większe od Kalifornii, dziś Kalifornia wyprzedziła Niemcy. Jeden stan USA większy od największej gospodarki Europy.

Obyczaj, wiara, nauka, gospodarka – imiona upadku Zachodu. Zwycięstwo Trumpa nie będzie początkiem odnowy naszej cywilizacji. Libertyn nie stanie na czele ruchu duchowej odnowy, jego nu-

merem dwa jest zaś marzący o stworzeniu postczłowieka właściciel Neuralink Corporation, w której w styczniu 2024 r. z powodzeniem przeprowadzono pierwszy zabieg wszczepienia w mózg człowieka implantu o nazwie Telepathy. Transhumanizm nie jest rozwiązaniem.

Czy jest więc jakaś nadzieja na uniknięcie upadku? Na mniejszą, narodową skalę takiej odnowy dokonał kardynał Wyszyński. Poprowadził Polaków do walki

z lenistwem, lekkomyślnością, marnotrawstwem, pijaństwem i rozwiązłością. Zaowocowało to pokojowym powstaniem narodowym nazwanym Solidarnością i w końcu odzyskaniem wolności przez nasz naród. W skali cywilizacji może tego dokonać jedynie ruch duchowej odnowy na miarę tego, za którym stali św. Franciszek i św. Dominik.

Czy ogarnięcie się człowieka Zachodu jest możliwe bez koszmarnego jakiegś total-

nej wojny czy innej tej miary katastrofy? Nie wiem. Wiemy zaś, że etyka seksualna jest potężnym narzędziem, a uporządkowana, wzięta w rzyty seksualność to warunek sukcesu cywilizacji. Ponieważ zaś na pierwsze efekty odnowy trzeba będzie czekać trzy pokolenia, warto już dzisiaj gorąco się modlić o wielkich katolickich świętych.

PS Wszystkie wpisy cytowane na wstępie są autentyczne

WOJNA / CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Kilkakrotnie pisałem o książkach, których akcja rozgrywała się w uniwersach różnych gier, w tym choćby gry S.T.A.L.K.E.R. Dziś parę akapitów na temat serii związanej z światem popularnej gry Warhammer, która ma swoje wersje kartane, planszowe, komputerowe, fabularne i bitewne. Na tom Williama Kinga „*Przygody Gotreka i Felixa*” składają się trzy powieści: „Zabójca trolli”, „Zabójca skavenów” i „Zabójca demonów” oraz kilka opowiadań.

Skaveni to istoty przypominające po części ludzi, po części szczury, akcja powieści toczy się w czasoprzestrzeni przypominającej schyłek naszego średniowiecza, a oprócz skavenów i ludzi boje ze sobą toczą krasnoludy, demony, mutanci, orki i nieumarli. Pozytywni bohaterowie walczą z pomiotami Chaosu, pradawnego zła, które ciągle zagraża ludzkiemu Imperium oraz krainie krasnoludów. A najważniejszym narzędziem ciemności jest spalenie, substancja wywołująca mutacje, przydająca magicznej sily oraz wciągająca w obłęd zniszczenia.

Bohaterami kilkunastu tomów tej serii są człowiek banita, szermierz, poeta i spamiętywacz Felix Jaeger oraz nieustraszony i szalony, dążący do samozagłady krasnolud z punkowym irokezem na głowie oraz magicznym toporem w ręku Gotrek Gurnisson.

King pisze bardzo przyzwoicie, jeśli ktoś pamięta cytacyk sprzed tygodnia, nie będzie miał co do tego wątpliwości. O psychologii postaci możemy mówić jedynie w przypadku Felixa, który jest również narratorem. Galeria postaci drugoplanowych jest bardzo liczna, szczególnie ciekawi są skaveni z głównym antagonistą dwójki naszych bohaterów, szarym prorokiem Thanquolem. Jego wyrachowanie, bezwzględność i przekonanie o swej wyższości i wyższości całej rasy szczuropolodopodobnych nadludzi i wszystkich innych ras, z którymi walczą, wobec ciągłych klęsk jest tak wzruszające i absurdałne, że przypomina szczerych komunistów z lat 50. Dwójmyślenie i ukrywająca rzeczywistość nowomowa w wydaniu zmutowanych szczurów raczej nie miały orwellowskich czy sowieckich inspiracji. Tym bardziej zastanawia, jak przemożnie wpływa na język nieskończona pycha i żądza władzy.



William King nie sili się na rozważania filozoficzne, powieść toczy się od walki do bitwy, od pojedynku do knajpianej burdy. Akcja wciąga, różnorodność wyzwań stojących przed bohaterami nie daje się czytelnikom nudzić. Książka w sam raz na wielogodzinną podróż pociągami tam i z powrotem. Nikt tu nie wymyślił prochu, ale czasami właśnie o to chodzi.



Warte Ta zbrodnia była niezwykle głośna w USA. Młodzi mężczyźni oskarżeni o zabójstwo swoich rodziców, trwający siedem lat proces sądowy i w końcu skazanie ich w 1996 r. na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego. Ostatnio ukazały się dwie produkcje na ten temat. Film dokumentalny „Historia braci Menendezów” oraz serial „Potwory: historia Lyle’a i Erika Menendezów”. Pomijam zamierzenia twórców serialu, którzy chcieli nim rozpocząć społeczną dyskusję na temat prześladowania seksualnego mężczyzn. Moje przerażenie budzi za to fakt, iż proces sądowy jest starciem dwóch narracji. Nie walką o prawdę. Dziś nie mają wątpliwości, że motywem zabójstwa była chciwość i chęć przejęcia przez braci majątku swoich zamożnych rodziców. Bracia Menendez długo utrzymywali, że byli molestowani i działali w obronie własnej. W chwili zabójstwa mieli 18 i 21 lat.

Paraliżuje mnie konieczność rozstrzygnięcia sądowego w sytuacji, w której gdyby nie drobny dowód, mogło być dokładnie odwrotnie. Dziś bracia przyznali się do winy, długo jednak wodzili wszystkich za nos. Ilu siedzi w więzieniach niewinnych ludzi, ale też ilu morderców, zbrodniarzy uniknęło kary, bo ich obrońcom udało się opowiedzieć dobrą historię?

Robert Tekieli, Polskie Radio

POPKULTURA

Więziennicy, ofiary Katynia

W sowieckich obozach dla jeńców wojennych znaleźli się nie tylko funkcjonariusze więziennictwa z wschodnich województw II RP, lecz także personel więzienny ewakuowany z centralnej i zachodniej Polski oraz pracownicy zakładów penitencjarnych, np. konwojenci, wcześniej służbowo delegowani do służby w Karnych Ruchomych Ośrodkach Pracy na Kresach. Osoby te trafiały do sowieckiej niewoli lub były aresztowane przez NKWD, a wiosną 1940 r. zostały zamordowane w ramach zbrodni katyńskiej. Znane były też przypadki, gdy dany funkcjonariusz znalazł się w rękach Sowieków w wyniku donosu byłych więźniów komunistów.

Ich biografie z pietyzmem opracował Tomasz Szczepański z Muzeum Katyńskiego w specjalnej, choć trudno dostępnej publikacji. Większość uwięzionych funkcjonariuszy Straży Więziennej kierowano do obozu w Ostaszku, zorganizowanego w byłym klasztorze prawosławnym na wyspie Stołbnyj. W bardzo trudnych warunkach przetrzymywano tam także policjantów, żołnierzy KOP oraz funkcjonariuszy żandarmerii i wywiadu. W pozostałych osadzono głównie wojskowych, w tym oficerów rezerwy podlegających mobilizacji w czasie wojny. Wśród nich znalazł się m.in. Zygmunt Bugajski, więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu, jeden z twórców polskiego przedwojennego systemu penitencjarnego. Już jako nastolatek i członek PPS-FR był kilkakrotnie relegowany z gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim za udział w strajku szkolnym. W niepodległej Polsce pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości, był naczelnikiem więzienia mokotowskiego i Pawiaka. Jak pisze autor, starał się nadać polskiemu więziennictwu nowoczesny charakter, tworząc m.in. ogólnopolską bibliotekę więzienną.

Wśród ofiar znaleźli się też więźni lekarze, m.in. zamordowany w Charkowie mjr Stanisław Malewicz z Sierpca, ordynator tamtejszego szpitala. Do niewoli trafił już zmobilizowany jako komendant szpitala polowego w Równem. Albo zamordowany w Kalininie Marian Latek, absolwent Konserwatorium Muzycznego, który w 1936 r. został strażnikiem na warszawskim Pawiaku, a równocześnie członkiem Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Więziennej. Praca ta zawiera także listę aresztowanych pracowników więziennictwa, po których ślad bezpowrotnie zaginął.

Tomasz Szczepański, „Funkcjonariusze i pracownicy więziennictwa RP zabici w zbrodni katyńskiej”, CZSW 2024



Maciej Walaszczyk

Bezpretensjonalna okładka, na której umieszczono fotografię pochylonego nad filiżanką kawy starszego już Claptona w rybackim kapelusiku i kurtce w jakimś przygodnym bistro, mówi wiele. Taka jest ta płyta, zawierająca pełne intymności, łagodne melodie niesione jego ciepłym śpiewem i oszczędną, bluesową grą gitary. Oto cały Clapton, oczywiście ten „późniejszy”, niegardzący estetyką pop, dodatkowo z ósmym krzyżykiem na karku, który nikomu nie musi niczego udowadniać. A jednocześnie ktoś, kto wywarł tak wielki wpływ na muzykę.

Płyta ukaże się dopiero w styczniu, a teraz jest dostępna wyłącznie w streamingu. Zawiera zarówno nowe utwory, jak i garść tych, które już zaprezentowano. W tym antylockdownowe muzyczne protesty nagrane wspólnie z Vanem Morrisonem, m.in. bluesowy „Stand and Deliver” czy „The Rebels”, w którym wyzywająco pytają o to, „gdzie podzieli się ci wszyscy rebelianci” i czy ten ich słynny bunt nie był aby jedynie piarowskim oszustwem? Pytanie trafne, bo dotyczące ich pokolenia, a więc naćpanych buntowników lat 60., a dziś sytych funkcjonariuszy systemu opresyjnej cenzury. Na szczęście niektórzy, choć się zestarzel, kom-

Stonowany



ponują dobre piosenki i wciąż potrafią wyrazić własne zdanie. W pewnym momencie Clapton i Morrison nie zgodzili się na koncerty „tylko dla zaszczepionych” i z zachowaniem „dystansu społecznego”. Potem obaj zostali mocno krytykowani jako rozpowszechniający „nieodpowiedzialne zachowania”. Słyszmy Claptonowską wysmakowaną prostotę bluesowej frazy w „You’ve Changed” czy „Misfortune”, akustyczne ballady i dyskretnie swingujące melodie albo pulsującą reagge „One Woman”. A także nieco celtyckiego folku w przepięknej ludowej pieśni „Sam Hall” i kilka innych klasyków, m.in. odświeżone „Always on My Mind” w konwencji country oraz uroczę „Moon River” ze „Śniadania u Tiffany’ego”. Ta interpretacja jest wyjątkowa, bo jest jednym z ostatnich nagrań Jeffa Becka utrwalonych krótko przed śmiercią tego wirtuoza gitary. Ujmującą melodię niesie jego ikający Stratocaster, z którego dźwięk, jak zwykł to

robić, wzbudza delikatnymi uderzeniami kciuka, z wyciuciem, raz wyciszając, raz zwiększając siłę ich brzmienia. Beck to większy od Claptona „bóg gitary”, ale ten drugi jest słynniejszy i wciąż fajnie śpiewa.

Eric Clapton, „Meanwhile”, 2024

Pisarz zbuntowany

Camus staje po stronie człowieka płynącego przez wzburzone morze bez kompasu. Tak widzi życie, w czasie którego trzeba budować prowizoryczne moralne punkty orientacyjne

Virgil Tănase to rumuński pisarz emigrant mieszkający w Paryżu. W 1982 r. niemal cudem uniknął śmierci, gdy stał się celem zamachu zleconego przez komunistyczną Securitate. Nieudana próba zabójstwa stała się punktem zwrotnym w postrzeganiu reżimu Ceaușescu na Zachodzie, który do tej pory cieszył się pewnym wsparciem. To poparcie dla komunistycznych despotów miało długą historię i splotło się m.in. z życiem pisarza noblisty Alberta Camusa. Tănase jako autor tej interesującej biografii jest zdania, że to wciąż jeden z najprzenikliwszych umysłów swojego czasu. My zaś wciąż nie zdajemy sobie sprawy, ile miał racji, diagnozując europejskie społeczeństwa.

Mówią też o tym przywoływane co chwila opinie pisarza na temat paryskiej socjety, tych „prostactkich inteligentów” pełnych „tchórzliwych uprzejmości” czy moralno-intelektualnej atmosfery Paryża będącego laboratorium filozoficznych i literackich mód narzucanych przez „klikę Sartre’a”. W czasie podróży po Argentynie pokazano mu wywołujące odrazę obrazy pacjentów jednego tamtejszych szpitali psychiatrycznych. „Nasze światłe umysły w Paryżu wpadłyby w zachwyt” – komentował Camus. To też pełne rozczarowania wspomnienia z podróży do Nowego Jorku, miasta „obrzydliwie nieludzkiego”, pełnego pięknych kobiet, ale ze spojrzeniami pozbawionymi miłości.

Autor „Obcego” i „Dżumy” próbował swych sił także w teatrze, pisał sztuki, m.in. alegoryczny „Stan obłędzenia”, próbując odpowiedzieć na pytanie, na czym polega bycie porządnym człowiekiem w społeczeństwie totalitarnym. Faktycznie jednak Camus wyznawał poglądy kompletnie utopijne, dla komunizującej lewicy był nostalgicznym reakcjonistą, a dla prawicy „agentem Kremla”. A on po prostu, na ile potrafił, uczulał zarówno na atrofie liberalizmu, jak i despotę sowiezizmu. Ale zanim to dostrzegł, sam został na moment wciągnięty w działalność komunistycznego teatru agitacyjnego w Algierze, nie rozumiejąc jednak, czym jest komunizm i mając mgliste pojęcie o tym, co się dzieje w Związku Sowieckim. Jego pewna naiwność na szczęście spowodowała wyrzucenie go z partii. Taka postawa

sprawiła też, że gdy w wyzwolanej Francji zaostrzyła się walka o władzę między lewicą a liberalną prawicą skupioną wokół gen. de Gaulle’a, Camus zupełnie się w tym nie odnalazł. Piętnował zarówno kolaborantów, jak i procesy wytaczane tym, których oskarżano o kolaborację, ujmując się np. za skazanym na śmierć poetą Robertem Brasillachem. Nawet w apogeum kryzysu algierskiego jako rzecznik Partii Rozejmu szukał niemożliwego już wtedy kompromisu. Dla wierzących we francuską Algierię był „zdrajcą”, a dla Arabów „idiotą”. Ta postawa zrodziła się z doświadczenia dzieciństwa. Camus był typowym „pied-noir”, któremu proste życie samo w sobie zdawało się nagrodą i wystarczającym powodem do zadowolenia, gdzie nie przeszkadzała bieda, bo wokół wszyscy znajdują się w tej samej sytuacji. Jednak potem zawsze czuł się w obowiązku zadośćuczynić ludziom uwięzionym w świecie, z którego jemu udało się wyrwać, a orężem w walce o swoje miejsce okazały się książki.

To za sprawą filozofa Jeana Greniera, wówczas jednego z nauczycieli pomaturalnego kursu literatury, dowiedział się, że mogą być one instrumentem władzy i źródłem ogromnego autorytetu kształtującym opinię mas będącą zwornikiem systemów politycznych. Można tu znaleźć też kilka podanych z dyskretną ironią anegdot, choćby tę o „Bycie i nicości” Sartre’a.

Dzieło ważyło dokładnie 1 kg i można go było używać do ważenia ziemniaków na okupacyjnym czarnym rynku. To właśnie Sartre jest autentycznie negatywnym bohaterem tej biografii. Stając się guru niebezpiecznych nowicjuszy, pierwszy pojął, że czasy „uczonych” minęły, a w epoce masowej komunikacji należy cynicznie podsuwać ludziom kilka prostych idei i obrazów dających im poczucie całościowego rozumienia świata. A Camus? Z depresją, gruźlicą i niekończącymi się rozterkami sercowymi odtwarzał w swoich książkach własne doświadczenie. Wierzył, że wolność musi być równoważona przez sprawiedliwość, a ta z kolei musi szanować wolność, która jako jedyna ją uzasadnia. Próbował rozpaczliwie godzić poszukiwanie sensu z obowiązkiem przetrwania w świecie, który, jak twierdził, był go pozbawiony.

Virgil Tănase, „Camus. Biografia”, PIW 2024





KYLE NEWMAN, JON PETERSON I MICHAEL WITWER*

Co kryje fantastyczny kociótek?



Do świata pełnego fantastycznych postaci i okoliczności – dla wielu współczesnych czytelników o wiele bliższego niż kraina Oz – zapraszają autorzy kulinarnego przewodnika z kręgu D&D. Skróć pochodzi od gry Dungeons & Dragons (Lochy i Smoki), która pół wieku temu zapoczątkowała nowy gatunek: fabularną grę fantasy.

Tom „Dungeons & Dragons. Uczta bohaterów. Oficjalna książka kucharska” (w Polsce wydany przez Znak Literanova) stworzyli pisarz i twórca filmowy Kyle Newman, autor poczytnych książek Michael Witwer oraz Jon Peterson, znawca historii gier strategicznych. Cała trójka postarała się o narracyjną oprawę do przepisów zaproponowanych przez Adama Rieda, mistrza kulinariów nie tylko z pełnego akcji świata fantasy.

Jak deklarują autorzy, o księdze, którą oddali czytelnikom, „od lat krążyła legenda w dalekiej krainie Faerûn. Przy czym bogato ilustrowane wnętrza bynajmniej nie zawiera spisu czarów ani cytatów z prastarych kronik Silvermoon. Znaleźć w niej można coś znacznie cenniejszego: skarb planety Abeir-Toril, czyli... kompletny zbiór przepisów (także tych sekretnych)

na dania serwowane w krainach: ludzi, elfów, krasnoludów i niziołków”.

Wśród 80 zaproponowanych potraw i napitków znalazły się m.in.: półmisek korzennych ziemniaków z karczmy Otika, zupa rybna z Wybrzeża Mieczy, słynny pudding karmelowy z Barovii czy receptura na Elixir Przywrócenia.

Jest też gulasz wędrowcy, który tak anonsują autorzy: „Dla strudzonych długą wędrówką poszukiwaczy przygód nie ma nic przyjemniejszego niż woń wołowiny i piwa dolatująca z bulgoczącego, lizanego językami płomieni kociółka. W karczmie usiądźcie blisko poczerńiałego paleniska i odsapnijcie, wreszcie zaznając ciepła i czując się bezpiecznie. Sycącą, wolno duszoną potrawkę z wołowiny (lub mięsa rotha), marchwi, ziemniaków i cebuli w sosie wzbogaconym ciemnym piwem podaje się wszędzie, od karczmy Pod Zielonym Smokiem i Ziejącego Portalu aż po bistro Ellfate i gospodę Ostatni Dom. Ale pamiętajcie, drodzy wędrowcy, że danie smakuje najlepiej jedzone drewnianą łyżką z drewnianej michy”.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Autorzy książki „Dungeons & Dragons. Uczta bohaterów”

GULASZ WĘDROWCY

Składniki na 6 porcji: ¼ szklanki mąki uniwersalnej, sól i świeżo mielony czarny pieprz, 700 g wołowiny gulaszowej pokrojonej w kostkę (2,5 cm), 1 łyżka (w razie potrzeby więcej) oleju roślinnego, 1 szklanka ciemnego piwa, 4 szklanki niesolonego bulionu wołowego, 1 łyżeczka słodkiej papryki, 1 duża żółta cebula, poszatkowana; 2 marchewki, obrane i pokrojone w plasterki (1 cm); 3 duże ziemniaki, obrane i pokrojone w kostkę (2,5 cm); 1 łyżka zielonej pietruszki, posiekanej.

Przygotowanie: W dużej misce zmieszaj mąkę z łyżeczką soli i szczyptą świeżo zmielonego pieprzu. Dodaj wołowinę i dokładnie obtocz ją w mieszance. W garnku z grubym dnem podgrzej na średnim ogniu olej. Dodaj jedną trzecią lub połowę wołowiny, tak żeby kawałki nie leżały zbyt blisko siebie, i obsmażaj ok. 5 minut, obracając, żeby mięso zarumieniło się ze wszystkich stron. Przelóż wołowinę na talerz i obsmażaj partiami pozostałe kawałki, w razie potrzeby dolewając oleju.

• Wlej do garnka piwo i drewnianą łyżką zbierz osad z dna. Ponownie włóż wołowinę, dodaj bulion i paprykę. Zmniejsz ogień i duś pod przykryciem od 1,5 do 2 godzin, aż mięso zmięknie. Dodaj cebulę, marchew i ziemniaki. Duś ok. 30 minut, aż warzywa staną się miękkie. Dodaj pietruszkę, dopraw solą i pieprzem. Gulasz podawaj gorący. Do większości gulaszy dodaje się bulion i odrobinę wina, ale ten przygotowuje się na ciemnym piwie. Dzięki temu smak potrawy stanie się głębski i lekko słodowy.





Tatar niejedno ma imię

ANNA MONICKA

Oczywiście taki z soczystej, chudej połędwicy wołowej znajduje się na szczycie podium. Robimy go rzadko, bo trudno o dobre mięso, poza tym po co kopać się z koniem. Najlepiej iść tam, gdzie robią dobrego tataru, czyli jakieś knajpy z tradycjami. W Warszawie nie zjesz lepszego niż w Lotosie. Gdyby nie on, kupowane na Bródnie Pod Trupkiem flaczki oraz suszona swojska kielbasa już dawno zostałaby węgietarianką.

Ale posiekać czy przepuścić przez maszynkę można także inne surowe mięsa. Kiedyś daniem bardzo popularnym w mojej rodzinie była „szczurówka” (mazidło do pieczywa przypominające konsystencją i kolorem przemielonego, niezbyt lubianego gryzonia). Najlepszą robili ciotka z wujem, który był mistrzem tradycyjnej kuchni. Poza tym pływał przed laty statkiem z poławiaczami ryb i przywiózł z tej podróży różne przepisy na słoikowe wędliny. Potrafił znaleźć idealny boczek (musiał być chudy, surowy, uwędzony) i dosmaczyć go tak, że człowiekowi cieśla ślina. Mięso trzeba było zemleć wraz z solidną porcją cebuli oraz majeranku i odrobiną czosnku, a potem ubić w kamionce. Taki boczek, przystrojony ogórkiem, kaparem lub struganym chrzanem można podawać jako starter nawet na bardzo eleganckich przyjęciach.

Przypomniałam sobie o tym rarytasie kilka dni temu, gdy wybierałam boczek na rodzinną imprezę, na której zdecydowanie będą przeważać mięsożercy. Ich wygórowane oczekiwania powinny zaspokoić także bosko pachnące wędzone kalifornijskie śliwki owinięte cienkimi plasterkami takiej wędzonki i podsmażone na wolnym ogniu na patelni przez kilkanaście minut, żeby wytopiony tłuszcz ładnie się wymieszał i podpiekł ze słodkim śliwkowym sokiem.

Wreszcie tatar dla tych, którzy nie jedzą ani mięsa wołowego, ani wieprzowego – z lososia. Ten przysmak robimy kilka dni wcześniej, żeby smaki się dobrze przegryzły. Zawsze się udaje, pod warunkiem, że kupimy bardzo świeżą rybę. Ładny płąt bez skóry kroimy w paski grubości małego palca. Łączymy kilka ząbków czosnku. Układamy warstwami w słoju, podsypując solą i podlewając olejem. Ubijamy, żeby był dobrze przykryty olejem. Wstawiamy na kilka dni do lodówki. Podajemy w słoju na stół. Smacznego. 



Płatkonóg

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Późną jesienią Morze Bałtyckie nie wydaje się oczywistym kierunkiem wycieczki. Są jednak stworzenia, które właśnie wtedy odwiedzają nasze wybrzeże. Są wśród nich gatunki pojawiające się w naszym kraju niezmiernie rzadko, których nie zobaczymy w Polsce o żadnej innej porze roku.

Z ciemnego listopadowego nieba można usłyszeć różne głosy przytłumione nieco szumem fal, np. cichy skwir. To wędrują drożdżiki. Spokrewnione z naszymi kosami i drozdami, nieco mniejsze, z rdzawą plamą pod skrzydłem, lecą z północy na zimowiska. Wybierają noc, jak większość migrujących ptaków, żeby uniknąć drapieżników.

Wiele wędrujących ptaków po przebyciu Bałtyku zatrzymuje się, żeby odpocząć i odzyskać siły, żerując. Na plaży wzdłuż linii wody można zaobserwować różne ptaki siewkowate, np. płatkonogi płaskodziobe. W ostatnich dniach na polskim wybrzeżu obserwowano co najmniej kilka płatkonogów. Lecą z bardzo dalekiej północy – gnieźdzą się na Grenlandii, Islandii, północnej Syberii i najbardziej oddalonych norweskich wyspach. Zimą spędzają na wodach północnej Afryki. Są ptasimi oryginałami – samice są barwniej upierzone od samców i to one tokują, by zdobyć ich względy. Moszczeniem gniazda i wysiadaniem jaj zajmują się natomiast samce.

Nad polskim morzem wśród mew srebrzystych i siwych pojawiły się także pojedyncze osobniki arktycznych mew: modrodziobej i trójpalczastej. Ich ojczyzną są wysunięte najbardziej na północ skaliste wyspy i pas pływającego lodowego paku.

Listopadowe zimne bałtyckie fale to również jedna z wielu szans na zaobserwowanie nurów. Te duże wodne, rybożerne ptaki przypominające sylwetką perkoza przybywają do nas na zimę z odległych skandynawskich i syberyjskich głębokich, czystych jezior, na których gniazdowały wiosną. Kiedy na północy wodę zaczyna ścinać mróz, uniemożliwiając polowanie na ryby, przenoszą się na południe – nasze zimowe, wzburzone morze jest dla nich przyjaznym akwenem zachęcającym do przezimowania i przeczekania trudnego okresu.

Właśnie teraz pojawiają się również północne kaczki: duże, ciemne, ciężkie uhle, markaczki i legendarne edredony słynące z miękkiego i ciepłego puchu. 

OGNIEM NA WPROST

Ruskie bunkry pod pałacem

Maryjno w obwodzie kurskim to wiocha z dosłownie czterema ulicami i pałacem z zatkniętą na szczycie flagą Federacji Moskiewskiej. Oznacza ona, że jest to jedna z rezydencji Władimira Putina. Sam neoklasykstycki pałac (obecnie robi za rządowe sanatorium) arystokratycznego rodu Bariatyńskich nie jest żadnym dziełem architektury. Ta budowla z początków XIX w. służy obecnie za przykrywkę dla podziemnych, postsowieckich bunkrów umieszczonych w parku, 300 m od głównego gmachu. Mieściło się tam stanowisko dowodzenia i łączności, odgrywające istotną rolę w kierowaniu działaniami wojsk rosyjskich oraz północnokoreańskich prowadzących kontrofensywę w obwodzie kurskim. Położone stosunkowo blisko linii frontu (ok. 30 km), jak na siedzibę sztabu, do tej pory było niewrażliwe na cały ukraiński arsenał. Jednak niedawno Zachód udzielił zgody Kijowowi na atakowanie ruskich celów położonych na terenie Federacji pociskami ATACMS i brytyjsko-francuskimi rakietami Storm Shadow/SCALP. Tryzuby skwapliwie wykorzystały sytuację i puścili na schrony 12 stormshadowów, jednego za drugim, które przebiły antyatomowe, kilkumetrowe stropy z ziemi i betonu. Według wstępnych danych zginęło kilkadziesiąt Moskali i północnokoreańskich oficerów, w tym ciężko ranny został jeden skośnooki generał. Ten strzał w „sedno tarczy” musiał być przygotowywany od jakiegoś czasu. Nad miejscem uderzenia latał ukraiński dron, który sfilmował całą akcję. Operacja oprócz spowolnienia działań Moskali i jaszczurek w obwodzie kurskim była przekazem dla Kremla: potrafimy was dosięgnąć w waszych schronach!

Rakiety Storm Shadow są odpalane z taktycznego bombowca Su-24. W ataku na bunkry sztabu wzięło udział sześć sztuk. Tymczasem Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych otrzymały pierwszy egzemplarz nowej rakiet Stand-in Attack Weapon (SiAW). Producent broni Northrop Grumman opracował go w jednym celu: zniszczyć obronę przeciwlotniczą wroga, aby oczyścić drogę do dalszych bombardowań z powietrza. Jako środek przenoszenia tych rakiet w rejon ataku (SiAW mają stosunkowo krótki zasięg) użyje się niewykrywalnych przez ra-

dary przeciwnika samolotów F-35. Według „The Telegraph” ta zabójcza kombinacja daje istotną przewagę, która może przechylić szalę w możliwej przyszłej wojnie europejskiej na stronę NATO. Po licznych atakach dronów i rakiet oraz pocisków ATACMS Dymitr Miedwiediew wyznaczył kolejną czerwoną linię, po przekroczeniu której już na pewno zostanie użyta broń atomowa. Zapomniał dodać, że ostatnią jest linia murów Kremla, po przekroczeniu której świat po raz pierwszy od pięciu wieków odetchnie spokojniej.

Gdyby brytyjska armia została poproszona o włączenie się do walki dzisiaj wieczorem, walczyłaby dzisiaj wieczorem. Nie sądzę, że ktokolwiek na tej sali powinien wątpić, że gdyby Rosjanie najechali dziś wieczorem Europę Wschodnią, spotkalibyśmy się z nimi w tej walce” – powiedział brytyjskim parlamentarzystom kmdr por. Robert Magowan, zastępca szefa brytyjskich sił zbrojnych. Słowa te padły podczas posiedzenia Komisji Obrony Izby Gmin. Czy możemy więc spać spokojnie? Tak do końca jeszcze nie, ale jest oczko wyżej.

Informacje z frontu. Toreck i Cziśiw Jar – brak znaczących zmian. Na południe od Kupiańska Moskale poszerzają wylom, na północ zaś ukraiński kontratak odepchnął Moskale do miasta. Rosyjskie siły sforsowały jednak brodem Oskil na północ od Dworycznego i uchwyciły tam przyczółek. Odcinek Wielka Nowosiłka–Rozdolne (północny zachód od Wuhledaru). Ruski powoli idzie na przód i podchodzi od wschodu do Wielkiej Nowosiłki (przygotowane tu pozycje obronne zostały oddane bez walki, ponieważ nie były przystosowane do obrony przed atakiem z tego kierunku), zasadnicze uderzenie idzie jednak na północ w kierunku Bohater–Rozlew–Konstantynopol. O ile natarcie na Bohater ma przed sobą ukraińskie umocnienia, to natarcie na Konstantynopol trafia w otwartą furtkę. Powstaje pytanie zasadnicze – czy tak oczywisty błąd ze strony Tryzubów nie jest elementem ukraińskiej pułapki, w którą Rosjanie ostrożnie, ale jednak wchodzi?

Oby tak było.

Andrzej Rafał Potocki Współpraca: „Skipper”



Michał Korsun prezentuje:
Marszałek Hołownia – studiował czy nie studiował?



Wycinki z przeszłości

Za i Przeciw” to tygodnik społeczno-polityczny wydawany w latach 1957–1989 w Warszawie przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne. To jedno ze środowisk katolickich współpracujących z władzami PRL. Mimo tych zastrzeżeń warto przypomnieć

okładkę z grudnia 1965 r. zapowiadającą zakończenie prac soboru watykańskiego II, który, jak dziś wiemy, wywołał w Kościele katolickim postępową rewolucję pod hasłem „aggiornamento” – uwspółcześnienia. Wiele się zmieniło, ale piękno Watykanu zachwyca niezmiennie, zwłaszcza ludzi wierzących. Nadzieja, że jest on źródłem prawdziwej wiary, wierności Ewangelii i doktrynie, mimo wszystko trwa. /

(mk)



Z WOLEJA

Diego Maradona i Jan Furtok



Ryszard
Czarnecki

26 listopada 2020 r. zmarł w Argentynie Diego Maradona. 26 listopada 2024 r. zmarł w Polsce Jan Furtok. Powie ktoś: „Gdzie Rzym, gdzie Krym?”. A jednak obaj byli napastnikami. Obaj strzelili słynne gole... ręką.

Diego Armando Maradona, najlepszy piłkarz na świecie w XX w. (razem z Brazylijczykiem Pelé), uczynił to w ćwierćfinale mundialu 1986 z Anglią. W tym spotkaniu „Pelusa” (po hiszpańsku to „Puszek” – taki miał pseudonim) zdobył dwie bramki. Jedna z nich została uznana za najpiękniejszego gola w jego karierze: Argentyńczyk przebiegł pół boiska, mijając sześciu rywali i strzelił. Tego drugiego gola pokazuje się dużo rzadziej, bo Maradona zdobył go wbrew przepisom. Potem tłumaczył, że była to... „ręka Boga”. Diego ukradł więc bramkę Anglikom, ale Argentyńczykom się to opłaciło: zostali potem mistrzami świata. W reprezentacji Argentyny Maradona zagrał 91 razy i strzelił 34 gole, w tym jednego ręką... Zmarł w wieku 60 lat.

Jan Furtok zmarł w wieku 62 lat. W reprezentacji Polski zagrał 36 razy i strzelił 10 bramek, w tym jedną ręką. Było to podczas meczu z „kelnerami” z San Marino. Graliśmy na stadionie Widzewa, a kibice spodziewali się grodu bramek. Skończyło się na jedynym голу Furtoka zdobytym 15 min przed końcem meczu. Później tak o tym mówił wielokrotnie strzelców ligi polskiej, a potem niemieckiej Bundesligi: „Czy strzeliłem ręką? Specjalnie tego nie zrobiłem. To był taki odruch, bo byłem wkurzony tym, że ciągle jest 0:0, presja rośnie, a my ciągle nie strzelamy bramek. Tak wyszło”.

Maradona jest znany na całym świecie. Furtok w Polsce, gdzie grał w GKS Katowice (209 meczów i 85 goli), i w Niemczech (w Hamburger SV i Eintrachcie Frankfurt, w sumie 188 spotkań i 60 goli).

Po zakończeniu kariery piłkarskiej Maradona był trenerem kilku klubów w Argentynie, Meksyku i na Półwyspie Arabskim, a także reprezentacji swojego kraju. Jan Furtok trenował klub, któremu zawsze był wierny: GKS Katowice. Był także dyrektorem sportowym kadry narodowej.

Maradona zmagał się z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków. Zmarł parę tygodni po operacji na zawał serca. W związku z jego śmiercią siedem osób zostało oskarżonych o nieumyślne spowodowanie śmierci tego geniusza futbolu.

Furtok od dziesięciu lat cierpiał na chorobę Alzheimera. Stronił od polityki, Maradona wręcz przeciwnie. Hałaśliwie demonstrował swoje lewicowe poglądy, popierał Fidela Castro i Hugona Cháveza. Podkreślał, że „nienawidzi amerykańskiego, co jest amerykańskie” (!).

Teraz obaj grają razem na niebiańskim boisku... /



OD A DO ZYBERTOWICZ

Wie, że coś się dzieje

Prezydent Warszawy, obudzivszy się, jeśli w ogóle spał owej nocy, uświadomił sobie, do jakiej walki stanął i poczuł lekką panikę

wem i Sprawiedliwością spędza sen z oczu nie tylko Trzaskowskiemu. Bajeczne „100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów” poszło w kąt, bo rząd wciąż miota się z rozliczaniem poprzedniej władzy. Ale społeczeństwo coraz bardziej niepokoi się o przyszłość.

To, że media publiczne siłą przejęte po poprzedniej władzy stały się jeszcze bardziej stronnice, w sumie wcale nie dziwi. Patologizowanie mediów i betonowanie baniek informacyjnych stanowi nie tylko polski problem. Choć na superniebezpieczny dualizm prawny zafundowany przez obecny rząd różne autorytety, niedawno tak gorliwie broniące „praworządności”, dziś łaskawie przysmakują oczy – też nie zaskakuje. Główne źródło zła leży gdzie indziej. I niestety ślady tego można też znaleźć pod bokiem samego Trzaskowskiego. Ale o tym za chwilę.

NAWRÓCIĆ NA WŁAŚCIWY TOR

Taką nadzieję niesie, *nomen omen*, kandydat Karol Nawrocki. Czuje to wielu Polaków, świadomych, że nie tylko wybieramy nowego prezydenta, lecz także walczymy o konkretne marzenie o Polsce, naszym wspólnym domu.

Karol Nawrocki nie zapowiada walki z Koalicją Obywatelską. On chce walczyć o Polskę. Nie niesie wulgarnych ośmiu gwiazdek i nie wymachuje w stronę przeciwników politycznych pięścią, chociaż jako bokser...

Nawrocki woli rozmawiać z Polakami, debatować o tym, jak odrobić lekcje z polskiej historii, wyciągnąć wnioski z dziejowych porażek i poprowadzić nasz kraj ku sukcesom. W czasach zamętu chce ocalić naszą kulturę, historię i tradycję.

Polacy czują, że potrzebny jest szybki nawrót czy zwrot w stronę rozsądku. Nawrócenie Polski na właściwe tory rozwoju i budowania wspólnoty.

PAMIĘĆ WYBORCÓW

Zarzuty, z jakimi spotykają się politycy, zawsze dzielą się na uzasadnione oraz bezpodstawne.

Trzaskowski wie, że wobec jego „aktywności” jako prezydenta Warszawy oprócz zarzutów „od czapy” jest cała masa dobrze uzasadnionych, wśród nich dwie awarie oczyszczalni ścieków Czajka i rzuty nieczystości do Wisły. Zaniechania w nadzorze, opóźnienia w reakcji na awarie i kiepskie informowanie mieszkańców o zagrożeniach – to zarzucano prezydentowi miasta. Dziś wielu warszawiaków jest wkurzonych przewlekającymi się przebudowami tras w Śródmieściu, najwyraźniej źle zaplanowanymi i nadzorowanymi.

Ale dla ewentualnego prezydenta Rzeczypospolitej najgorzej rokuje zatrudnienie w podległym Trzaskowskiemu Urzędzie Miasta osoby związanej z pełnym nienawiści i wulgarności „Sokiem z buraka”. Wspieranie długoletniej aktywności nastawionej na skłócanie Polaków to zło większe nawet od dualizmu prawnego. Dlaczego? Nie trzeba być socjologiem, by rozumieć, że bez odbudowania zdolności Polaków do porozumiewania się nie sposób będzie przezwyciężyć dualizmu prawnego. Trzaskowski nakazujący usuwanie krzyży z podległych mu instytucji jest do tego niezdolny. Nic dziwnego, że musi się obawiać chwili, gdy także jego dotychczasowi wyborcy to zrozumieją.

Katarzyna Zybortowicz

Wśród 27 listopada 2024 r. słońce wstało o godz. 7.17, ale Rafał Trzaskowski, kandydat Platformy Obywatelskiej na prezydenta RP, najwyraźniej obudził się już wcześniej. O godzinie 6.47 na platformie X ukazał się jego wpis: „to, że kandydat PiS nie ma legitymacji partyjnej, to nic nie znaczy. To, że został ogłoszony na »konwencji obywatelskiej«, to nic nie znaczy. To, że przedstawiany jest jako »bezpartyjny« czy »niezależny« – to też nic nie znaczy. Wreszcie to, że dziś może być jeszcze niespecjalnie rozpoznawalny – to też niewiele znaczy”.

Wpis jest znacznie dłuższy. Trzaskowski punkt po punkcie odsłania, jak poważnego przeciwnika ma przed sobą w wyścigu o urząd prezydenta RP.

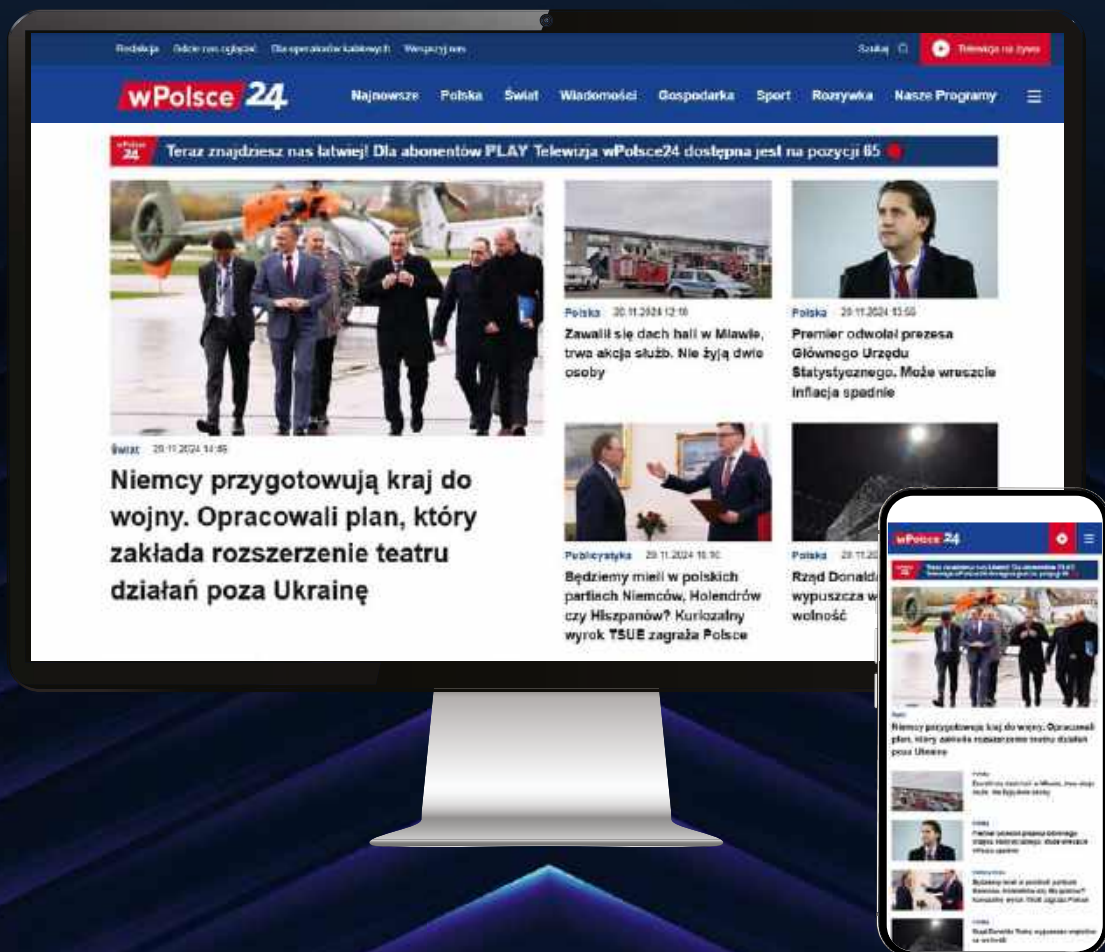
Najwyraźniej prezydent Warszawy, obudzivszy się, jeśli w ogóle spał owej nocy, uświadomił sobie, do jakiej walki stanął i poczuł lekką panikę.

JAK JEDNA PIĘŚĆ

Taka ma być Koalicja Obywatelska. To marzenie Donalda Tuska – wizja zaciśniętej pięści wymierzonej w Prawo i Sprawiedliwość. Nic dziwnego, że po pokonaniu Radosława Sikorskiego w prawyborach Rafał Trzaskowski zaraz powiedział, że teraz idzie walczyć z PiS. Starcie z Pra-

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24



Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka
>> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

Świąteczna prenumerata tygodnika **SIECI** Zyskujesz najwięcej!

47%
rabatu



**Biograficzna książka
w prezencie**

Teraz
prenumerata
26 zł taniej

(od 1 stycznia 2025 r.
cena wzrośnie
do 375 zł)

120
książek
w prezencie

Zwyczajni święci Polacy

10 życiorysów zwykłych Polaków, którzy zaufali Bogu i dokonali rzeczy wielkich.

Niektórych dobrze znamy z historii (Witold Pilecki czy Romuald Traugutt), o innych ciągle wiemy zbyt mało (Józef Ulma czy Jerzy Ciesielski)

264 strony | biografie 10 wielkich Polaków | inspirująca lektura na adwent

Zamów już dziś z rabatem 47% i o 26 zł taniej niż w przyszłym roku!

www.siec.wpolityce.pl/oferta

Roczna prenumerata **SIECI** z książką w prezencie **teraz za 349 zł**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że promocja jest nadal dostępna:

prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 14-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.